RABUNKI, ZBRODNIE I ZGLISZCZA
Grabiąc I RP, Szwedzi zachowywali się niczym wygłodniała szarańcza

OCEANICZNY SKRÓT AMERYKI
Kanał Panamski był dumą USA – cudem inżynierii, oznaką potęgi

KAMIENNA ZAGADKA CASTEL DEL MONTE
Na całym świecie nie ma drugiej takiej budowli. Do czego miał służyć ten zamek?

NR 11(153)/2025 LISTOPAD 2025

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

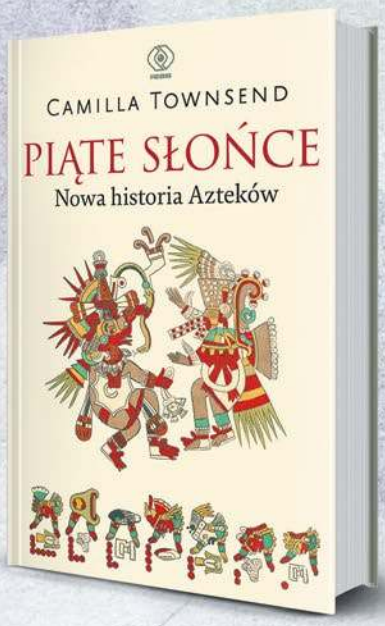
RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Potop szwedzki

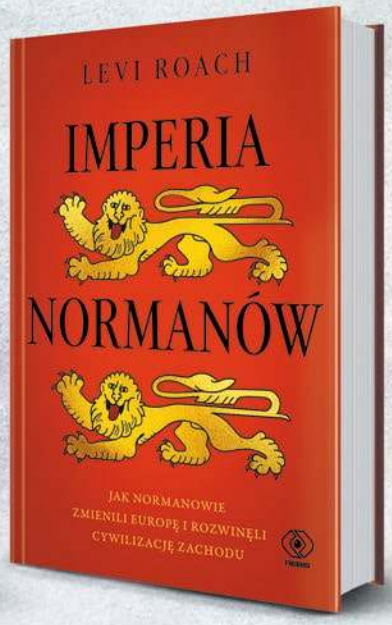
APOKALIPSA Z PÓŁNOCY

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

REBIS



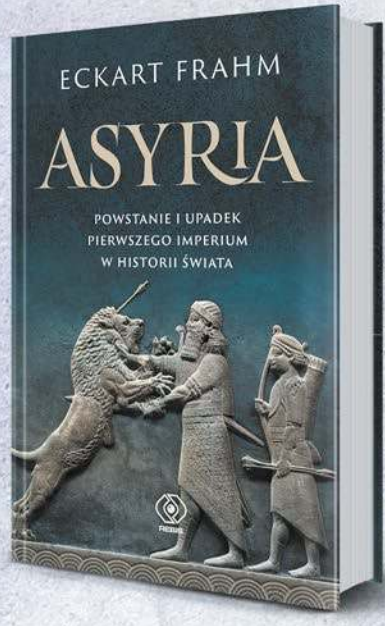
Dzieje Azteków po raz pierwszy przedstawione z ich punktu widzenia



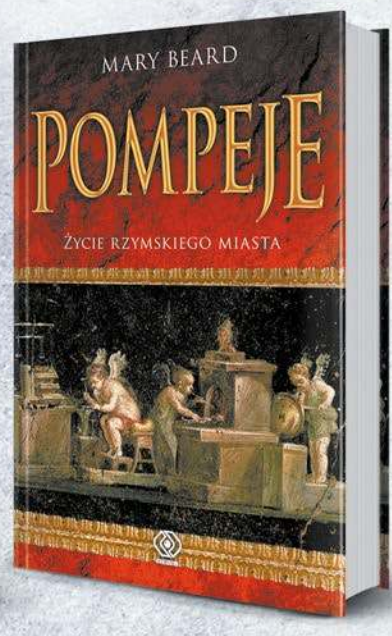
Jak Normanowie zmienili Europę i rozwinęli cywilizację zachodu



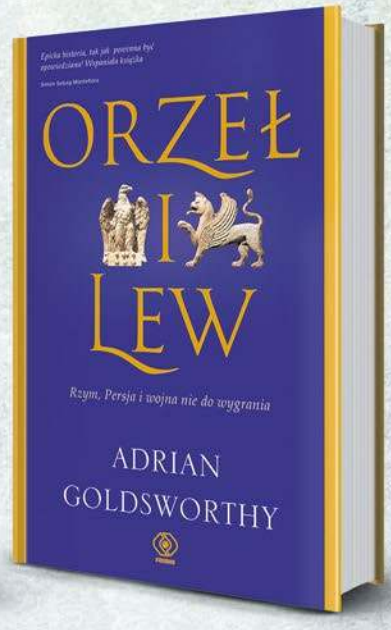
Pierwsza tak całościowa historia ordy, pokazująca, że ich osiągnięcia nie ograniczały się jedynie do wojowania



Powstanie i upadek pierwszego imperium w dziejach świata



Pasjonujący portret antycznego miasta



Epicka historia rywalizacji między dwoma supermocarstwami – Rzymem i Persją

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl
FB/DWREBIS
@dom_wydawniczy_rebis

eprasa.pl 94eb3b15bc

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Czarnca, 16 października 1937 r.

Uroczystość przeniesienia trumny hetmana Stefana Czarnieckiego do sarkofagu w kościele św. Floriana w Czarncy



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Pięć lat śmierci i pożogi

Skojarzenia z drugą wojną światową są jak najbardziej naturalne. Potop szwedzki przyniósł Rzeczypospolitej Obojga Narodów ruinę, jakiej wcześniej nie zaznał nasz kraj. Szwedzi niczym szarańcza rzucili się na zasobnego sąsiada z południa. A pamiętać trzeba, że Szwecja była wówczas dosyć biednym krajem z potężną armią, którą trzeba było utrzymać. Wojenna grabież wydawała się najbardziej naturalnym krokiem.

Szwedzi wywozili z Polski właściwie wszystko, co miało w ich oczach wartość. Nie tylko dzieła sztuki, drogocenne woluminy czy klejnoty zrabowane w szlacheckich i magnackich siedzibach. Również wsie zostały ogołocone przez hordy z północy. Kościoły, zazwyczaj traktowane w trakcie wojen jako miejsca chronione, były szczególnie narażone na grabież z powodów religijnych – szwedzcy protestanci nie mieli w tym kontekście żadnych zahamowań.

Jednak gospodarcza ruina państwa, z której Rzeczpospolita na dobre wyjdzie dopiero po 100 latach, to tylko jeden problem. Dużo gorszy był upływ krwi towarzyszący szwedzkiej apokalipsie. Na niektórych ziemiach pięć lat potopu oznaczało ponad 50-procentowy ubytek ludności! Winę ponosili za to nie tylko żołdacy Karola X Gustawa, ale także szalejące epidemie (im słabszy człowiek, tym łatwiej może paść ofiarą choroby, a przecież Rzeczpospolita była rabowana również z żywności).

Jakub Ostromęcki przybliża na naszych łamach skalę klęski, która spadła wówczas na Rzeczpospolitą, natomiast Sławomir Koper i Grzegorz Janiszewski piszą o tym, jak polskie elity zachowały się wobec potopu z północy. Cóż, po ich postawie widać, że coś bardzo złego stało się wówczas z instynktem propaństwowym... ©℗

eprasa.pl 94eb3b15bc



/ TEMAT NUMERU

.6 JAKUB OSTROMĘCKI
Szwedzka apokalipsa

.12 SŁAWOMIR KOPER
Król i zdrajca

.16 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Niemalowana królowa

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pamięć białego człowieka

.71 PIOTR SEMKA
Viva San Francesco!

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 PIOTR WŁOCZYK
Rok trzech tlatoanich

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Bitwa w błocie

/ CZASY I LUDZIE

.20 DENNIS HOGAN
Panamski łącznik

.24 MAREK GAŁĘZOWSKI
Jedynie czyn ma znaczenie

.28 TOMASZ STAŃCZYK
Książę regent

.32 BEATA ZUBOWICZ
Ekspedycja z piekła rodem

.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Syberyjska epopeja Czechosłowaków

.40 PAWEŁ LISICKI
Miraż Trzeciej Świątyni

.44 PIOTR KITRASIEWICZ
Cień Stalina w polskich kinach

.48 OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK
Mit niemieckiej denazyfikacji

.52 PIOTR SEMKA
Kamienna zagadka

.56 LESZEK LUBICKI
Złamany pędzel Ruszczyca

.60 MIKOŁAJ IWANOW
Rosjanie – autoportret własny

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Budziciel polskich sumień

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Błyskawice na szynach

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Świat według Grossa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Polacy pomagają brytyjskim jeńcom

eprasa.pl 94eb3b15bc

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

Jesteśmy Wam ogromnie wdzięczni za wsparcie rozwoju naszego tygodnika – zarówno poprzez codzienny kontakt z „Do Rzeczy", jak i zaangażowanie w przygotowania do naszego debiutu na alternatywnym rynku Giełdy Papierów Wartościowych – NewConnect. Wasze ogromne zainteresowanie pierwszą publiczną emisją akcji Do Rzeczy S.A. utwierdziło nas w przekonaniu, że wspólnie bronimy zdrowego rozsądku, wolności słowa, przedsiębiorczości, polskiej tożsamości kulturowej oraz interesu narodowego.

Choć pierwsza emisja spotkała się z dużym odzewem, nie udało się osiągnąć pełnego zakładanego budżetu, co zmusiło nas do rozważenia ograniczonego planu rozwoju. Wraz z Zarządem uznaliśmy jednak, że postawiliśmy sobie ambitne cele, które za wszelką cenę zamierzamy zrealizować.
Dlatego postanowiliśmy dać Wam kolejną szansę na zostanie częścią Do Rzeczy.

Właśnie rozpoczęła się druga publiczna oferta akcji Do Rzeczy S.A., w której każdy z Państwa może wziąć udział jako inwestor indywidualny. Szczegóły dostępne są na stronie: www.dorzeczy.pl/gielda

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 94eb3b15bc



Wydobyte z Wisły fragmenty architektoniczne, zrabowane z warszawskich budowli, na wystawie w Muzeum Historii Polski, 2023 r.

FOT. JOANNA BOROWSKA/FORUM

1655–1660 / Potop z północy

Szwedzka apokalipsa



Jakub Ostromęcki

Karol Gustaw cofnął Rzeczpospolitą do wczesnego średniowiecza. Potop z północy oznaczał dla państwa polsko-litewskiego pożogę, rabunek i upust krwi, które w naszej historii porównać można chyba tylko do okupacji niemiecko-sowieckiej

Niedawne susze spowodowały, że Wisła zaczęła odsłaniać to, co przez stulecia skrywała w swoich odmętach. Archeolodzy wydobyli ostatnio z dna królowej polskich rzek ważący 200 kg kamienny łuk i kapitel kolumny. Były to fragmenty wspaniałej niegdyś rezydencji królewskiej Villa Regia, mieszczącej się na terenie dzisiejszego Uniwersytetu Warszawskiego. Konstrukcja nie wpadła do wody przez niedbalstwo staropolskich budowlańców, lecz zatonęła wraz z barką, na której w czasie potopu Szwedzi wieźli ku Pomorzu zrabowane w Warszawie dobra.

Dwustukilogramowy łuk to nie skrzyneczka z klejnotami, którą nocą można wziąć pod pachę. Aby w epoce przedprzemysłowej odłupać go od reszty elewacji, trzeba było zorganizowanego wysiłku wielu ludzi. Oczywiście nie skończyło się na jednej kolumnie i łuku. Ziemie polskie od Pomorza do Podhala przedstawiały wtedy straszny widok. Wsie, po których zostały tylko wypalone klepiska, kikuty kominów sterczące ze zrujnowanych młynów i kuźni, dwory z powyrywanymi framugami, straszące pustkami miasta, dumne niegdyś zamki obrócone w ruinę. Na polach i pastwiskach, gdzie jeszcze niedawno słychać było nawoływania chłopów i wycie krów, panowała przejmująca cisza, którą przerywało krakanie wron. Wielu historyków twierdzi, że zniszczenia w połowie XVII w. były dla ówczesnej gospodarki Rzeczypospolitej nawet większe niż te z czasów drugiej wojny światowej dla XX-wiecznej Polski. „Teraz komin z gruntu murowany tak wielkiej wagi jest jak Kolossus w Rzymie albo Pyramis egipska" – oceniano w „Krótkiej nauce budowniczej dworów,

eprasa.pl 94eb3b15bc

pałaców, zamków podług nieba i zwyczaju polskiego" z 1659 r.

Władysław Tomkiewicz w pracy zbiorowej „Polska w okresie drugiej wojny północnej" tłumaczył, że dla XVII-wiecznych jurystów rabunek był tak samo naturalny jak poranna strawa czy wypicie garnca miodu. Uczeni mężowie mawiali, skądinąd logicznie, że skoro na wojnie można zabijać, to można i grabić. Wojny epoki nowożytnej obfitowały zatem zarówno w zniszczenia bezrozumne, jak i te motywowane zemstą za działania wroga bądź dokonywane dla samego zatarcia śladów jego dawnej potęgi. Masowa grabież w pierwszej kolejności miała jednak na celu napełnienie kiesek i brzuchów tysięcy najemników, z których złożone były nowożytne europejskie armie, na czele oczywiście ze szwedzką.

Przy czym niektórzy przedstawiciele ówczesnych elit próbowali niezdarnie tłumaczyć takie postępowanie. Na przykład Samuel Pufendorf, biograf Karola Gustawa, stwierdził w 1697 r.: „Było niepodobieństwem utrzymanie wojsk w dyscyplinie, ponieważ źle je opłacano i ponieważ składały się przeważnie z oddziałów niemieckich, które jedynie nadzieja łupu powołała w szeregi". Barbarzyństwo najłatwiej zwalić na obcoplemieńców... Problem w tym, że rodowici Szwedzi zachowywali się tak samo jak ich niemieccy koledzy po fachu.

Rabunek szwedzki był metodyczny i celowy, organizowany przez wyższe dowództwo, czym różnił się od dzikiego i bezładnego plądrowania przez wojska siedmiogrodzkie i kozackie Rakoczego, które także brały udział w potopie. Proceder ten wzmógł się bardzo w 1656 r., po tym, gdy w kraju pojawiła się powszechna partyzantka. Najpierw rabunek objął królewszczyzny, traktowane wówczas jako majątek Skarbu Państwa, ale z czasem dotknął również dóbr prywatnych.

Dobrym przykładem jest rozkaz wydany przez szwedzkie dowództwo 10 czerwca 1657 r., aby bez miłosierdzia niszczyć okolice Torunia. Słowo „okolice" wojsko rozumiało bardzo szeroko, bo karna ekspedycja dotarła aż do zamku w Kruszwicy, z którego została tylko słynna wieża, gdzie ponoć kiedyś zaszył się Popiel. Apogeum tej orgii zniszczeń nastąpiło w latach 1656–1657. W 1658 r.



Schering Rosenhane

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL PORTRAIT GALLERY OF SWEDEN

Szwedzi zamknięci byli już głównie na Pomorzu i Prusach, a ciężar działań wojennych przeniósł się do Danii.

Kikuty baszt

Działania armii szwedzkiej były dla nas tym boleśniejsze, że dotknęły najbardziej rozwiniętą część Korony, z najlepiej prosperującymi miastami i zasobnymi wsiami, z ich młynami i kuźniami. Rabowane było też Podlasie – dziś teren z punktu widzenia polskiego PKB peryferyjny, ale wówczas zaludniony gęściej niż Wielkopolska czy Mazowsze.

Strasznie wojna obeszła się z Drohiczynem. Najpierw został on splądrowany przez Tatarów, którzy popędzili ludność w jasyr (będąc w tamtym czasie w sojuszu z nami). Byli to ci sami Tatarzy, których jak psy tresował sienkiewiczowski Kmicic właśnie po to, aby nie plądrowali. W prawdziwym życiu Kmicica jednak nie stało. Po Tatarach przyszedł Rakoczy, urządzając tu rzeź ludności. Jedyną bogatą ziemią, która w większości uniknęła wtedy grabieży, była Ruś Czerwona. Pamiętać trzeba, że łupiestwom towarzyszyły masowe mordy i gwałty – głównie na chłopach, bo ci nie mogli się okupić jak mieszczanie czy szlachta.

Przewodnik oprowadzający wycieczkę po polskim zamku, nie będąc pewny, jak zakończyć opowieść, może w ciemno powiedzieć: „zniszczony i spalony przez Szwedów w czasie potopu". Kikuty baszt i murów, które smutno wznoszą się nad dzisiejszą Polską, to właśnie skutek tamtych wydarzeń. Szwedzi zrywali posadzki i obalali kolumny, a co cenniejsze materiały brali dla siebie. Resztę sprzedawali, aby opłacić armię. Ze ścian wyrywano wszystko, co metalowe – aby na miejscu przetopić na armaty – lub co drewniane – aby budować obozy dla wojska. Rabowano też mienie zamków, które skapitulowały, nie bacząc na prawa wojny. O mazowieckim Czersku szlacheccy inspektorzy pisali: „Ten



„Szwedzi w Polsce". Obraz Henryka Pilattiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 94eb3b15bc



Pałac Kazanowskich przed zniszczeniem podczas najazdu szwedzkiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

zamek po wojnie szwedzkiej i węgierskiej zastaliśmy pusty, same mury gołe dookoła stoją". W leżącym pod murami miasteczku przed wojną było 206 domów. Po wszystkim ostało się 22. To m.in. z powodu działalności Szwedów mamy tak mało zachowanych kościołów romańskich i gotyckich. Na wsi z kolei niszczono ule, wylewano stawy, przerywano groble. Ponad połowa pól chłopskich leżała odłogiem.

Bezpowrotnie straciliśmy tysiące dokumentów, książek i dzieł sztuki. Zrabowane zbiory bibliotek wzbogacą przecież zwycięzców. Claes Rålamb, radca wojenny okupowanego Poznania, wywiózł z biblioteki jezuickiej kilka tysięcy woluminów. Dopiero 40 lat po wojnie część jego trofeum trafiła do państwowej biblioteki uppsalskiej. Co ocalono z Wołynia przed Kozakami, zostało po kilku latach zrabowane przez Szwedów w Toruniu i Bydgoszczy. Największym miłośnikiem cudzych dóbr był Schering Rosenhane. Jego trofea trzeba było ładować na setki wozów. Warszawskie archiwum Metryki Koronnej było zbyt cenne, aby zostawić je lokalnym dowódcom – splądrowano je więc na bezpośredni rozkaz króla.

Kraków skapitulował, w związku z czym Szwedzi zgodnie z zapisaną umową nie mogli zagrabić archiwów znajdujących się na Wawelu, ale powyrzucali na ziemię dokumenty ze skarbu koronnego, które następnie zbutwiały. Na złom poszła też trumna św. Stanisława znajdująca się w wawelskiej katedrze. Większość krakowskich zdobyczy potonęła jednak w Wiśle. Na szczęście hetman Jerzy Sebastian Lubomirski zdołał wywieźć insygnia koronne i arrasy do Lubowli na Spisz.

Zniszczenie dorobku kulturowego boli jednak bardziej nas niż współczesnych. Szlachtę i mieszczan bardziej przerażała dewastacja mienia użytkowego niż architektury czy rzeźb. Pojęcie zabytku rozumiał może promil populacji europejskiej. „Stare" wcale nie oznaczało wówczas „wspaniałe". „Zniszczyli nam pałace, zamki, pogruchotali rzeźby, poryli freski, więc stworzymy nowe i lepsze" – myślano w XVII stuleciu.

Wyludnione wsie

Ubytek ludności w wyniku potopu był wręcz niewyobrażalny. W Wielkopolsce było to 42 proc. populacji, w Małopolsce 27 proc., na Mazowszu 64 proc., na Pomorzu 60 proc., na Podlasiu 50 proc. Przekładało się to oczywiście na pustki na polach. Najbardziej ucierpiały w związku z tym królewszczyzny. Przykładowo: na Podlasiu w królewszczyznach ubyło 68 proc. ludności, natomiast w prywatnych dobrach szlacheckich spadek ten wynosił „jedynie" 17 proc. ludności. Przy czym głównymi przyczynami wcale nie były mordy popełnione przez wojsko i głód wywołany grabieżami, ale tyfus i dżuma, które szalały w naszym kraju od 1652 r., roznoszone dodatkowo przez wojsko (tyfusem dwukrotnie zaraził się sam Jan Kazimierz). „Z przypuszczenia bożego wszystka wieś Węglewo, jako się była dawno zapowietrzeła, w niwecz wymarła [...]" – była to historia typowa dla wielu wsi koronnych.

Polska wieś została cofnięta o całą epokę. Młyny były zrujnowane, więc zboże mielono znowu żarnem, jak za Piastów. Coraz mniej było zasobnych kmieci, a coraz więcej zagrodników i chałupników mieszkających w lepiankach lub w komórkach u bogatszych sąsiadów. Wymiar pańszczyzny rósł, więc chłopi uciekali przed nią do puszcz, co stało się częste zwłaszcza na Mazowszu.

Ubożsi szlachcie popadali w nędzę i uzależniali się od potężnych magnatów, których wielkie dobra łatwiej poradziły sobie z wojenną pożogą. W miastach dawni rzemieślnicy musieli zająć się rolnictwem. Szybko odbudowała się Warszawa, ale stała się ośrodkiem obsługującym budujących się tu magnatów i prowadzony dla nich handel zagraniczny, a nie rynek wewnętrzny.

Szwedzi i ich sojusznicy nie byli jedynymi sprawcami rabunków i masakr, których dopuszczono się w czasie potopu. Wstyd przyznać, ale bardzo szybko urosła na prowincji rodzima bandyterka, składająca się z przedstawicieli różnych warstw społecznych. Upadek instytucji szlacheckich stał się okazją do załatwienia osobistych porachunków. Jeden mścił się na podkomorzym za niesłuszny w jego mniemaniu wyrok, inny za obrazę na sejmiku, trzeci chciał ukarać kochanka żony. Poza tym sąsiad nasyłał Szwedów na sąsiada, aby samemu uchronić się przed splądrowaniem domostwa.

W wielkopolskim Szubinie 50 mieszczan współpracowało z lokalną kupą swawolną, jak wówczas nazywano grupy przestępcze. Wspólnie napadli na zamek, spustoszyli okoliczne folwarki i przepędzili właścicieli. Rzemieślnicy nie mieli skrupułów, aby kupować od Szwedów materiały budowlane będące pozostałościami po domostwach należących do ich sąsiadów. Kupy swawolne kręciły się koło wojsk Czarnieckiego. „Siła się było ludzi lekkich i bezecnych [...] namnożyło, którzy przed i pozad, stronami i bokami koło wojska J.K, Mci kupami swawolnymi chodząc, [...] szlachtę i różnej kondycyjej ludzi zabijali". Późniejszy hetman kazał

eprasa.pl 94eb3b15bc

tych oprychów masowo wieszać. Chyba że akurat byli przydatni w urządzaniu zasadzek na Szweda – w takim przypadku na ich zbrodnie patrzono przez palce.

Ze Szwedami bratali się protestanccy mieszkańcy Pomorza i Wielkopolski. Dochodziło do plądrowania kościołów katolickich i torturowania księży, czyli scen identycznych jak podczas wojny trzydziestoletniej. „Zniszczywszy kościół katolicki we własnem miasteczku Skokach [...], przybrał sobie do pomocy Szwedów, uzbroił niemieckich Holendrów ze wsi Werdunia pod Obornikami i rozpoczął po okolicy zagony, częścią w zamiarze prostego rabunku, częścią mszcząc się na wieśniakach i mieszczanach za przywiązanie do sprawy narodowej i pomaganie Czarnieckiemu, gdy się w tych stronach ukazał". Cytat ten pochodzi z pracy XIX-wiecznego historyka Kazimierza Jarochowskiego pt. „Wielkopolska w czasie pierwszej wojny szwedzkiej 1655–1657" i dotyczy niesławnej działalności… Mikołaja Reja, prawnuka słynnego humanisty o tym samym imieniu.

„Między innymi zrabował naówczas Rej do szczętu wieś Wełnę; kilkunastu chłopów ze wsi Budziszewa, Włókien i z dóbr skockich kazał powiesić. Za podobne winy i za odgrażanie się na Szwedów ćwiartowano w obecności Reja, przypatrującego się egzekucji z konia, ubogiego krawca z Obornik" – pisze dalej Jarochowski. Z bandyckimi wyczynami Reja może mieć wiele wspólnego działalność chłopów z Boruchowa. Zemścili się oni na właścicielu Wełny, który przed wojną kazał spalić na stosie sołtysa tej wsi, oskarżonego o wywołanie pożaru zabudowań dworskich. Chłopi naprowadzili Szwedów na wieś i wspólnie z nimi spustoszyli folwark.

Kmicicowe kompanie

Upadek tradycyjnych instytucji doprowadzał tu i ówdzie do skrajnego okrucieństwa, bezwzględności i zdziczenia wobec rodaków. Najstraszniejszy przypadek opisano w „Polsce w okresie drugiej wojny północnej". Niejaki Rećko, chłop pochodzący z Brudzewa koło Pyzdr, uciekł wraz z rodziną przed Szwedami i szerzącą się zarazą. Właściciel dóbr, na których znaleźli się uchodźcy, szlachcic o nazwisku Trzciński oskarżył Rećka o to, że roznosi zarazę, więc kazał sługom przywiązać mu kamienie u szyi i utopić w stawie. Chłop jednak przetrwał kaźń, wyczołgał się z sadzawki, ledwo dysząc, i poprosił napotkanych o ratunek. Okoliczni chłopi lub słudzy folwarczni, ze strachu lub głupoty, donieśli o cudownym ocaleniu Trzcińskiemu, który kazał jakiemuś Płóciennikowi zabić nieszczęśnika, tym razem tłukąc go po głowie drągiem, „tak że mózg trysnął". Wdowę po Rećku, zapominając nagle, że podobno była zarażona, morderca oddał słudze, niejakiemu Walentemu Knapowi, być może za wierność, a sieroty po zamordowanym zatrzymał u siebie w charakterze parobków.

Gdy kraj jest rabowany przez wrogów, to na okupowanym terenie pojawia się bandytyzm – taki stan rzeczy wydaje się wręcz czymś naturalnym. Najtrudniej jednak przyjąć to, że wieś czy folwark obrabowane zostały przez nasze własne wojska. Przyczyna była taka jak zawsze – nasz aparat podatkowy opierał się na składkach płaconych przez szlachtę. Przy czym nie jest prawdą, że szlachta na wojsko nie chciała płacić. Wysiłek finansowy i mobilizacyjny Rzeczypospolitej w latach 50. XVII w. był przecież ogromny, ale były to składki doraźne, co powodowało, że nasze wojsko latami pozostawało nieopłacane. Za swoje prawo uważało więc zajmowanie królewszczyzn i życie na ich koszt. Podczas takich kwaterunków dochodziło jednak do wielu nadużyć i gwałtów, doprowadzając do upadku całe wsie. Brudną robotą zajmowała się oczywiście czeladź chorągwi. Towarzystwo wydawało tylko polecenia. W monografii Tadeusza Srogosza „Żołnierz swawolny" przytoczono mnóstwo skarg na nasze wojska. Przykładowo właściciele wsi Wierzbie koło Wielunia pisali: „Żeśmy prawie od Ichmościów odpadli od wszystkich zasiewków i od sprzężajów wszystkich także, od bydeł rogatych i nierogatych, nic nam prawie nie zostało [...], dla tego zniszczenia kilkanaście ludzi z głodu umarło".

Wojska Rzeczypospolitej brutalnie dbały o zaopatrzenie. Zwierzęta hodowlane szły na rzeź, elementy chałup zabierano do budowy obozów, wszystko, co metalowe do przetopienia, konie do taborów, ewentualnie dla dragonów, bo chłopskie do jazdy się nie nadawały.



Zamek w Sandomierzu wysadzony w powietrze przez Szwedów

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 94eb3b15bc



Ruiny zamku w Czersku, zdewastowanego przez Szwedów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Opór karany był biciem. „Porucznik rozkazał obić babę kańczugiem, aby nie wrzeszczała" – zanotowano w innej skardze. Dostać płazem szabli mógł nawet szlachcic. Wojsko było zmorą, nawet jeśli nie zmierzało grabić. Oto pancerni Iwana Wyhowskiego „kazali sobie dawać dostatkiem jeść i pić. Tym popiwszy się, niektórzy z nich powadzili się o jedną białą głowę i strzelając ze sobą w stodoły dwie, ładunek wpadł [...], które się zapalały". Wieś spłonęła doszczętnie. Część przestępstw nie daje się wytłumaczyć inaczej jak tylko demoralizacją wojną. W Wieluniu pijani żołnierze strzelali do obrazów z Matką Boską. Czeladź z rajtarskiej chorągwi słynnego Andrzeja Morsztyna „świni piętnaście cepami potłukli, które na nic się nie nadadzą". Były to prawdziwe kmicicowe kompanie.

Miejscowa ludność – zarówno szlachta, jak i chłopi – organizowała samoobronę przed nadużyciami. Zaraz po wojnie w okolicach Czorsztyna piechurzy Mikołaja Gizy w odwecie spalili Krościenko i Kluszkowce. Nie obyło się bez mordów, ocalałych odzierano do naga i wypędzano. Generalnie jednak gwałty i rabunki popełniane przez nasze wojsko nie miały charakteru planowego, organizowanego przez wyższe dowództwo, jak w przypadku Szwedów.

Bez Lubeki nie byłoby Ujścia

Czy tej hekatomby można było uniknąć? Biorąc pod uwagę fakt, że Szwecja pragnęła uczynić z Bałtyku swoje morze wewnętrzne, byłoby to bardzo trudne. Karola Gustawa do wojowania pchała jego własna, niemająca zajęcia armia. Rozpuścić ją oznaczało skazać kraj na grabieże najemników. Masy rzezimieszków z muszkietami i pikami trzeba było więc gdzieś pchnąć.

Wielu historyków twierdzi jednak, że były spore szanse na uniknięcie wojny. Problemem w stosunkach polsko-szwedzkich było obsesyjne trzymanie się przez naszych Wazów tytułu króla Szwecji. Ich krewniacy za morzem traktowali to jak obrazę. Bali się, że Rzeczpospolita wykorzysta swój wielki potencjał ludnościowy i ruszy ze swoją straszną jazdą po schedę po Zygmuncie Wazie. Szanse na odzyskanie szwedzkiej korony przez Jana Kazimierza były jednak w połowie XVII w. marne. Bardzo źle wiodło się nam bowiem na Ukrainie, a luterańscy Szwedzi nigdy nie zaakceptowaliby króla katolika, którego dodatkowo uznawali za fanatyka i kontrreformatora. Ze szwedzkiej korony trzeba było zrezygnować.

W latach 1651–1653 toczyły się w Lubece polsko-szwedzkie negocjacje. Szwedzi zaproponowali następujący układ: Jan Kazimierz zrzeka się praw do tronu szwedzkiego i godzi na ostateczne uznanie szwedzkości Inflant, które zresztą i tak trzy dekady wcześniej utracił jego ojciec, Zygmunt III Waza. Do tego Szwedzi zaoferowali rozbiór Prus Książęcych – dla siebie wzięliby Bytów i Lębork, a Rzeczpospolita wcieliłaby większość ogromnego terenu do swojego państwa jako województwo, kończąc z pruską autonomią. Z perspektywy lat wiemy, że na taki układ należało się zgodzić. Jan Kazimierz grał jednak ostro. W 1652 r., chełpiąc się berestecką wiktorią nad Kozakami (jak się okazało – chwilową), odrzucił szwedzkie propozycje. Negocjacje zerwano przy wielkim żalu Francji, która – panicznie bojąc się Habsburgów – nie chciała, aby Szwecja, jej sojuszniczka, ugrzęzła w wojnie z Polską, zamiast uderzyć na Austrię.

Stwierdzenie, że w 1655 r. Rzeczpospolita była państwem osłabionym, nie oddaje całej grozy sytuacji. Od 1648 r. cała południowo-wschodnia część kraju ogarnięta była powstaniem kozackim. W próbach stłumienia buntu utraciliśmy mnóstwo wojska. W 1651 r. pod Beresteczkiem Kozacy zostali rozbici, ale nie unicestwieni. Odzyskawszy siły, wspólnie z Tatarami w 1652 r. pod Batohem oblegli wojsko koronne, dokonując potem rzezi jeńców. W pień została wycięta elita armii. To tak, jakbyśmy dziś utracili całą jednostkę GROM, wszystkich pilotów samolotów bojowych i większość żołnierzy mających doświadczenie w misjach zagranicznych.

W 1654 r. Kozacy oddali się w Perejasławiu pod opiekę Rosji i w ten sposób mieliśmy wojnę już nie tylko na Ukrainie, lecz także na całym Wschodzie. Ruszyła na nas cała potęga moskiewska. I nie był to już nieskoordynowany dziki tłum, który biliśmy pod Pskowem, Kłuszynem czy Smoleńskiem, ale dobrze zorganizowana armia, szkolona przez najemników z Niemiec, Francji, ze Szkocji i Szwecji. Wielkie Księstwo Litewskie płonęło. Hetman Janusz Radziwiłł, ten sam, któremu sienkiewiczowski Zagłoba po trzykroć złorzeczył od zdrajców, dwoił się i troił, ale wobec kilkukrotnej przewagi przeciwnika niewiele mógł wskórać. Większość Litwy i połowa Ukrainy znalazły się w rękach wroga. Szwedzi tylko na to czekali. Gdyby górą w tej wojnie była Rzeczpospolita, zaatakowaliby Rosję. Stało się jednak na odwrót i latem 1655 r. sięgnęli po łatwiejszy kąsek.

Gdzie była husaria?

W XVII w. trudno było znaleźć w Europie żołnierza lepszego od Szweda. W lipcu 1655 r. stanęło przeciw niemu pospolite ruszenie; armia zawodowa walczyła wtedy na Ukrainie z połączonymi siłami kozacko-rosyjskimi. Przeciętny szlachcic z pospolitego ruszenia w po-

eprasa.pl 94eb3b15bc

jedynku na szable zapewne posiekałby szwedzkiego czy niemieckiego najemnika, ale o zwycięstwie w bitwie decyduje wysiłek zbiorowy, na który szlachta nie potrafiła się zdobyć. Pierwsze starcie ze Szwedami musiało się więc skończyć katastrofą. W 1655 r. pospolite ruszenie wielkopolskie skapitulowało przed wrogiem pod Ujściem. Do jesieni 1655 r. Karol Gustaw był bliski zdobycia polskiej korony. Poddała mu się przecież zawodowa armia koronna, widząc w krewniaku Jana Kazimierza kogoś, kto uratuje kraj przed nacierającą Rosją. Szwedzkiemu władcy postawiono jednak warunek: ma uszanować ustrój Rzeczypospolitej i po ucieczce dotychczasowego władcy zwołać wolną elekcję. Absolutystyczny Karol Gustaw wzdrygnął się z obrzydzeniem na tę niebywałą propozycję i potraktował kraj jak łup, na co Polacy odpowiedzieliśmy oporem. Doszło więc do kolejnych bitew: pod Żarnowem, Wojniczem, Gołębiem i trzydniowego starcia pod Warszawą. Wszystkie przegrane. W tych bojach walczyła już armia zawodowa. Dlaczego więc doszło do klęsk? I gdzie była husaria, która Szwedów tratowała w poprzednich wojnach?

W Rzeczypospolitej, podobnie jak w innych armiach ówczesnej epoki, nie istniały szkoły husarii, pancernych czy piechoty, których absolwentów można by powoływać pod broń w razie potrzeby. Nie było też chorągwi rezerwowych, złożonych z wysłużonych weteranów, którzy uzupełnialiby szeregi w razie klęski swoich kolegów. Żołnierz szlachecki wynosił z dworu umiejętność walki szablą i układania konia, ale reszty taktyki, zgrania z towarzyszami uczył się w polu, „na gorąco". A ponieważ zaprawieni w bojach żołnierze zostali wymordowani pod Batohem, przeciw Szwedom stanął żołnierz niedoświadczony, słabo zgrywający się z innymi oddziałami.

W czasie potopu zaciągnięto niewiele chorągwi skrzydlatych jeźdźców, ale walczyły one w słynnej bitwie pod Warszawą. Warto przyjrzeć się jej bliżej. Plan maszerującej armii szwedzkiej i wspierających ją wojsk brandenburskich był zuchwały. Nasi wrogowie zamierzali przekroczyć Narew, pobić Litwinów stojących tam, gdzie dziś znajduje się Praga, wrócić na północ, przeprawić się przez Wisłę na zachód i pokonać armie koronne. Wszystko to miało się wydarzyć błyskawicznie. Jednak Jan Kazimierz przeprawił na prawy brzeg Wisły również siły korony, więc Szwedzi skorygowali swój plan, i to na praskiej stronie odbyło się walne starcie.

Husaria zrobiła wtedy to, co do niej należało. Na rozkaz króla zaszarżowała wprost na wroga. Stratowała dwa rzuty szwedzkiej jazdy

Szwedzi szli z północy wąskim pasem nieużytków znajdujących się między Wisłą a zalesionymi wówczas wydmami, po których dziś nie ma już śladu, bo wybudowano na nich bloki, hale FSO i tory kolejowe. Był to dobry moment, aby rozbić maszerującą kolumnę. Przeprowadzenie ataku powierzono jeździe litewskiej – głównie pancernym i chorągwiom lekkim. Jednak nic ona nie wskórała, ponieważ zbyt wolno wychodząc z lasu, dała Szwedom czas na obrócenie się ku niej i odparcie ataku. Szwedzi i Brandenburczycy stanęli więc naprzeciw polskich umocnień. Tu jednak zostali zatrzymani. Pole do ataku było ciasne, teren grząski i odsłonięty, napastników dziesiątkował polski ogień prowadzony ze znakomicie rozplanowanych szańców, których załogi mogły w razie potrzeby pomagać sobie nawzajem.

Karol Gustaw nie był jednak samobójcą i widząc przeszkody, postanowił je obejść. Jego manewr okazał się majstersztykiem. Części armii kazał, tak jak poprzedniego dnia, straceńczo nacierać na polskie szańce, ale służyło to tylko odwróceniu naszej uwagi. Pozostałe kilkanaście tysięcy ludzi podzielnych na czworoboki wykonało nagle zwrot w lewo i ukrywszy się w dymie bitewnym, pomaszerowało wraz z działami kilka kilometrów na wschód lichymi ścieżkami przez lasy i wydmy, po czym skręciło po kątem prostym w prawo, zrobiło kolejny, trzeci już zwrot i stanęło naprzeciw zdumionych Polaków, oskrzydlając ich szańce od wschodu. Armia szwedzka wykonała ten manewr bezbłędnie, jak na paradzie.

Husaria zrobiła wtedy to, co do niej należało. Na rozkaz Jana Kazimierza zaszarżowała wprost na wroga. Stratowała dwa rzuty szwedzkiej jazdy osłaniającej piechotę (z konia zleciał wtedy sam Karol Gustaw, niemal zasieczony przez imć Kowalskiego). Husarii nie wsparł jednak kolejny polski lub litewski rzut, który dobiłby oszołomionych wrogów. Nikt też nie bronił jej z boku. Husarze ugrzęźli więc w walce, a widząc, że nikt im nie pomaga, wycofali się grupkami, celnie ostrzeliwani przez zachodzącą ich z boku piechotę szwedzką. Bitwa była przegrana, ale ostatecznie większości polskich sił udało się wycofać.

Wojsko to system, który opiera się na współdziałaniu różnych wyspecjalizowanych narzędzi, które pozostawione same sobie stają się bezużyteczne. Armia Rzeczypospolitej musiała się tego uczyć na nowo w czasie potopu. Lekcje bywały kosztowne, a z każdą przegraną bitwą kraj łupiony był coraz bardziej. Armia Rzeczypospolitej dawną sprawność odzyska dopiero za Jana Sobieskiego. Dużo gorzej sprawy wyglądały z gospodarką. Aby stanąć na nogi, państwo musiało poczekać 100 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Zagrabiony róg myśliwski Zygmunta III w zbiorach Livrustkammaren w Sztokholmie

FOT. POLONIKA.PL, LIVRUSTKAMMAREN

eprasa.pl 94eb3b15bc



Daniel Schultz, „Portret Jana II Kazimierza Wazy”

FOT. WIKIPEDIA, MUSÉE DE CAMBRAI

Ku przepaści / Jan Kazimierz i Hieronim Radziejowski

Król i zdrajca



Sławomir Koper

Jan Kazimierz nie cieszył się specjalnym uznaniem współczesnych, a historycy również obeszli się z nim dość brutalnie. To bowiem za jego panowania na Rzeczpospolitą spadały straszliwe klęski. Jego walka z Hieronimem Radziejowskim okazała się tragiczna dla państwa

Przyszły król Polski i Wielki Książę Litewski był młodszym synem Zygmunta III i raczej nie miał większych perspektyw na tron na Wawelu. W tej sytuacji postanowił zadbać o własne interesy i poszukać szczęścia na zachodzie Europy. Dzięki pokrewieństwu z Habsburgami (po matce) uzyskał nominację na wicekróla Portugalii i niezwłocznie wyruszył nad Tag. Pomysł okazał się jednak, delikatnie mówiąc, nie najlepszy. Trwała wówczas wojna trzydziestoletnia, a jednym z największych wrogów Habsburgów była Francja. Gdy statek, którym podróżował, został zmuszony przez sztorm do zawinięcia do francuskiego portu, młody Waza natychmiast trafił do aresztu. Zarzucono mu szpiegostwo i królewicz na dwa lata powędrował do więzienia. I dlatego nigdy nie zobaczył kraju, którym miał zarządzać.

W 1643 r. wstąpił do zakonu jezuitów we włoskim Loreto, chociaż ślubów ostatecznie nie złożył. W zamian uzyskał nominację kardynalską, ale gdy zmarł kilkuletni syn Władysława IV, zrezygnował z tej godności. Po śmierci królewicza uchodził bowiem za naturalnego następcę brata, który coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Z tego też powodu nawiązał bliskie kontakty z królową Ludwiką Marią, która odgrywała coraz większą rolę na polskiej scenie politycznej. Ambitna władczyni nie zamierzała kończyć kariery wraz ze spodziewaną śmiercią króla i właśnie Jana Kazimierza upatrzyła sobie na kolejnego męża. Oczywiście po jego elekcji.

Nieudacznik na tronie

Nowy monarcha dotrzymał słowa i cztery miesiące po koronacji poślubił wdowę po bracie. Uzyskał w ten sposób doświadczonego mentora w sprawach politycznych, natomiast kwestie osobiste nie miały w tym związku większego znaczenia. Królowa była bowiem kobietą

eprasa.pl 94eb3b15bc

wyjątkowo mało efektowną i władca planował zaspakajanie swoich potrzeb z innymi damami. Co zresztą miało sprowadzić nieszczęście na całe państwo...

Powszechnie uważano go za osobnika biernego, niezbyt światłego (ponoć żadnej książki nie doczytał do końca), ale jednak monarcha potrafił zaskoczyć swoje otoczenie gotowością do przeprowadzenia nieprzemyślanych akcji. Jan Kazimierz posiadał wrodzone umiejętności dowódcze i odwagę osobistą, chociaż niestety, na polu bitwy nie zwykł słuchać bardziej doświadczonych wojowników.

Jeszcze gorzej prezentowało się życie osobiste władcy. W zadziwiający sposób łączył w sobie bigoterię religijną ze skłonnościami do swobodnego trybu życia. Nie miał jednak klasy zmarłego brata, a w późniejszym okresie chorobliwie bał się żony. Zdarzyło się nawet, że jego gwardziści zatrzymali go na stołecznym zamku, gdy zamaskowany przemykał do kochanki…

Nie lepsze zdanie o Janie Kazimierzu wyrażali dostojnicy państwowi. Jeszcze za życia Władysława IV zażądano od niego złożenia przysięgi na wierność Rzeczypospolitej! Od członka panującej dynastii, syna i brata króla! Marszałek wielki koronny, Łukasz Opaliński, zażyczył sobie, by przyklęknął:

– A czemuż, waszmościowie, przysięgacie żonom, stojąc? – zapytał oburzony Waza.

– Dlatego je też zdradzamy często – wypalił marszałek.

Jedną z wybranek władcy była trzecia żona podkanclerzego koronnego, Hieronima Radziejowskiego. Była ona kobietą ogromnego temperamentu, której jednak nie układało się pożycie małżeńskie. Wydaje się, że Radziejowski zawiódł partnerkę w małżeńskiej alkowie, gdyż pani podkanclerzyna zarzucała mężowi, że jest „impotents", i unikała współżycia seksualnego. W efekcie Radziejowski wprowadził kiedyś do jej sypialni swojego hajduka, wrzeszcząc: „Nie chcesz ze mną copulara, czyń to z hajdukiem!!!". Czasami łacina bywa bardziej dosadna niż język polski…

Wiosną 1651 r. oboje Radziejowscy znaleźli się w szeregach armii kierującej się na Ukrainę w celu ostatecznej rozprawy z Chmielnickim. Wojsku towarzyszyła również przez pewien czas Ludwika



Jan Kazimierz Waza jako kardynał

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LA PINACOTECA NAZIONALE DI FERRARA

Maria, w Krasnymstawie pożegnała jednak małżonka, powracając do Warszawy. Niebawem po kłótni z mężem armię opuściła także Elżbieta Radziejowska. Nie znamy powodów scysji małżonków, ale możemy się domyślać, że podkanclerzy odkrył romans żony z królem. Trzy tygodnie później w ręce Jana Kazimierza wpadł bowiem list Radziejowskiego do Ludwiki Marii, w którym określał go jako nieudacznika o wyjątkowo podłym charakterze. Przy okazji wyrażał jak najgorsze zdanie o własnej żonie mającej „prywatne z królem porozumienia".

Król i szwagrowie

Rozwód oznaczałby dla Radziejowskiego katastrofę finansową, gdyż zgodnie z obyczajami epoki znaczną część magnackich dochodów stanowiły królewskie nadania, starostwa i dzierżawy, które mogły zostać cofnięte. Elżbieta wniosła do związku więcej niż Hieronim i nie zamierzała rezygnować z własnego majątku. Na razie jednak przeniosła się do jednego z warszawskich klasztorów. Przy czym było to działanie wyłącznie pod publiczkę, ponieważ pani podkanclerzyna wcale nie zachowywała się jak zrozpaczona żona. Nie zrezygnowała z wojny z mężem, a jej inwencja miała Hieronima jeszcze nieraz zaskoczyć.

Elżbietę nie bez powodu nazywano „drapieżną tygrysicą"; ta pani rzeczywiście dobrze wiedziała, czego chce. Jej warszawska siedziba (pałac Kazanowskich) uchodziła za najwspanialszą magnacką rezydencję stolicy. Wyposażenie kosztowało fortunę, a podkanclerzyna uznawała je za swoją własność. Zapewne żałowała, że wychodząc za Radziejowskiego, popełniła fatalny błąd i cały posiadany majątek wniosła do małżeństwa.

Podkanclerzy zrobił rachunek zysków i strat. Jego wynik był jednoznaczny: za wszelką cenę nie może dopuścić do rozwodu. Może i faktycznie był „impotents", ale potrafił liczyć. Radziejowski zwrócił się o pomoc do nuncjusza papieskiego, prosząc, aby dostojnik nakłonił żonę do zamieszkania pod wspólnym dachem. Ale jaka kobieta chciałaby dzielić życie z człowiekiem, który groził jej gwałtem swojego hajduka? Elżbieta również odwołała się do nuncjusza, a ten przekazał sprawę rozwodową sądowi konsystorskiemu.

Radziejowskiego nie wpuszczono nawet do pałacu ogołoconego ze sprzętów i po przybyciu do stolicy zastał tam uzbrojonych ludzi żony. Posłusznie zajął pobliski drewniany dworek, natomiast postanowił sprawę załatwić zgodnie z zasadami epoki. Jego ludzie napadli na klasztor Klarysek, gdzie przebywała Elżbieta, ale w jej uprowadzeniu przeszkodziła straż królewska. Jan Kazimierz dobrze znał podkanclerzego i wiedział, czego może się po nim spodziewać. Inna sprawa, że Radziejowski miał się tłumaczyć, iż chciał tylko porozmawiać z żoną, ale ludzie króla nawet na to mu nie pozwolili.



Ludwika Maria Gonzaga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 94eb3b15bc



Triumf Karola X Gustawa nad Rzeczpospolitą. Obraz nieznanego malarza

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Burdy przy klasztornej furcie były jednak zaledwie preludium prawdziwego konfliktu. W Warszawie pojawił się bowiem rodzony brat Elżbiety, podskarbi litewski Bogusław Słuszka. Na polecenie władcy publicznie „afrontował" Radziejowskiego, chcąc sprowokować szwagra. Ten jednak odrzucił wyzwanie na pojedynek, więc rodzeństwo wstąpiło na drogę faktów dokonanych. Pod koniec grudnia 1651 r. Słuszka ze zbrojną gromadą napadł na warszawski dworek zajmowany przez podkanclerzego. Użyto broni palnej, budynek został splądrowany, ludzi Radziejowskiego poraniono, a sam Radziejowski ratował się ucieczką. Strzelanina w centrum stolicy nie zainteresowała jednak straży marszałkowskiej. A działo się to przecież w odległości kilkuset metrów od Zamku Królewskiego, pod bokiem monarchy!

Radziejowski odpowiedział pięknym za nadobne i tydzień później jego ludzie zaatakowali dwór. Sukcesu nie odniósł, ale tym razem Jan Kazimierz zareagował natychmiast. Inna sprawa, że walki były wyjątkowo zażarte – szwagrowie podobno użyli przeciwko sobie armat!

To wydarzenie rozwiązało Janowi Kazimierzowi ręce – monarcha przestał patrzeć przez palce na zajścia w pobliżu zamku i oddał sprawę jurysdykcji marszałkowskiej. Tydzień później instygator (prokurator) koronny wniósł akty oskarżenia przeciwko Elżbiecie Radziejowskiej, Bogusławowi Słuszce i Hieronimowi Radziejowskiemu. Zarzucił im pogwałcenie spokoju publicznego w obecności króla oraz obrazę majestatu, czyli zakłócenie porządku w okresie poprzedzającym rozpoczęcie obrad sejmu. Po kilku dniach zapadł wyrok, który wprawił wszystkich w osłupienie. Wojownicze rodzeństwo ukarano grzywną i osadzeniem w wieży na rok i sześć tygodni, natomiast podkanclerzego skazano na karę śmierci (!), infamię (utratę praw obywatelskich) i konfiskatę dóbr. Taka była sprawiedliwość jego królewskiej mości Jana Kazimierza.

Nikt oczywiście nie wierzył, że podkanclerzy stanie na szafocie (ostatnim warcholącym magnatem straconym w majestacie prawa był Samuel Zborowski). Ale Jan Kazimierz miał prawo przypuszczać, że raz na zawsze pozbędzie się kłopotliwego dostojnika. Zemsta Radziejowskiego miała go jednak zadziwić. I nie tylko zresztą jego…

Smak odwetu

Radziejowski przez Wiedeń trafił do Szwecji i został tam przyjaźnie przyjęty. Królowa Krystyna poświęcała mu dużo uwagi, ale jeszcze ważniejsze było zainteresowanie wszechwładnego kanclerza, Axla Oxenstierny.

Pomimo trwającego rozejmu z Polską wydarzenia w Rzeczypospolitej interesowały bowiem polityków z północy. Obawiano się o los Inflantów zajętych kilkadziesiąt lat wcześniej, nie zapominano również, że polscy władcy nigdy nie zrzekli się tytułu królów Szwecji. A chociaż parlament w Sztokholmie zdetronizował polską linię Wazów, to Zygmunt III i jego potomkowie nigdy nie porzucili marzeń o odzyskaniu szwedzkiego tronu.

Rzeczpospolita nie była jednak jedynym potencjalnym wrogiem Skandynawii w tej części Europy. Posiadłości Szwecji blokowały Rosji dostęp do Bałtyku i konflikt z Kremlem był nieunikniony. W Sztokholmie debatowano nad wyborem przeciwnika, wojna była bowiem konieczna również ze względów ekonomicznych. Szwecja dysponowała doskonałą armią zaprawioną w wojnie trzydziestoletniej, ale jednak była zbyt ubogim krajem, by móc ją utrzymywać w czasach pokoju. Potrzebna była zwycięska kampania obfitująca w rabunek i bogate łupy.

W czerwcu 1654 r. Krystyna abdykowała, a królem został jej wojowniczy kuzyn, Karol X Gustaw. Radziejowski namawiał nowego władcę do ataku na Rzeczpospolitą, ale o kierunku uderzenia Szwedów zadecydował upór Jana Kazimierza. Po raz kolejny podniósł pretensje do szwedzkiej korony, unikał też konkretnych rozmów ze Sztokholmem na temat współdziałania przeciwko Rosji. I to w chwili, gdy Moskwa po ugodzie z Kozakami w Perejasławiu odnosiła sukcesy na Litwie, a Rzeczypospolitej groził całkowity upadek! Jan Kazimierz bez wątpienia zasłużył sobie na trwałe miejsce w galerii najgorszych władców Polski.

Propozycje szwedzkie były bowiem całkiem rozsądne. Atak Skandynawów na Rosję pozwoliłby odzyskać utracone niemal w całości Wielkie Księstwo Litewskie i zapewne zmusiłby do uległości Chmielnickiego. W zamian Szwedzi żądali dwóch portów należących do pruskiego lennika Korony – Kłajpedy i Pilawy. Rzeczpospolita musiałaby zrekompensować Hohenzollernom stratę (zapewne przekazałaby im Warmię), ale pokonałaby groźny zakręt historii, a niewykluczone, że



Hieronim Radziejowski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 94eb3b15bc

nawet przesunęłaby granice na wschód. Skandynawowie oczekiwali jednak, że Jan Kazimierz zrezygnuje z pretensji do szwedzkiej korony, na co król w żadnym wypadku nie chciał się zgodzić.

Przymierze ze Sztokholmem popierali magnaci. Janusz Radziwiłł (hetman wielki litewski) żądał wprost porozumienia ze Szwedami, uznając to za jedyną możliwość ocalenia Litwy przed Moskwą. Podnosiły się głosy, że jeżeli Rzeczpospolita nie zawrze przymierza z Karolem Gustawem, to obok Kozaków i Rosji niebawem przybędzie kolejny przeciwnik. Wszystko jednak na próżno.

Jan Kazimierz nie myślał trzeźwo – pomimo tragicznej sytuacji zażądał rekompensaty za zrzeczenie się tytułu króla Szwecji. Rzeczpospolita stała na skraju upadku – Rosjanie zajęli i spalili Wilno, Kozacy opanowali niemal całą Ukrainę – a król tymczasem nie chciał zrezygnować z marzenia o szwedzkiej koronie…

W lutym 1655 r. Karol Gustaw zadecydował ostatecznie, że to Polska stanie się celem ataku, ponieważ inwazja na Rosję bez sojuszu z Rzecząpospolitą nie rokowała nadziei na sukces. Na nasze nieszczęście władca Szwecji i jego doradcy byli realistami twardo stąpającymi po ziemi. Armii szwedzkiej miał towarzyszyć Radziejowski, by ułatwić porozumienie z przeciwnikami Jana Kazimierza, a przy okazji doradzać najeźdźcom.

Załamanie planów

Uderzenie z północy obezwładniło kraj. Jan Kazimierz schronił się na Śląsku, a uchodząc z kraju, zabrał ze sobą insygnia koronacyjne. Oprócz polskiej korony wywiózł również szwedzką oraz rosyjską (żadna nie miała zresztą w tej chwili większego znaczenia). Dla wszystkich liczyło się wyłącznie to, że monarcha opuścił kraj…

Historycy porównują straty materialne w Koronie w czasach potopu do zniszczeń z okresu drugiej wojny światowej. Po Skandynawach pozostawała faktyczne wyłącznie spalona ziemia, a skutki najazdu widoczne są do dziś. Jeżeli obecnie zobaczymy gdzieś w Polsce ruiny sprzed kilkuset lat, to z dużym prawdopodobieństwem możemy założyć, że obiekt zbudował Kazimierz Wielki, a zagładę przyniósł najazd szwedzki.



Nagrobek Jana Kazimierza w paryskim kościele Saint -Germain-des-Prés, w którym spoczywa jego serce FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIERRE POSCHADEL

Najeźdźcy wywozili wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Nie tylko pieniądze i kosztowności, lecz także wyposażenie domów i pałaców, demontowali posadzki i kolumny, a nawet okna. Najazd na Polskę stał się jedną z podstaw dobrobytu Szwecji, a tamtejsze muzea do dzisiaj pełne są zbiorów zrabowanych nad Wisłą.

Grabież godziła jednak w podstawy materialne szlachty i Karol Gustaw szybko stracił jej poparcie. Hetmani koronni zerwali umowę ze Szwedami i wezwali naród do walki – w całym kraju rozgorzała wojna partyzancka. Na początku 1656 r. Jan Kazimierz powrócił ze Śląska.

Wojna polsko-szwedzka zakończyła się na mocy traktatu zawartego w 1660 r. w Oliwie. Jan Kazimierz zrzekł się pretensji do tronu szwedzkiego, przywrócono granice sprzed wojny, elektor brandenburski zachował niezależność w Prusach Książęcych. Pozostałością po wojnie była jednak potworna ruina kraju, z której Rzeczpospolita już nigdy nie miała się podnieść.

Łaskę odzyskał natomiast Radziejowski, który pokłócił się ze Skandynawami i cztery lata spędził w szwedzkim więzieniu. Po powrocie okazał się wyjątkowo cenną zdobyczą dla stronnictwa dworskiego. W Rzeczypospolitej narastała opozycja przeciwko królewskim planom reform (elekcja następcy za życia monarchy), a stary awanturnik był znakomitym demagogiem. Skutecznie przemawiał do skonfederowanych żołnierzy, owocnie współpracował ze swoim kuzynem, Janem Sobieskim. Przyszły Jan III zapomniał już bowiem o szwedzkim epizodzie w życiorysie, stając się gorliwym zwolennikiem reform i francuskiej opcji politycznej. Inna sprawa, że pobierał za to solidną pensję z paryskiego dworu, a romans z piękną Marysieńką (byłą dwórką Marii Ludwiki) również miał swoje znaczenie…

Na początku 1667 r. Radziejowski został wysłany z misją dyplomatyczną do Turcji i tam w sierpniu spotkała go śmierć. Zmarł po krótkiej chorobie w Adrianopolu w wieku 55 lat (jego ciało przewieziono do Polski). W ostatnich latach nie wypominano mu już zdrady i powszechnie uważano za ofiarę podłej żony i Jana Kazimierza.

Radziejowski zmarł już po całkowitym załamaniu planów pary królewskiej. Nie udało się doprowadzić do vivente rege i zapewnić tron francuskiemu księciu Henrykowi Juliuszowi Bourbon-Condé. Zamiast tego doszło do rokoszu Jerzego Lubomirskiego, którego kulminacją były klęska wojsk królewskich pod Mątwami (jednym z dowódców legalistów był Jan Sobieski) i rzeź zwolenników władcy. Reformy się załamały, a gdy w maju 1667 r. zmarła Ludwika Maria, to rok później abdykował Jan Kazimierz. Był to pierwszy taki przypadek w dziejach Rzeczypospolitej, ale trzeba przyznać, że władcy praktycznie nikt nie żałował. Były monarcha zmarł w grudniu 1672 r. we Francji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Wojna ze Szwecją / Polska władczyni na froncie

Niemalowana królowa

Jan Matejko, „Śluby Jana Kazimierza” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU



Grzegorz Janiszewski

Jedną z bohaterek „Potopu”, obok Kmicica, Wołodyjowskiego czy Zagłoby, z powodzeniem mogłaby być Maria Gonzaga, nazywana „niebiałogłową”. Gdyby nie śmiałość, wysiłki i pieniądze królowej, losy Polski mogłyby się potoczyć jeszcze bardziej tragicznie

Pochodząca ze znakomitej francuskiej rodziny królowa wdowa była naturalnym wyborem dla Jana Kazimierza po śmierci jego brata Władysława IV. Zwłaszcza że nie trzeba było spłacać ogromnej pożyczki, którą król dostał od królowej na wojnę z Turcją, ani wypłacać uposażenia dla nowej władczyni. Maria Gonzaga miała królewskie ambicje, spory majątek i zamierzała to wszystko wykorzystać, żeby zmienić Rzeczpospolitą. Jak scharakteryzował królową Wiktor Czermak, bodaj największy znawca jej życia: „Maria Gonzaga – wiedziano to powszechnie – nie była malowaną królową. Uderza w tej kobiecie żywy, przedsiębiorczy umysł, niezwykła energia i giętkość ducha; wszystkie jej przedsięwzięcia i czynności cechuje pewna, niezwykła w niewieście, męskość i krewkość”. Miało się to okazać decydujące w czasie potopu szwedzkiego.

Uciec, żeby wrócić

W tym czasie Kraków stanowił szczególny punkt na mapie Rzeczypospolitej. Nie tylko jako całkiem niedawna stolica i królewska nekropolia, lecz także bogate miasto, otoczone fortyfikacjami zdolnymi wytrzymać tygodnie oblężenia. To właśnie tu Jan Kazimierz zamierzał się schronić i stąd chciał dowodzić obroną państwa przed Szwedami.

14 sierpnia 1655 r. do miasta przybyła królowa z orszakiem i skarbcem królewskim. Od początku swojego pobytu nalegała na mieszczan, żeby przygotowywali obronę. Nie było to łatwe, bo patrycjat w większości opuścił miasto, a biedota nie była w stanie opłacić takiej operacji. Wobec tego królowa na obronę miasta oddała swoje klejnoty. Nakłoniła też biskupa krakowskiego Piotra Gembickiego do wystawienia własnym sumptem 800 żołnierzy piechoty. Wydano broń cechom i kazano im trzymać straże. Mury były naprawiane; pojawiły się też szańce.

Do tak przygotowanego miasta miesiąc później przybył Jan Kazimierz, jednak po bezowocnych negocjacjach z odmawiającymi walki nieopłaconymi żołnierzami postanowił udać się na Śląsk. Krakowa polecił bronić Stefanowi Czarnieckiemu – oddanie bez walki dawnej stolicy mogło być poczytane jako odstąpienie Karolowi Gustawowi polskiej korony.

Szwedzi przybyli pod miasto 25 września. Jak zapisał kronikarz ks. Starowolski, „rozbiegli się po całym Kazimierzu z wściekłą furyą, z dobytym gołym orężem poczęli domy, kamienice rabować, wpadli tedy w kościół Bożego Ciała, ludzi w kościele odzierali, nikogo przecie nie zabijając, ani raniąc”. Karol Gustaw miał wciąż nadzieję, że zostanie przez mieszkańców uznany za polskiego króla.

eprasa.pl 94eb3b15bc

Niezwłocznie po przybyciu wysłał do mieszczan parlamentariuszy z propozycją poddania się, obiecując im królewską łaskę. Czarniecki odpowiedział mu w następujący sposób: „Kraków dwóm panom podlegać ani nie chce, ani nie może, bez złamania wiary, którą nad życie ceni, że wolą wszyscy będący w mieście zasypać się gruzami, aniżeli wpuścić do miasta wroga króla Kazimierza i próżne są pogróżki walecznym czynione".

Wobec takiego stanowiska Polaków szwedzki monarcha kazał natychmiast szturmować miasto. Najeźdźcy opanowali Stradom, wnieśli działa na strychy domów i z wysokości zaczęli razić obrońców skrytych za murami. Czarniecki dla przykładu sam nosił wodę do gaszenia podpalonej szwedzkim ogniem wawelskiej baszty. Został wówczas poważnie ranny w policzek, ale nie przestał dowodzić. Zaczęło się regularne oblężenie. Miasto broniło się dzielnie. Atakujących do walki zagrzewał sam Karol Gustaw, który o mało co nie stracił życia, kiedy podczas ataku zabito pod nim konia. W końcu Czarniecki, widząc jak beznadziejna jest sytuacja w kraju, postanowił poddać miasto. Karol Gustaw zaproponował mu przejście na szwedzki żołd, dając miesiąc do namysłu.

Niezdecydowany hetman udał się do Będzina. Stamtąd potajemnie przyjeżdżał do Głogówka na Śląsku, gdzie schronił się Jan Kazimierz z żoną



Karol X Gustaw i Szymon Starowolski w katedrze wawelskiej. Obraz Jana Matejki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Ludwika Maria Gonzaga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

i dworem. Decyzja, komu służyć, nie była łatwa. W tym czasie wolne od szwedzkiej i rosyjskiej okupacji były tylko Lwów, tereny na południowym wschodzie i skrawki Pogórza. Wydawało się, że zaraz nastąpi „finis Poloniae". Wahał się również Jan Kazimierz. Magnaci namawiali go do abdykacji na rzecz Karola Gustawa, co miało uratować Rzeczpospolitą (i rzecz jasna ich majątki). Król był zrezygnowany. Sekretarz królowej Pierre Des Noyers zapisał wtedy: „Bawił się małpami i karłami; kobietami jedynie myśli sobie zaprzątał". Nawiasem mówiąc, podczas jednej ze schadzek, kiedy incognito, w kapturze na głowie, wchodził po drabinie do alkowy kochanki, miał nawet zostać złapany przez straż i obity, zanim go rozpoznano.

Poddawać nie zamierzała się za to Maria Gonzaga. Kluczowe było pozyskanie do walki dowódców wojskowych, za którymi poszłoby będące w rozsypce wojsko. Królowej udało się przekonać Czarnieckiego do pozostania przy polskim królu. Swoją inicjatywą i energią przekonywała do kontynuowania wojny ze Szwecją również innych dworzan, w tym marszałka wielkiego koronnego Jerzego Lubomirskiego. Ostateczna decyzja zapadła w Opolu, gdzie na 13 listopada zwołano posiedzenie senatu. Zjawiło się zaledwie kilkunastu senatorów; inni na Janie Kazimierzu postawili już krzyżyk. Obrady zaczęły się w minorowych nastrojach. Senatorowie chcieli kontynuacji rozmów z Karolem Gustawem, natomiast królowa wzywała do ratowania kraju i szukania pomocy za granicą. Mając wsparcie Czarnieckiego, który w tym czasie wyrósł na naczelnego dowódcę, a także „ministra spraw wewnętrznych" Lubomirskiego, przekonała w końcu senatorów do zerwania rozmów ze Szwedami i dalszej walki z nimi. Za namową królowej Jan Kazimierz 18 grudnia 1655 r. z Głogówka wyruszył z powrotem do kraju.

Królowa wpadła też na pomysł, jak zmobilizować pospólstwo do stawiania oporu. Chłopom w zasadzie było obojętne, dla kogo będą odrabiać pańszczyznę, ale obrażania wiary katolickiej, a zwłaszcza Najświętszej Panienki, wybaczyć nie mogli. Walnie przyczynili się do tego sami Szwedzi, mordując i wypędzając zakonników i księży, nakładając mordercze kontrybucje na klasztory i urządzając stajnie w kościołach. Maria Gonzaga postanowiła to wykorzystać. Prawdopodobnie to od niej wyszedł pomysł oddania Rzeczypospolitej pod opiekę Najświętszej Marii Panny. 1 kwietnia 1656 r. w katedrze we Lwowie Jan Kazimierz ślubował również polepszenie sytuacji chłopów i mieszczan:

„Z wielkim bólem serca mego wyznaję, że za łzy i krzywdy włościan w królestwie mojem Syn Twój, sprawiedliwy sędzia, przez siedm lat już dopuszcza na nas kary powietrza i wojen, przeto obiecuję i przyrzekam oprócz tego, iż ze wszystkimi mymi stanami po przywróceniu pokoju wszelkich dla odwrócenia tych nieszczęść użyję środków i postaram się, aby lud królestwa mego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony". Niestety, o ślubach tych zapomniano zaraz po tym, gdy chłopi przestali być potrzebni do walki ze Szwedami.

Ze Śląska do Warszawy królowa wyruszyła pod koniec czerwca 1656 r. Po drodze odwiedziła klasztor na Jasnej Górze, gdzie uroczyście zwróciła cudowny obraz Maryi (w obawie przed Szwedami został on wywieziony do klasztoru w Mochowie pod Głogówkiem). I to z jej inicjatywy zaczęto rozpowszechniać informację o obronie klasztoru przed Szwedami i cudownym ocaleniu obrazu.

Na ostrzu szabli

Po powrocie do kraju, oprócz intensywnych działań dyplomatycznych, królowej zdarzyło się nawet kilka razy brać udział w walkach niemal z bronią w ręku. Pod koniec lipca 1657 r. Szwedzi i sprzymierzeni z nimi Brandenburczycy

eprasa.pl 94eb3b15bc

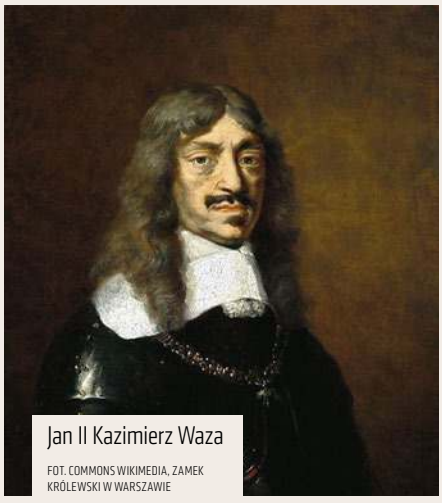


Zamek w Głogówku FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JERZY STRZELECKI

podeszli pod Warszawę. Mimo nalegań Czarnieckiego, aby nadal prowadzić wojnę szarpaną, Jan Kazimierz postanowił wtedy wydać walną bitwę. Polacy mieli przewagę liczebną, za to Szwedzi doświadczonych w bojach weteranów i więcej dział.

Plan Szwedów był skomplikowany. Najpierw chcieli rozbić znajdujących się na prawym brzegu Wisły Litwinów, zniszczyć most pontonowy przerzucony przez rzekę, a następnie wrócić na lewy brzeg pod Zakroczymiem i pobić wojska koronne. Kluczowe były szybkość i koordynacja. Bitwa miała zostać rozegrana w dwa dni – po jednym na wojska litewskie i koronne. Szwedzi i Brandenburczycy zostawili tabory i zaczęli przeprawę po mostach pontonowych przez Wisłę. Tymczasem Jan Kazimierz całość wojska skoncentrował na północ od Pragi. Rozmieścił je na wydmach, które nadawały się doskonale do obrony, dodatkowo fortyfikując je szańcami. Karol Gustaw nie spodziewał się Polaków i Litwinów walczących razem. Kiedy jednak zobaczył pole bitwy był pewny wygranej – na mierzącym ok. 1,5 tys. metrów pasie podmokłej łąki, poprzecinanej rowami i strumykami, nie dało się użyć polskiej kawalerii. Nie znaczyło to jednak, że będzie łatwo. Dobrze umocnieni Polacy i Litwini pierwszego dnia ogniem dział i muszkietów odparli kilka ataków przeciwnika, zadając mu ciężkie straty.

Następny dzień nie był już tak pomyślny dla wojska Rzeczypospolitej. Szwedzi wraz z Brandenburczykami związali częścią swoich sił piechotę na szańcach, a reszta przemieściła się i uderzyła z flanki. Polsko-litewska jazda nie mogła się rozwinąć z braku miejsca. Jej szarża została odparta salwami z muszkietów szwedzkich rajtarów. W tym czasie królowa obserwowała bitwę z tarasu Pałacu Kazimierzowskiego. Nie mogła jednak tam wytrzymać, więc zaczęła objeżdżać pozycje polskiej artylerii, ulokowane na lewym brzegu Wisły. Jak pisał jej sekretarz, widząc, że kule nie dochodzą, „kazała wyprzędz konie ze swej karety i dwa największe działa przewieźć niżej na cypel, który w rzekę wchodził, na małą grobelkę naprzeciw nieprzyjaciela. Natychmiast działa się odezwały, i tak im dokuczyły, że musieli się usunąć, uchodząc do lasku. Padło około czterdziestu jeźdźców hr. Waldecka, jak nam mówili wzięci z tego korpusu jeńce". Sama królowa w tym czasie siedziała na bębnie i okryta tatarską burką zagrzewała żołnierzy do walki, wiwatując po każdym strzale. Bitwa zakończyła się wycofaniem wojsk polsko-litewskich na drugą stronę Wisły, ale Maria Gonzaga nie miała zamiaru oddawać pola.



Jan II Kazimierz Waza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Pod koniec 1657 r. w okolicach Gdańska Jan Kazimierz prowadził rokowania z francuskim posłem Antoine'em de Lumbresem. Stawka była wysoka. Chodziło nie tylko o zawarcie pokoju ze Szwecją, lecz także przeciągnięcie Rzeczypospolitej na stronę francuską i osłabienie związków z cesarstwem. Rokowaniami żywotnie zainteresowana była królowa, która udała się do męża. W tym czasie Gdańsk został odcięty przez Szwedów. Karol X chciał co prawda kurtuazyjnie przepuścić królową, ale ta nie miała zamiaru korzystać ze szwedzkiego wsparcia. O pomoc poprosiła stojącego z wojskiem w Piotrkowie Trybunalskim Stefana Czarnieckiego. Hetman ruszył razem z nią na północ, ciągnąc ok. 10 tys. ludzi.

Karoca w tarapatach

O wyprawie dowiedział się Karol X, który ruszył Czarnieckiemu naprzeciw. Jako straż przednią wysłał jednego ze swoich najlepszych zagończyków, płk. Rutgera von Ascheberga, z 22 kompaniami jazdy. Drugiego stycznia Szwedzi zaatakowali odpoczywających po świętach Bożego Narodzenia Polaków. Tak opisał to sam Ascheberg w raporcie dla króla:

„Stanąłem tam w lesie, o parę strzałów z muszkietu od mostu. Była tam mała wioska, gdzie uzyskałem pewną wiadomość od wójta, zwanego chłopskim leśnikiem, że tylko o jedną czwartą mili od tego przejścia, na kwaterach, w dużej wsi, stoi silny regiment księcia Wiśniowieckiego i że nie wystawił on żadnych straży. Na taką wiadomość postanowiłem w Imię Boże przebyć to przejście. Wpierw dobrze się zastanowiłem nad wyznaczeniem tych, którzy mieli pierwsi poprowadzić sprawę. Potem rozkazałem wymościć słomą cały most, żeby nie było słychać żadnego hałasu. Ruszyłem więc w Imię Boże na wspomnianą wieś, a tak szczęśliwie, że przybyłem do niej bez wzniecenia żadnego alarmu, a było ich tam pełno jak mrówek. Zaraz podpalono domy i wycięto wszystkich, którzy wypadali z tych domów w nasze ręce, tak

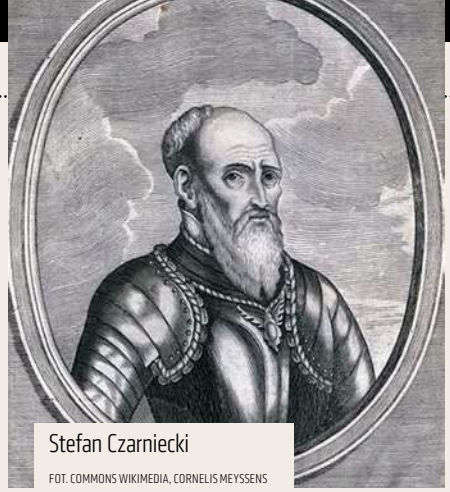
eprasa.pl 94eb3b15bc

że z regimentu, który liczył ponad tysiąc sześćset koni, nie uszło więcej niż stu pięćdziesięciu".

W trakcie walk w niebezpieczeństwie znalazły się tabory, gdzie w karecie przebywała królowa. Trzeba było ją w pośpiechu ewakuować do pobliskiej chaty. Po pewnym czasie polscy dowódcy zapanowali nad swoimi oddziałami i zaatakowali Szwedów. Ascheberg zdołał się wycofać, ale w pościgu stracił ok. 300 żołnierzy. Czarniecki ustąpił dopiero na wieść o zbliżających się głównych siłach szwedzkich. Maria Gonzaga dalej naciskała na dowódców, żeby wyprawić się do Gdańska i przywieźć Jana Kazimierza, zanim wpadnie w szwedzkie ręce. Poparł ją Czarniecki, ale pozostali odmówili, tłumacząc, że wojsko jest głodne i czeka na zaległy żołd. Królowa obiecała, że z własnych funduszy wypłaci na to 120 tys. talarów. Czarniecki pod koniec lutego przywiózł wreszcie do Kalisza Jana Kazimierza.

Toruń został zajęty przez Szwedów już na początku potopu, w grudniu 1655 r. Miasto i twierdza stanowiły jeden z ważniejszych punktów na mapie Polski. Pozwalały na panowanie nad całym dolnym odcinkiem Wisły i pobieranie ceł z handlu na wodnej drodze do Gdańska. Polskie przygotowania do zdobycia miasta bronionego przez 3 tys. Szwedów i miejscowej załogi zaczęły się już jesienią 1657 r. Kilka prób zdobycia Torunia skończyło się fiaskiem i zniszczeniem przedmieść. Poważną próbę podjęto dopiero rok później, we wrześniu 1658 r., po podciągnięciu ponad 20 tys. żołnierzy i przybyciu pod mury twierdzy Jana Kazimierza i jego małżonki. Toruń został otoczony stanowiskami artylerii, z których bombardowano miasto.

Zapowiadały się ciężkie walki. Królowa przybyła pod Toruń 23 września i od razu zaczęła zagrzewać żołnierzy do walki, objeżdżając pozycje w karecie. Być może Szwedzi widzieli jej starania, bo w pewnej chwili granat wystrzelony z ich działa musnął dach pojazdu królowej i wylądował w przydrożnym polu, wyrywając w nim pokaźną dziurę. Maria Gonzaga w ogóle się tym nie przejęła i kontynuowała objazd... Miesiąc później polscy żołnierze zdobyli trzy kluczowe bastiony twierdzy, z których zaczęli prowadzić ostrzał, powodując poważne



Stefan Czarniecki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CORNELIS MEYSSENS

zniszczenia w mieście. Do tego doszły wieści o szwedzkich niepowodzeniach w wojnie z Danią i przejęciu przez holenderską flotę kontroli na Bałtyku. Załoga twierdzy poddała się 30 grudnia 1658 r.

Królowa uczestniczyła nie tylko w działaniach militarnych, lecz także w najważniejszych rozmowach politycznych. To ona zabiegała o pomoc u cesarza, ona też odegrała decydującą rolę w negocjowaniu układów welawsko-bydgoskich. Układów dla Rzeczypospolitej zabójczych, ale w tamtym czasie niezbędnych dla jej przetrwania i odciągnięcia Wielkiego Elektora od Szwedów. Maria Gonzaga odegrała też znaczącą rolę w negocjowaniu kończącego wojnę ze Szwecją pokoju w Oliwie.

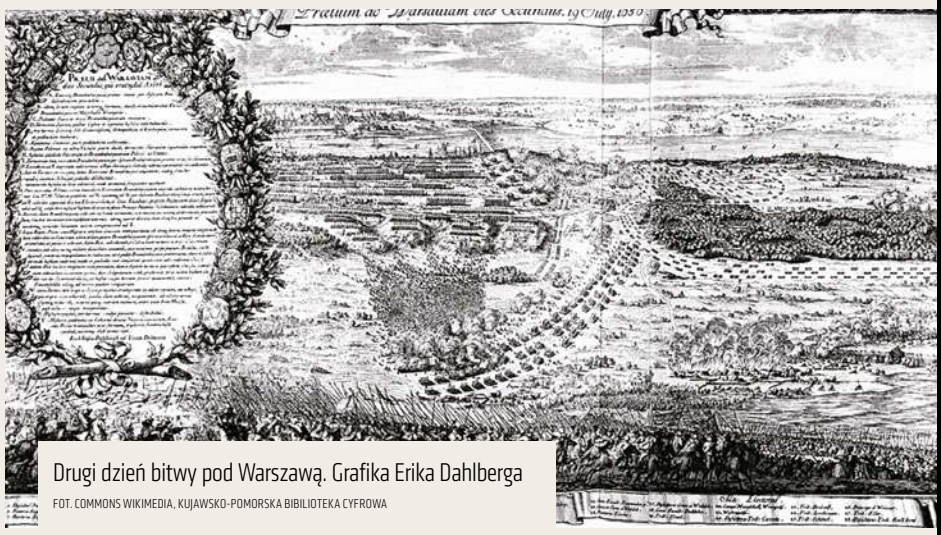
Nie(d)oceniona królowa

Po potopie królowa zaangażowała się w umacnianie władzy królewskiej i zbliżenie Rzeczypospolitej do Francji. Zmyślnie wykorzystywała do tego swój fraucymer. Dwórki przywiezione z Francji wydawała za polskich możnych, mając przez to na nich wpływ. Najlepszym przykładem była Maria Kazimiera d'Arquien wydana za Jana Sobieskiego. Próby ograniczania liberum veto i wprowadzenia elekcji vivente rege skończyły się jednak rokoszem Lubomirskiego i szczerą nienawiścią części szlachty podburzanej do buntu w imię „tradycyjnych" wartości. Królowa zmarła w 1667 r. W następnym roku pozbawiony jej wsparcia i zmęczony ciągłymi konfliktami z własnymi poddanymi Jan Kazimierz abdykował i wyjechał z kraju.

Za Marią Gonzagą długo ciągnęła się czarna legenda. Nazywano ją „przeklętą francuzicą", „francuską megierą" i „przeklętą harpią". Niesłusznie, bo w dużej mierze dzięki niej zagłada Rzeczypospolitej została przesunięta o ponad wiek. Istniała też realna szansa naprawy chorego państwa. Była bardziej przenikliwa niż większość jej współczesnych. Jak sama mówiła: „Polska jest niezrównanym królestwem, na którym sami krajowcy się nie znają, a które niweczy wolność ich nieokiełznaną porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładczego dojdzie, świat cały podbije".

Docenić to potrafili nieliczni. Wśród nich był Jan Matejko, który na swoim ostatnim z wielkich obrazów, przedstawiającym ślubowanie Jana Kazimierza we Lwowie, uczynił z królowej centralną postać, mimo że nie była nawet obecna na ceremonii.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Drugi dzień bitwy pod Warszawą. Grafika Erika Dahlberga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KUJAWSKO-POMORSKA BIBILIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 94eb3b15bc



Wywiad / Z dr. Dennisem Hoganem, wykładowcą Uniwersytetu Harvarda, znawcą historii Ameryki Centralnej

rozmawia Piotr Włoczyk

Panamski łącznik

Wejście do Kanału Panamskiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAUL HARRISON

Francuzi próbowali zbudować w Panamie kanał na podobnej zasadzie jak w Egipcie. Warunki w Ameryce Centralnej były jednak dużo trudniejsze i dopiero Amerykanie byli w stanie stworzyć ten cud inżynierii

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego George H.W. Bush postanowił brutalnie usunąć w grudniu 1989 r. człowieka, który oddał wcześniej takie przysługi CIA?

DR DENNIS HOGAN: Manuel Noriega pracował dla CIA, podobnie jak inni współpracownicy agencji, którzy później stali się głośnymi wrogami USA: Saddam Husajn, mudżahedini czy Osama bin Laden. W latach 80. Noriega, który rządził żelazną ręką Panamą, był ważnym elementem amerykańskiej strategii walki z wpływami komunistycznymi w Ameryce Środkowej. Ale równolegle wykorzystywał swoje umocowanie w Waszyngtonie do przerzutu narkotyków. Administracji George'a Busha seniora nie podobało się, że Noriega gra na dwie strony, przez co nie można już mu było ufać. Dlatego Amerykanie postanowili go obalić w grudniu 1989 r.

To nie była bezkrwawa interwencja...

Zginęło wówczas mnóstwo ludzi. Oficjalnie życie straciło ok. 500 osób, ale niektóre panamskie źródła mówią o nawet 3 tys. zabitych. W wyniku amerykańskiego nalotu szczególnie ucierpiała El Chorrillo, dzielnica stolicy – miasta Panama [w języku angielskim znanego jako Panama City – przyp. red.]. To biedna dzielnica, gdzie do dziś mieszkają robotnicy. Nie tylko zatem mieliśmy tam do czynienia z brutalną inwazją, lecz także po wszystkim rodziny ofiar nie mogły się doprosić rzeczowego ustalenia faktów.

Waszyngton twierdził, że usunął dyktatora i pomógł Panamczykom odzyskać wolność.

Nie ma wątpliwości, że Noriega był dyktatorem. Myślę, że wielu Panamczyków chciało się go pozbyć, ale na pewno nie w taki sposób...

Na początku swojej drugiej kadencji Donald Trump głośno postawił sprawę „przywrócenia kontroli" USA nad kanałem. Jak zareagowali na to Panamczycy?

Takie stawianie sprawy siłą rzeczy musiało u wielu obywateli Panamy wywołać skojarzenia z rokiem 1989. Kanał to ich duma narodowa i utrzymanie kontroli nad tym szlakiem jest absolutnie kluczowe dla Panamy.

Co ciekawe, jak zauważył pan w swoim tekście opublikowanym w „The New York Times", bez USA Panama raczej nie miałaby szans na niezależność. Ale oczywiście to nie był ze strony Waszyngtonu żaden gest dobrej woli, lecz stał za tym konkretny interes. Z czego wynikała amerykańska pomoc?

Tę opowieść należałoby zacząć w latach 80. XIX w., gdy francuska firma próbowała zbudować w Panamie kanał. To było prywatne przedsięwzięcie, które nie wypaliło. Stało się tak z kilku powodów.

eprasa.pl 94eb3b15bc



Amerykańska karykatura, przedstawiająca prezydenta Theodore'a Roosevelta, odnosząca się do Kanału Panamskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHARLES GREEN BUSH

Po pierwsze, Francuzi chcieli zbudować kanał w najprostszy sposób, łącząc oba oceany bez wykorzystania systemu śluz. Takie rozwiązanie miało sens w Egipcie na półwyspie Synaj, gdzie pustynia niewiele wznosi się ponad poziom morza. Francuzi chcieli to samo powtórzyć w Panamie, jednak w Ameryce Środkowej warunki są inne niż na Synaju. Panama jest górzysta, pokryta gęstymi lasami deszczowymi. Inna sprawa to klimat – i tu, i tu jest gorąco, ale na Synaju jest bardzo sucho. W Panamie z kolei, z powodu wilgotności, problemem były błoto i insekty, które powodowały bardzo niebezpieczne choroby – malarię i żółtą gorączkę. Nawet 15 tys. ludzi straciło życie, pracując przez osiem lat przy francuskim projekcie. W większości byli to czarni pracownicy z Karaibów.

Taki sposób budowy okazał się jednak zbyt kosztowny – Francuzi nie byli w stanie dokończyć projektu. W końcu prawda wyszła na jaw...

We Francji wybuchł wielki skandal. Gdy inwestorzy stracili już pieniądze, okazało się, że spółka budująca kanał tak naprawdę nigdy nie miała płynności finansowej, a wysoko postawieni politycy byli przekupywani, by ukryć prawdę o finansach firmy. W latach 90. XIX w. inwestorzy poszukiwali kupca na resztkę majątku spółki – kanał zbudowany był w ok. jednej czwartej – który byłby skłonny kontynuować ten projekt.

Kolumbia, która wciąż kontrolowała Panamę jako swoją prowincję, również była tym zainteresowana. Jednak problemem była destabilizacja tego państwa. Między 1885 i 1903 r. Kolumbijczycy przeżyli trzy wojny domowe toczone między liberałami i konserwatystami.

I w związku z tym Waszyngton nieraz interweniował.

Tylko między 1846 r. a 1903 r. Amerykanie interweniowali w Kolumbii co najmniej 13 razy. I mieli dokument, który mogli pokazać jako podstawę prawną dla takich działań. W 1846 r. USA podpisały bowiem traktat z Kolumbią, który wprost dawał Waszyngtonowi prawo do interwencji mających zagwarantować bezpieczeństwo drodze biegnącej przez Przesmyk Panamski. Musimy pamiętać, że zanim zbudowano kanał, biegła tamtędy droga lądowa pozwalająca przerzucać towary między portami położonymi po obu stronach przesmyku. I była ona wykorzystywana od setek lat – pierwsi używali jej Hiszpanie, transportując srebro lądem z leżącego nad Pacyfikiem miasta Panamy do Portobelo nad Morzem Karaibskim, skąd galeony zabierały cenny ładunek do Hiszpanii.

W 1902 r., pod koniec wojny tysiąca dni, ostatniego, najbardziej krwawego konfliktu wewnętrznego w Kolumbii, Waszyngton pomógł zawrzeć pokój między zwaśnionymi stronami, dając do zrozumienia, że Ameryka zamierza zbudować w Panamie kanał.

Co odgrywało tu decydującą rolę?

Po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej 1898 r. USA przejęły Kubę, Portoryko i Filipiny. Ameryka stała się wówczas imperium atlantycko-pacyficznym. Szlak przez Amerykę Środkową był niezbędny, by usprawnić przerzucanie sił zbrojnych. Trasa dookoła Ameryki Południowej była kompletnie nieekonomiczna, a przy okazji była też niebezpieczna. W trakcie wojny hiszpańsko-amerykańskiej głośny był przypadek okrętu USS „Oregon", który miał się przedostać z Pacyfiku na Karaiby. Podróż trwała aż 66 dni – trzeba było przepłynąć 14 tys. mil – co wywołało w USA powszechne oburzenie. I dlatego Waszyngton uznawał zbudowanie kanału za priorytet.

USA przedstawiły traktat Hay-Herrán, który jednak został odrzucony w kolumbijskim senacie. Powodem były słabe warunki zaproponowane Kolumbii. Zamiast poprawić warunki traktatu, USA nawiązały współpracę z Philippem Bunau-Varillą, który pracował przy francuskim projekcie, oraz z przedstawicielami panamskiej elity, którzy czuli, że ich przyszłość jest bezpośrednio powiązana z kanałem. Amerykanie postanowili w końcu odciąć Panamę od Kolumbii i negocjować bezpośrednio z Panamczykami.

Czyli brutalna prawda jest taka, że Panama powstała po to, by Amerykanom łatwiej było zbudować kanał?

Tak. Kolumbijczycy byli większym i trudniejszym partnerem w negocjacjach, a ponadto kolumbijska scena polityczna była tak wybuchowa, że nie dawała USA perspektyw na stabilną, przewidywalną współpracę. Pojawiła się więc myśl, że mniejsze państwo, bardziej zależne od Ameryki, będzie dawało lepszą rękojmię spokoju. Amerykanie oczywiście chcieli też zagwarantować sobie prawo do interweniowania w sprawy wewnętrzne Panamy, by zabezpieczyć swoje interesy.

Secesja przebiegła bez większych problemów?

To był dosyć łatwy proces. Część panamskich elit ogłosiła niepodległość, ich ludzie podeszli pod garnizon wojsk kolumbijskich i kazali wracać im do Kolumbii. Swoje zrobiło na pewno to, że w pobliskim porcie znajdował się amerykański okręt wojenny, który miał zadbać o to, by nie doszło do zbrojnego oporu ze stron Kolumbii. W rezultacie doszło do niemal bezkrwawej secesji. Kolumbijczycy doskonale wiedzieli, że gdyby chcieli odbić Panamę, to nie walczyliby tylko z Panamczykami.

Jak posuwały się prace nad kanałem po utworzeniu Panamy?

eprasa.pl 94eb3b15bc



Budowa Kanału Panamskiego, 1907 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dosyć sprawnie. Amerykanie ściągnęli na miejsce ogromne maszyny, które robiły wrażenie na fotografiach zamieszczanych w prasie. Zmieniono też projekt, stawiając na system śluz, dzięki czemu nie trzeba było robić tak potężnych wykopów. Co ważne – niemal wyeliminowano tam choroby tropikalne. W ciągu dwóch dekad dzielących etap francuski i amerykański doszło bowiem do przełomu – naukowcy udowodnili, że komary roznoszą choroby tropikalne. Gdy Amerykanie budowali kanał, duże środki zainwestowali w tępienie komarów; specjalne „korpusy sanitarne" opryskiwały benzyną stawy i bagna, by zabić larwy komarów. Te zabiegi okazały się kluczowe dla zdrowia ludzi pracujących przy tym projekcie.

Widać tutaj ciekawy zbieg okoliczności. Kanał został otwarty w sierpniu 1914 r., gdy Europa właśnie pogrążała się w krwawej wojnie...

Trudno o większy kontrast między Starym a Nowym Światem. Amerykanie czuli, że właśnie zaczyna się ich złota era bogacenia się, ale też era pokoju. To był jeden wielki wybuch optymizmu, ogólnonarodowa fiesta.

Kanał Panamski był „dzieckiem" Theodore'a Roosevelta?

Myślę, że można tak to ująć. Po kilku latach Ameryka naprawiła relacje z Kolumbią i wynegocjowała traktat, w którym Waszyngton zobowiązywał się do wypłaty odszkodowania za utratę Panamy. Co ciekawe jednak, traktat w pierwotnej formie nie został zaakceptowany przez... USA, ponieważ znalazły się w nim przeprosiny za okoliczności, w których oderwana została od Kolumbii Panama. Powodem było stanowisko Roosevelta, który nie godził się na takie sformułowanie. Mimo że nie był już prezydentem, wciąż miał wielkie wpływy w Waszyngtonie i jego presja zrobiła swoje. Dla niego przejęcie Panamy było powodem do dumy, a nie przeprosin!

Ostatecznie traktat został przyjęty?

Tak, ponieważ usunięto fragment o przeprosinach. Pozwoliło to unormować stosunki z Kolumbią, dzięki czemu w latach 20. popłynął do tego kraju strumień amerykańskiego kapitału. W ten sposób rozwinął się tam sektor rolny (przede wszystkim uprawa bananów), ale rozpoczęło się też na dużą skalę wydobycie ropy naftowej i innych surowców.

W XIX w. niektórzy uważali, że lepszym pomysłem byłaby budowa kanału przez Nikaragwę. Dlaczego ten projekt nie został wcielony w życie?

Nikaragua oferowała dłuższą naturalną drogę wodną przez rzekę San Juan, która wpada do jeziora Nikaragua. Teoretycznie trzeba było przekopać odcinek o długości zaledwie 10 mil, ale największą przeszkodą było to, że rzeka nie nadawała się do przerzucania wielkich statków. Mimo to w USA projekt ten miał wielu zwolenników i tylko sprawność francuskich negocjatorów, którzy przekonali Roosevelta do skorzystania z już rozpoczętego projektu w Panamie, przeważyła szalę.

Jimmy Carter przeszedł do historii jako prezydent, który przekazał kanał Panamczykom, ale przecież to nie on rozpoczął ten proces.

W 1964 r., gdy doszło do rozruchów w szerokiej na ok. 10 mil Strefie Kanału Panamskiego, zginęło kilkadziesiąt osób, w tym kilku żołnierzy USA. Panamczycy mieli już dość podziału ich kraju przez ten pas ziemi, który był jak granica biegnąca przez środek państwa. Uważano, że Amerykanie panoszą się w Panamie, pozwalając sobie na wszystko. Waszyngton obawiał się, że Panama przestaje być partnerem.

Lata 60. XX w. to dekada dekolonizacja. Ta atmosfera ewidentnie udzieliła się też Panamczykom.

Omar Torrijos Herrera, lewicowy nacjonalista, który był przywódcą Panamy w latach 1968–1981, agitował przeciw obecności Amerykanów. USA kalkulowały i uznały, że nie warto ryzykować konfliktu w Panamą. Pytanie brzmiało jednak: Czy Panamczycy są w stanie zarządzać kanałem? Wiele osób w USA miało w tej sprawie wątpliwości. Rozmowy na temat przekazania kanału Panamie rozpoczął Lyndon B. Johnson, a zakończył je dopiero Jimmy Carter – to było jego oczko w głowie. Choć pod względem faktycznym proces ten był rozciągnięty na dwie dekady, to pełnię kontroli nad kanałem Panama przejęła dopiero w 1999 r.

Sto lat po otwarciu kanału Panamczycy zbudowali nowe, większe śluzy, by mogły z niego korzystać prawdziwe oceaniczne giganty. Nawet najwięksi sceptycy w USA musieli chyba w końcu przyznać, że Panamczycy potrafią zarządzać kanałem?

Tak, Panamczycy dobrze dbają o ten kluczowy szlak. To ich duma narodowa i faktycznie widać to po tym, jak się opiekują kanałem.

W 2023 r. odwiedził pan Panamę w trakcie sezonu deszczowego. Co pan wtedy zobaczył?

Każdy, kto bywa w Ameryce Środkowej, wie, że przez pół roku właściwie codziennie po południu leje tam jak z cebra. Byłem w Panamie wcześniej i doświadczyłem tego zjawiska, więc podczas wizyty w 2023 r. niezmiernie dziwiło mnie, że ulewy były rzadkością. Oznaczało to ogromne kłopoty dla kanału, ponieważ sposób jego konstrukcji oznacza, że każde otwarcie śluz powoduje utratę słodkiej wody. Z tego powodu zarządzający kanałem musieli wprowadzić pewne obostrzenia w ruchu i pojawiły się długie kolejki statków. W kolejnym roku ten problem się powtórzył. Gołym okiem widać, że dzieje się coś złego, bo wcześniej susze nie były tak dotkliwe. Zmiany klimatyczne powodują, że Panamczycy niepokoją się o przyszłość swojego skarbu narodowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Dennis Hogan jest wykładowcą Uniwersytetu Harvarda, znawcą XIX- i XX-wiecznych relacji między USA i państwami Ameryki Centralnej.

eprasa.pl 94eb3b15bc

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 94eb3b15bc

1918–1919 / Pierwsze miesiące rządów Naczelnika Państwa

Jedynie czyn ma znaczenie



Adam Gałęzowski

Józef Piłsudski zorganizował polskie wojsko, a nie było wówczas ważniejszego zadania, i zwołał Sejm, wybrany w demokratycznych wyborach. „Nie jestem tu od lewicy i dla niej, jestem dla całości” – powiedział

Lada chwila spodziewany pociąg. Wybiegam. Jeszcze ciemno. Na peronie czeka Zdzisław Lubomirski – stoi sam z adiutantem [Stanisławem] Rostworowskim, inne grupki czekających nie zbliżają się do niego […]. Podchodzę: serdecznie jest zdziwiony moją tu obecnością i moim mundurem. Zaczynamy gawędzić, wyglądając pociągu. »Co za szczęście, że zdołaliśmy uzyskać zwolnienie Piłsudskiego! To ostatnia nadzieja. Może on potrafi opanować sytuację« […]. Pociąg już się zbliża. Napięcie rośnie. Pierwszy wychodzi Piłsudski, w szaroniebieskim płaszczu wojskowym i takiejże maciejówce, chudy, smukły, spod sumiastego wąsa zdaje się przezierać uśmiech. Sprężystym krokiem idzie prosto do Lubomirskiego, z którym wita się bardzo

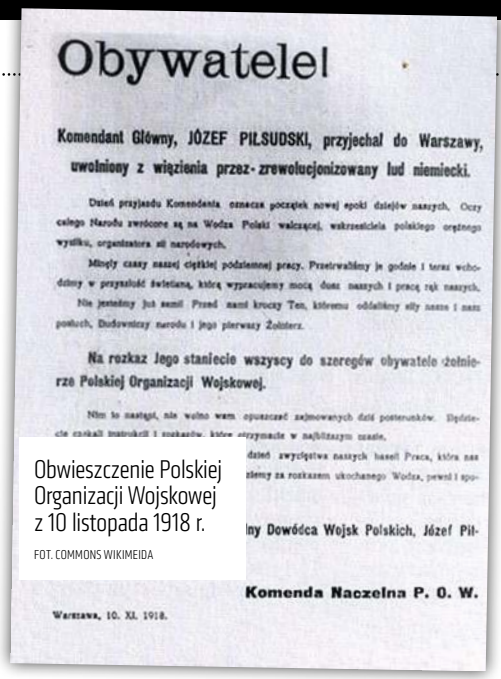


Józef Piłsudski, 1921 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

eprasa.pl 94eb3b15bc

serdecznie. Zdaje się żartować, ale regent nader poważnie mu coś klaruje". Tak wspominał wczesny ranek 10 listopada 1918 r. Jan Gawroński (cyt. za: „Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych", oprac. J. Borkowski, Warszawa 1987).

To wówczas na warszawski Dworzec Główny przybył, zwolniony z niewoli niemieckiej, twórca polskiej irredenty. Dotycząca go nadzieja członka Rady Regencyjnej, księcia Zdzisława Lubomirskiego, przynajmniej przez ten dzień i następne dni listopada była w odradzającej się Polsce powszechna.



Obywatele!

Komendant Główny, JÓZEF PIŁSUDSKI, przyjechał do Warszawy, uwolniony z więzienia przez zrewolucjonizowany lud niemiecki.

Dzień przyjazdu Komendanta oznacza początek nowej epoki dziejów naszych. Oczy całego Narodu zwrócone są na Wodza Polski walczącej, wskrzesiciela polskiego organizmu, organizatora sił narodowych.

Minęły czasy naszej ciężkiej podziemnej pracy. Przetrwaliśmy je godnie i teraz wchodzimy w przyszłość świetlaną, którą wypracujemy mocą dusz naszych i pracą rąk naszych.

Nie jesteśmy już sami. Przed nami kroczy Ten, któremu oddaliśmy siły nasze i nasz postęp, Budowniczy narodu i jego pierwszy Żołnierz.

Na rozkaz Jego staniecie wszyscy do szeregów obywatele-żołnierze Polskiej Organizacji Wojskowej.

Nim to nastąpi, nie wolno wam opuszczać zajmowanych dziś posterunków. Spełnicie ściśle instrukcji i rozkazów, które otrzymacie w najbliższym czasie.

dzień zwycięstwa naszych haseł. Praca, która nas ziemy za rozkazem ukochanego Wodza, pewni i spo-

ny Dowódca Wojsk Polskich, Józef Piłsudski.

Komenda Naczelna P. O. W.

Warszawa, 10. XI. 1918.

Obwieszczenie Polskiej Organizacji Wojskowej z 10 listopada 1918 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Służyć życiem swoim

Po krótkiej wizycie w siedzibie księcia Lubomirskiego – pałacyku Branickich-Lubomirskich przy al. Na Skarpie, gdzie obecnie znajduje się Muzeum Ziemi PAN – Piłsudski udał się do mieszkania przy ul. Moniuszki 2, które stało się jego tymczasową siedzibą. Z balkonu tego domu powiedział wówczas gromadzącym się mieszkańcom stolicy: „Zawsze służyłem i służyć będę życiem swoim, krwią ojczyźnie i ludowi polskiemu".

Następnego dnia Rada Regencyjna powierzyła mu dowództwo nad Polską Siłą Zbrojną. W pierwszym rozkazie, wydanym 12 listopada, Piłsudski zwracał się do żołnierzy z apelem o przezwyciężenie „różnic i tarć, klik i zaścianków w wojsku, dla szybkiego wytworzenia poczucia koleżeństwa i ułatwienia pracy". To było dlań kluczowe w chwili rozpoczęcia budowy Wojska Polskiego, na to zwracał również uwagę trzy tygodnie później w rozkazie o jednolitości armii: „Wojsko powinno na zewnątrz promieniować poczuciem karnej spoistości i stanowić w społeczeństwie, skołatanym tylu przejściami, ośrodek zamierzeń i wysiłków organizacyjnych". Jest ono bowiem „obrońcą całości narodu".

Obejmując dowództwo wojska, tego samego dnia Piłsudski zawarł umowę z przedstawicielami garnizonu niemieckiego, nadal jeszcze okupującego stolicę Polski. Na jej podstawie wojska niemieckie opuściły centralne ziemie odradzającej się Rzeczypospolitej, pozostawiając znaczną część broni oraz innego sprzętu wojskowego. Porozumienie objęło też oddziały znajdujące się na północno-wschodnich obszarach kraju. Piłsudski wynegocjował, że ewakuują się one do Niemiec przez Prusy Wschodnie, omijając ziemie polskie.

Te dwa wydarzenia z 11 listopada 1918 r. – objęcie przez Józefa Piłsudskiego komendy nad powstającym Wojskiem Polskim i oswobodzenie Warszawy z rąk Niemców – słusznie uznano za dzień odzyskania przez Polskę niepodległości. Zbiegł się on z zawieszeniem broni na froncie zachodnim i zakończeniem pierwszej wojny światowej. Ale dostrzeganie w tym wydarzeniu głównej przyczyny przywrócenia niepodległego bytu Polski świadczy o lekceważeniu własnego wysiłku w tym dziele.

Kilka dni później Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu najwyższą władzę polityczną, którą obejmował jako tymczasowy Naczelnik Państwa. Nawiązano w tym wypadku do bohatera narodowego, gen. Tadeusza Kościuszki. Piłsudski natychmiast po objęciu urzędu wysłał depeszę, w której informował wszystkie rządy i narody walczące w zakończonej wojnie oraz neutralne o powstaniu niepodległego państwa polskiego, „obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski", a dwa dni później powołał pierwszy polski rząd, na czele z Jędrzejem Moraczewskim.

Umacnianie poczucia prawa

Jako Naczelnik Państwa Piłsudski sygnował wówczas swoim nazwiskiem wszystkie akty urzędowe odrodzonego państwa, w tym dotyczące wyborów do Sejmu Ustawodawczego, które odbyły się 26 stycznia 1919 r. według demokratycznej ordynacji wyborczej. Niespełna miesiąc później podpisał uchwałę Sejmu „O powierzeniu Józefowi Piłsudskiemu dalszego sprawowania urzędu Naczelnika Państwa", popularnie nazywaną małą konstytucją. Stanowiła ona, że



Otwarcie Sejmu Ustawodawczego, luty 1919 r. FOT. NAC

eprasa.pl 94eb3b15bc



Józef Piłsudski na froncie walki z Ukraińcami, 1919 r. FOT. NAC

najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej jest Naczelnik Państwa. Na ten urząd Sejm wybrał 20 lutego 1919 r. Piłsudskiego. Do jego kompetencji należało powoływanie rządu w porozumieniu z Sejmem, przed którym – wraz z rządem – był odpowiedzialny. Naczelnik wykonywał uchwały sejmowe, zachowywał jednak samodzielność w sprawach dotyczących wojska i polityki zagranicznej.

„Pierwszym moim postanowieniem było szukanie prawa i umacnianie poczucia jego w całym narodzie" – podsumował te pierwsze miesiące niepodległości Piłsudski. I rację miał Ignacy Matuszewski, który wiele lat później, krótko przed śmiercią Marszałka, napisał: „Taką jest największa prawda o znaczeniu Józefa Piłsudskiego dla Polski. Razem z jego wejściem w życie narodu powstaje rząd tego narodu. To znaczy powstaje ośrodek woli, który postanawia o takim lub innym narodu tego postępowaniu – w myśl wieczystych narodu samego racji" (cyt. za: I. Matuszewski, „Pisma wybrane", t. 1, oprac. S. Cenckiewicz, Warszawa 2019).

Za objęciem przez Piłsudskiego zwierzchnictwa nad odradzającym się państwem przemawiała nie tylko jego dotychczasowa działalność na rzecz niepodległości Polski, lecz także popularność, którą zdobył, gdy z powodu sprzeciwu wobec okupantów niemieckiego i austriackiego został przez nich uwięziony. „Piłsudski był w tym czasie jedynym politykiem, który miał wystarczający autorytet i kompetencje, by objąć kierownictwo państwa w chwili jego organizowania. Był jedynym politykiem tego formatu, który rozumiał konieczność skonsolidowania opinii i nie dążył do rządów prawicowych bądź wyraźnie lewicowych, ale myślał o związaniu z państwem możliwie wszystkich Polaków" – pisał Andrzej Friszke w szkicu poświęconym Marszałkowi. Widziano w nim jednym słowem tego, który jest w stanie zapewnić stabilną władzę w chwili, gdy ze wszystkich stron rodzącej się państwowości groziło niebezpieczeństwo.

Takiemu nastawieniu społecznemu sprzyjało i to, że Piłsudski przestał być już dawno człowiekiem jednej partii. Rychło przekonali się o tym jego dotychczasowi współpracownicy – Witold Jodko-Narkiewicz i Władysław Baranowski – którzy w połowie stycznia 1919 r. udali się z wizytą do Belwederu, zamierzając przekonać Komendanta o konieczności utrzymania dotychczasowego lewicowego gabinetu Moraczewskiego. Odpowiedź Piłsudskiego tak relacjonował Baranowski: „»Nic nie rozumiecie mojej sytuacji i całej sytuacji w ogóle. Nie chodzi o lewicę czy o prawicę, mam to w d.... Nie jestem tu od lewicy i dla niej, jestem dla całości [...]. Sprawy wewnętrzne załatwi Sejm, który na to właśnie zwołuję. Jaki będzie: lewy czy prawy – zobaczymy. Wszystkie moje wysiłki muszą iść w kierunku armii. O to właśnie się staram [...]. Zagranicę znacie i wiecie, jak tam jest; będzie tam z nimi gadał Moraczewski, widzicie to? Czy nie lepiej będzie gadał Paderewski, który ma z nimi wspólny język? [...] Wszak chodzi o granice i inne szczegóły dla nas tak ważne. W Paryżu przyzwyczaili się do Dmowskiego [...]. Co tam Dmowski będzie żądał, jeśli będzie nawet żądał za wiele, to nie szkodzi [...]. Wy tylko patrzycie na dziś. Rządy ludowe! Kpię sobie, czy rządy ludowe czy inne w tej chwili, byle rządy, co przyniosą Polsce, co trzeba. Gdy będę miał wojsko, będę miał wszystko w ręku«. Na jeszcze jakieś obiekcje przez nas wysunięte, nie pamiętam jakie, Komendant rozkrzyczał się na dobre i podniósł na łóżku: »Mam dość tych gadań, tych podpowiadań!... Do d... z waszymi radami, do d... – wołał. – Potrzebuję żołnierza, słyszycie!«. Atmosfera stawała się niebezpieczna, trzeba było dyplomatycznymi odpowiedziami zgodzić [się] na opinię Komendanta i wycofać".



Święto zjednoczenia armii polskiej, Kraków, październik 1919 r. FOT. NAC

Ani z prawicą, ani z lewicą

Przekazanie reprezentacji Polski na konferencji pokojowej Romanowi Dmowskiemu, przywódcy Narodowej Demokracji, do którego Piłsudski skierował również osobisty list z ofertą współpracy w dziele odbudowy państwa, było przekonującym świadectwem tego, że Naczelnik rzeczywiście jest dla całości, nie tego czy innego stronnictwa, a za swój priorytet uznaje stworzenie wojska i zapewnienie Polsce granic i bezpieczeństwa. Taki kierunek polityczny znalazł wyraz i w innym liście do Dmowskiego, w którym Piłsudski deklarował, że zwołując Sejm, chciałby „przerwać to bawienie się każdej partyjki w cały naród".

O tym, że nie chciał być postrzegany jako człowiek określonego środowiska politycznego, mówił i później: „Osobiście nigdy nie chciałem być członkiem ani polskiej prawicy, ani polskiej lewicy. Nie chciałem nigdy należeć do żadnego stronnictwa ani też aprobować panowania stronnictw nad Polską". Niechętnie odnosząc się do „ryzykanctwa lewicy i prawicy", które „są w równowadze u nas", stwierdzał, że „nie polityką partyj Polska może się dźwignąć. Kraj i ja mamy aż dość tych etykietek i programów [...]. To, co jest najważniejsze, to moralność życia publicznego".

Przenikliwie dostrzegał tę zmianę w politycznej biografii Piłsudskiego Andrzej Friszke, pisząc, że nie był on

eprasa.pl 94eb3b15bc



Uroczystość wręczenia Józefowi Piłsudskiemu buławy marszałkowskiej, Warszawa, listopad 1920 r. FOT. NAC

już wówczas socjalistą, ale „państwowcem […], demokratą, wyczulonym na kwestie wolności, praw robotniczych i socjalnych […]. Był niewątpliwie przywódcą obozu republikańskiego, demokratycznego, ale dbał o kompromis z prawicą, bez którego nie mogłaby istnieć niepodległa Polska".

Bez wojska jesteśmy zerem

Dążenie Piłsudskiego do tak pojmowanej współpracy dowodziło wybitnego, rzadko spotykanego w polskim życiu politycznym poczucia odpowiedzialności, gdy w odbudowanym państwie poszczególne stronnictwa, przechodząc do porządku nad trwającą już wojną o granice, toczyły ze sobą własną wojnę, z zajadłością przekraczającą ramy rywalizacji politycznej typowej dla demokratycznego państwa. Oszczerczych ataków nie uniknął także Naczelnik, któremu zarzucano brak skutecznej pomocy dla broniącego się przed Ukraińcami Lwowa. Tymczasem Piłsudski wrócił do okupowanej przez Niemców Warszawy 10 dni po rozpoczęciu walk o miasto. Już 12 dni później jeden z jego najlepszych oficerów legionowych, ppłk Michał Tokarzewski-Karaszewicz, poprowadził zwycięską odsiecz miastu, o którym Marszałek powiedział: „Lwów! – któreż polskie serce nie drgnie na to miano".

Kampanii oszczerstw to nie zakończyło – pomawiano z kolei Piłsudskiego o to, że przeciwdziałał sprowadzeniu do kraju Armii Błękitnej gen. Józefa Hallera (którego Narodowa Demokracja przeciwstawiała mu jako kandydata na Naczelnego Wodza). Paszkwilanci nie wspominali o tym, że Piłsudski zabiegał o ten powrót, a w rzeczywistości przeciwdziałała temu Francja i Wielka Brytania, aby przypadkiem Polacy nie zajęli zbyt wielu obszarów, które oba te państwa planowały oddać białej Rosji po jej spodziewanym zwycięstwie nad bolszewikami.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia Naczelnik Państwa udał się do Lwowa, wokół którego nadal toczyły się ciężkie walki, i dokonał wizytacji oddziałów znajdujących się na pierwszej linii frontu. Na zapewnienia żołnierzy i oficerów, że „cały Lwów będzie bronił swego prawa przynależenia do polskiego państwa, Piłsudski rzekł: »To dobrze. Tak być musi«". Szczerze przy tym wyrażał przekonanie, że Polska nie chce się mieszać w sprawy wewnętrzne sąsiadów, lecz pozwolić nie może, „by pod jakimkolwiek bądź pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia. Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo".

To jednak było możliwe tylko dzięki armii, od której budowy ważniejszych spraw wówczas nie było. Poza zmaganiami z Ukraińcami na północy wojska bolszewickie w pierwszych dniach 1919 r. zajęły Wilno, w Wielkopolsce trwało powstanie przeciw Niemcom, na Śląsk Cieszyński uderzyli Czesi. Budowa armii polskiej w tak trudnych okolicznościach była wybitnym osiągnięciem Naczelnika Państwa i jego współpracowników, z wiceministrem spraw wojskowych gen. Kazimierzem Sosnkowskim na czele. Nie tylko organizacyjnym – wszak „wszystko to, co jest u nas w mundurze wojskowym, daje siłę i potęgę Państwa. Daje niezmożoną siłę, stanowiącą o naszym istnieniu, o naszej potędze, o naszej wolności" – mówił Piłsudski oficjalnie. A nieoficjalnie dodał: „Bez wojska nasze znaczenie w świecie całym jest zerem".

Miało się to okazać w najbliższych miesiącach, w zmaganiach z bezlitosnym wrogiem, Rosją bolszewicką, o granicę wschodnią RP. Nawiązując natomiast do rzekomej obojętności Piłsudskiego wobec polskich ziem zachodnich w tych pierwszych miesiącach sprawowania przezeń rządów, władze polskie nie miały żadnej możliwości manewru politycznego, oczekując na postanowienia konferencji pokojowej. Marszałek, jeszcze w czasie trwania powstania wielkopolskiego, mówił: „Już byłem gotów wysłać wojsko polskie do Poznańskiego, gdy przedstawiciele Ententy znajdujący się w Warszawie oświadczyli mi, że nie powinniśmy nic robić, gdyż sprawa ta będzie rozwiązana przez konferencję pokojową i że musimy się liczyć z warunkami Ententy, jeśli chcemy jej pomocy na tej konferencji dla uzyskania naszego zjednoczenia".

To właśnie sprawa granicy zachodniej była dla niego priorytetowa i to obawa przed niekorzystnym w tej sprawie rozstrzygnięciem dla Polski wpływała na wstrzymywanie działań ofensywnych w pełnej skali we wschodniej części byłego zaboru austriackiego. Przeprowadził je dopiero po zawarciu traktatu wersalskiego.

Przedtem były spektakularne zwycięstwo nad bolszewikami w kwietniu 1919 r. i odebranie im Wilna. Swój wjazd do ukochanego miasta Piłsudski wspominał później jako jeden z największych osobistych triumfów i jedno z najpiękniejszych przeżyć w życiu: „Gdym do Wilna swego, jako zwycięzca, wkraczał, gdym konno po ulicach Wilna jechał, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił".

*

Zbliżał się rok od powrotu Józefa Piłsudskiego z niewoli niemieckiej, kiedy w październiku 1919 r., korzystając z przerwy w działaniach wojennych, przybył on do Wilna na uroczystą inaugurację roku akademickiego Uniwersytetu Stefana Batorego. To z jego inicjatywy stara uczelnia, zlikwidowana przez władze rosyjskie po stłumieniu powstania listopadowego, została przywrócona do życia – kolejny dowód odrodzenia się Polski. „Wspaniałą, podnoszącą ducha była na wielkim raucie wydanym przez miasto chwila, gdy wraz z wejściem Naczelnika Państwa kapela zagrała hymn narodowy" – wspominał prof. Marian Zdziechowski. „Rozstąpili się wszyscy przed triumfatorem. Obok mnie stał profesor [Wacław] Tokarz. »Człowiek ten – powiedział – zasłużył sobie na to, całe życie chodził koło szubienicy«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 94eb3b15bc



1915–1918 / Wobec niemieckiego okupanta

Książę regent

Tomasz Stańczyk

Zdzisław Lubomirski zdobył w latach pierwszej wojny światowej ogromną popularność – widziano w nim reprezentanta narodu – ale raptownie ją utracił

STANISŁAW LENTZ, „PORTRET ZDZISŁAWA LUBOMIRSKIEGO". FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Powracającego 10 listopada 1918 r. z niemieckiego więzienia w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego witał na warszawskim dworcu jeden z trzech regentów – książę Zdzisław Lubomirski. Tylko jeden, ale najważniejszy, gdyż odgrywał główną rolę w Radzie Regencyjnej. Józef Ostrowski był schorowany i cierpiał na napady śpiączki, natomiast abp Aleksander Kakowski nie miał ambicji politycznych i zajmował się przede wszystkim sprawami kościelnymi. Lubomirski wyszedł na spotkanie Piłsudskiemu, gdyż – jak mówił żonie – był to jedyny człowiek, który może uratować Polskę przed rewolucją w stylu bolszewickim.

A przecież bardzo długo nic nie wskazywało, że Zdzisław Lubomirski odegra ważną rolę w polskim życiu publicznym i politycznym. Był synem Jana Tadeusza Lubomirskiego, arystokraty niezwykle zaangażowanego społecznie. Jan Tadeusz był m.in. prezesem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Warszawie, współwydawcą „Encyklopedii Rolniczej". Badał społeczne dzieje Polski, był autorem haseł „Encyklopedii powszechnej" Orgelbranda. Jan Tadeusz Lubomirski podczas powstania styczniowego kierował Wydziałem Prawodawczym Rządu Narodowego. Aresztowany przez Rosjan został zesłany w głąb Rosji. Jego małżonka, Maria z Zamoyskich, postanowiła towarzyszyć mężowi. To dlatego ich syn, Zdzisław Lubomirski, urodził się w Niżnym Nowogrodzie w 1865 r. W tym samym roku Lubomirscy wrócili do kraju.

Król życia

Rodzice nie chcieli, by ich syn edukował się w szkołach rosyjskich, dlatego wysłali go do autonomicznej Galicji. Lubomirski uczył się w renomowanym krakowskim gimnazjum św. Anny, studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i w austriackim Grazu. Jednak po zdobyciu dyplomów odłożył je do szuflady, by stać się bon vivantem.

Zdzisław Morawski, jego wnuk, pisał we wspomnieniach: „Dziadek Zdzisław był zaprzeczeniem swojego ojca. Najstarszy z pięciorga rodzeństwa, przystojny,

eprasa.pl 94eb3b15bc

pełen energii i radości życia, chciał się bawić, używać, kochał kobiety, karty i polowania. Pradziadek, nie mogąc się pogodzić z takim stosunkiem do życia, trzymał go na dystans, nie powierzając mu ani gospodarstwa w Małej Wsi, ani innych warszawskich interesów" (Z. Morawski, „Gdzie ten dom, gdzie ten świat").

Zapewne Zdzisław Lubomirski był zadowolony z decyzji ojca. Bynajmniej nie palił się do tego, by być gospodarzem ziemianinem, nie wykazywał się też przedsiębiorczością na innych polach. Postawa moralna Zdzisława gniewała ojca. „Niejeden kielich goryczy wychylił stary książę – stwierdzał Jan Gawroński, jego wnuk – zmuszony patrzeć, jak syn niegodny z większą predylekcją odwiedzał damy z krakowskiego półświatka niż – śladem ojca – wygnańców na Sybirze" (J. Gawroński, „Moje wspomnienia 1892–1919").

Zdzisław Lubomirski ustatkował się nieco przed trzydziestką. Miał 28 lat, gdy poślubił pochodzącą z bogatego rodu Marię Branicką. Ojciec przyjął jednak jego małżeństwo z wyraźną niechęcią. „Sama myśl, że do jego rodziny mogła wejść krew i złoto targowicy, była dla mego dziada dotkliwym upokorzeniem, każdy fibr jego duszy musiał się burzyć na to bluźnierstwo wobec ideałów, którym całe życie tak uporczywie hołdował" – stwierdzał Gawroński. Przodkiem żony Zdzisława Lubomirskiego był bowiem jeden z czołowych targowiczan – hetman Franciszek Ksawery Branicki. Na domiar złego synowa początkowo nie podobała się teściowi, gdyż – jak dodawał Gawroński – gorszył się „wielkoświatowym internacjonalizmem Marii Lubomirskiej".

Lubomirski i jego żona zamieszkiwali w majątku w Małej Wsi, ofiarowanym im przez Jana Tadeusza Lubomirskiego, i w warszawskim pałacyku na Frascati, prezencie ślubnym Branickich dla ich córki. Magdalena Jastrzębska, biografka Zdzisława Lubomirskiego, oceniała, że „Zdzisław, znudzony towarzyskimi tryumfami, odnalazł w związku z Marią stabilizację. Żona miała na niego dobry wpływ. Odeszły w niepamięć szampańskie hulanki z kawalerskich czasów, choć książę również w latach późniejszych był wielbicielem salonowego życia, spotkań przy dobrych trunkach, nigdy też nie zrezygnował z jednej ze swoich ulubionych, a najbardziej zgubnej rozrywki – gry w karty".



Maria Lubomirska z Branickich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TOMBARPMW

I nadal z pasją brał udział w polowaniach, urządzanych w swoim majątku, a także m.in. w dawidgródeckich lasach księcia Stanisława Radziwiłła oraz w majątku Potockich w Antoninach. Natomiast swoim własnym majątkiem ziemskim niezbyt się interesował, chociaż powinien, gdyż potrzebował pieniędzy. „W czasach, kiedy posag żony zapewniał mu pełną swobodę finansową – pisał Zdzisław Morawski – nabrał niedobrego zwyczaju podpisywania weksli in blanco, czyli bez wpisywania wysokości pożyczanej sumy. Skutki były fatalne. Wszystkie pieniądze, jakie dało się wydusić z majątku, szły na spłatę długów".

Po latach prowadzenia beztroskiego życia nastąpiła – tuż przed czterdziestką – wyraźna zmiana w postawie Zdzisława Lubomirskiego. Stała za tym żona, jak przekonuje biografka księcia. To za jej namową Lubomirski zaangażował się społecznie. W 1904 r. został wiceprezesem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, a w 1908 r., po śmierci ojca, jego prezesem. „Dość jestem przejęta tą zmianą w życiu i mam w Bogu nadzieję, że mój mąż, stając się pożytecznym, znajdzie w pracy i pożytek własny" – pisała Maria Lubomirska (M. Jastrzębska. „Książę regent. Opowieść o Zdzisławie Lubomirskim").

Niezłomny prezydent Warszawy

Prawdziwym wyzwaniem dla społecznej – i politycznej, jak się miało okazać – służby Lubomirskiego stały się lata pierwszej wojny światowej. Początkowo Lubomirski był zwolennikiem orientacji prorosyjskiej, a tym samym antyniemieckiej. Ufał zapowiadanemu przez wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza zjednoczeniu wszystkich ziem polskich, rozdzielonych między Rosję, Austro-Węgry i Niemcy, pod berłem dynastii Romanowych. Myśl ta była pociągająca: Polacy będą żyć razem, choć nadal w granicach państwa zaborczego, z nadzieją na autonomię. Dlatego też Lubomirski podpisał w listopadzie 1914 r. wraz z Romanem Dmowskim odezwę Komitetu Narodowego Polskiego, wyrażającą te właśnie dążenia.

Opuszczając w sierpniu 1914 r. Warszawę, Rosjanie przekazali władzę w mieście Lubomirskiemu, jako prezesowi Centralnego Komitetu Obywatelskiego. W połowie sierpnia Niemcy mianowali go prezydentem miasta. Jan Gawroński oceniał: „Jako prezydent miasta nie miał on wielkich kompetencji, ale rozszerzał je, jak tylko mógł, podejmując na każdym odcinku wytrwałą codzienną walkę przeciw okupantowi w obronie praw polskich i dla zapewnienia mieszkańcom



Józef Piłsudski przybywa do Warszawy, grudzień 1916 r. FOT. NAC

eprasa.pl 94eb3b15bc



Regenci Józef Ostrowski, abp Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski po zaprzysiężeniu w katedrze warszawskiej, październik 1917 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

jak najznośniejszych warunków życia. Zyskał on przez swoją odwagę i niezachwiany upór, a także przez swą swadę osobistą i swój serdeczny stosunek do każdego – uwielbienie całej Warszawy, która formalnie nosiła go na rękach".

Lubomirski jako prezydent Warszawy odmówił powitania księcia Leopolda Bawarskiego, dowódcy armii i wysłannika cesarskiego, a także odrzucał wszelkie zaproszenia ze strony Niemców. Hansowi von Beselerowi, generałowi gubernatorowi warszawskiemu, na jego prośbę o spotkanie, miał odpowiedzieć, że może go przyjąć w godzinach pracy interesantów. Odmawiał też sporządzenia listy robotników warszawskich, których Beseler chciał wysłać do pracy w Niemczech. Jan Gawroński twierdził, że jako prezydent Zdzisław Lubomirski był wyrazem narodowej woli oporu przeciw Niemcom i jej przywódcą.

3 maja 1916 r., zamiast niedoszłej do skutku proklamacji Królestwa Polskiego i ogłoszenia Lubomirskiego regentem, odbyła się w Warszawie ogromna manifestacja narodowa. Szacowano – z pewną przesadą – liczbę uczestników wielkiego, kilkugodzinnego pochodu przez miasto, na 300 tys. osób. Lubomirska z wielkim zadowoleniem odnotowała okrzyki na cześć męża. „»Niech żyje prezydent książę – nasz książę Lubomirski – kochany Lubomirski«, a nawet »przyszły król Polski«. To ostatnie z ust niewieścich przy pękach kwiatów". Lubomirska bała się nawet, „aby Zdzisiowi nareszcie w głowie nie przewrócili". Nie kryła ambicji związanych z mężem; marzyła, by został regentem, a nawet królem.

W ratuszu odbyło się uroczyste posiedzenie rady miejskiej. Prezydent Warszawy mówił: „Wierzymy, że odwróci się posępna karta naszej historii […]. Naród cały w swej zbiorowej woli, na wzór swych przodków, składa głośne świadectwo, że stoi niezłomnie przy spełnieniu swych narodowych dążeń".

„Wziąć Polskę za łeb"

5 listopada 1916 r. Wilhelm II i Franciszek Józef I proklamowali utworzenie Królestwa Polskiego. Choć miało to być państwo całkowicie zależne od Niemiec, jeszcze bez określonych granic, to jednak akt 5 listopada był pierwszym postawieniem sprawy polskiej na forum międzynarodowym podczas Wielkiej Wojny i początkiem budowy państwowości polskiej.

12 grudnia Józef Piłsudski, były dowódca I Brygady, przyjechał do Warszawy, entuzjastycznie witany przez swoich zwolenników. Tamtego dnia Piłsudski złożył wizytę Zdzisławowi Lubomirskiemu. Przebieg rozmowy Lubomirski zrelacjonował żonie. „Oznajmił mi, że robi coup d'etat [zamach stanu – przyp. T.S.] – staje na czele rządu razem z Piłsudskim. W czasie posiedzenia Rady Miejskiej przyszli do niego różni przedstawiciele lewicy z usilną w tym kierunku namową". Lubomirska nie była jednak zachwycona, miała poważnie obawy: „Na plecach Zdzisia wjedzie Piłsudski – a Zdziś padnie! Nie daj Boże!".

Lubomirski nieściśle i zbyt emocjonalnie zreferował żonie wnioski z rozmowy z Piłsudskim, ale coś było na rzeczy. Po latach, w wywiadzie prasowym, ujawnił: „Piłsudski, który zwykł był zawsze prosto stawiać zagadnienia, powiedział w pewnej chwili: Proszę Księcia my możemy teraz wziąć Polskę za łeb" („Bunt Młodych" 1936, nr 11). Lubomirski odpowiedział, że wszystko można zrobić pod warunkiem wzajemnego zaufania. Być może Piłsudski ma zaufanie do niego, ale w oczach Lubomirskiego uchodzi on za socjalistę, a to powstrzymuje go od współpracy. Na socjalistyczną etykietkę Piłsudski się oburzył – i nie bez racji. Z „czerwonego tramwaju" wcale nie wysiadł bowiem na przystanku niepodległość, lecz 10 lat wcześniej, poświęcając się budowie kadr przyszłego Wojska Polskiego. Ale etykietki socjalisty i „bandyty spod Bezdan" nie dało się – co widać po odpowiedzi Lubomirskiego – łatwo odkleić.

Obowiązek mimo niechęci

W październiku 1917 r., kilka miesięcy po aresztowaniu Piłsudskiego, Niemcy i Austriacy powołali Radę Regencyjną Królestwa Polskiego, a jednym z trzech regentów został Zdzisław Lubomirski. Wielkim i bardzo nieprzyjemnym zaskoczeniem dla polskiej opinii publicznej było to, że niezłomny dotąd w stosunku do Niemców książę prezydent miasta przyjmuje taką godność z ich rąk, i to jeszcze po zamknięciu w obozach internowania legionistów odmawiających złożenia przysięgi na sojusz z armiami Niemiec i Austro-Węgier.

Lubomirski bardzo się wahał się, czy przyjąć stanowisko regenta. Być może zrobił to również za namową Adama Tarnowskiego, austro-węgierskiego dyplomaty, wierzącego niezachwianie w zwycięstwo państw centralnych. Rada Regencyjna miałaby być – jak wyraziła się Maria Lubomirska – formą reasekuracji na wypadek triumfu Niemiec. Po nominacji na regenta: „Zdziś jest w najokropniejszym humorze, wprost zrozpaczony. Nie wierzy, iżby się cokolwiek dało zrobić z Niemcami, sądzi, że jego urzędowanie będzie tragedią". Lubomirska zanotowała też wyznanie męża, że gdyby nie wiara, popełniłby samobójstwo.

Jan Gawroński oceniał, że zanim Lubomirski zgodził się na to, by zostać regentem, wahał się „między ambicją, która pchała go do popularnej zawsze roli demagogicznego oporu, a obowiązkiem po-

eprasa.pl 94eb3b15bc

zytywnego rozwiązania sprawy polskiej wobec toczącej się wojny". Lubomirski uważał, że ustanowienie regencji to kolejny krok na drodze do polskiej niepodległości, której fundamenty musi budować Rada Regencyjna. Zdawał sobie sprawę, że przyjęcie funkcji regenta przyniesie mu utratę popularności. „Tak rozumując, szedł Lubomirski jak na ścięcie – uważał Gawroński – pełen żalu, goryczy i pesymizmu, ale w przekonaniu, że spełnia ciężki wobec ojczyzny obowiązek".

Był to obowiązek i ciężki, i gorzki. Gdy Niemcy i Austriacy w lutym 1918 r., w traktacie brzeskim oddali Ukrainie Chełmszczyznę, część Królestwa Polskiego, Lubomirski uznał, że regenci powinni podać się do dymisji. Arcybiskup Kakowski zgadzał się z księciem, ale stanowczo przeciwny był Józef Ostrowski, uważający, że polska władza, choć zależna od Niemców, musi istnieć, mimo wszystko. Lubomirski uległ mu i nie zdecydował się odejść ze stanowiska. Jednakże regenci – omijając niemiecką cenzurę – wydali odezwę do narodu piętnującą Niemców i Austriaków za traktat brzeski. Upokorzeniem dla Rady Regencyjnej było też zmuszenie jej do zrezygnowania ze zwierzchnictwa nad I Korpusem Polskim w Rosji, następnie rozbrojonym w maju 1918 r. przez Niemców.

Przełomowy październik

Trwanie regentów okazało się bardzo ważne w obliczu nieuchronnej klęski Niemiec. 7 października 1918 r. Rada Regencyjna wydała odezwę „Do narodu polskiego". Była to deklaracja wolności, w której regenci pisali: „Wielka godzina, na którą czekał z upragnieniem cały naród polski, już wybija. Zbliża się pokój, a wraz z nim ziszczenie nigdy nieprzedawnionych dążeń Narodu Polskiego do zupełnej niepodległości".

Odezwa zapowiadała powołanie rządu złożonego z przedstawicieli najważniejszych stronnictw politycznych, przygotowanie przez niego demokratycznej ordynacji wyborczej, zwołanie Sejmu, który podejmie decyzję o kształcie gałęzi wykonawczej, której następnie Rada Regencyjna przekaże władzę.



Zawieszenie polskiej flagi po wyjściu Niemców z Warszawy, listopad 1918 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, WACŁAW SARYUSZ-WOLSKI

Mimo niemieckiej okupacji Rada Regencyjna podejmowała już suwerenne decyzję. 12 października przejęła zwierzchnictwo nad Polską Siłą Zbrojną. Ustanowiona została nowa formuła przysięgi wojskowej – na wierność ojczyźnie, państwu polskiemu i Radzie Regencyjnej jako tymczasowej zastępczyni zwierzchniej władzy państwowej. 23 października powstał rząd Józefa Świeżyńskiego, a na stanowisko ministra spraw wojskowych został powołany Józef Piłsudski, wciąż przebywający w magdeburskim więzieniu. Była to demonstracyjna nominacja, równająca się żądaniu zwolnienia Komendanta.

27 października Rada Regencyjna wydała dekret o organizowaniu narodowej armii regularnej.

Po niepodległościowym orędziu Rady Regencyjnej i przyjęciu nowej przysięgi szeregi Polskiej Siły Zbrojnej błyskawicznie się powiększyły. 2 października PSZ liczyła 4833 oficerów i żołnierzy, dokładnie miesiąc później – już 9232.

Fundamenty niepodległości zostały położone w październiku 1918 r., zanim Piłsudski został zwolniony z niemieckiego więzienia w Magdeburgu i przyjechał do Warszawy. Nie tworzył więc polskiego państwa od zera. Wraz z wojskiem regenci przekazali mu rozbudowaną administrację, łącznie z rządową, sądownictwo i szkolnictwo.

14 listopada Maria Lubomirska zapisała gorzkie słowa w swoim dzienniku: „Zdziś jako członek Rady Regencyjnej zawiódł zapatrzony weń naród, zgasił miłość w sercu rodaków, a wszedł na drogę aktywizmu bez istotnego przekonania, tylko drogą najcięższej ofiary". Lubomirska, która widziała już swego męża jako króla, gdy w Berlinie i Wiedniu rozważano, kto ma zostać monarchą w Królestwie Polskim, żałowała, że zdecydował się on wejść w skład Rady Regencyjnej: „Stracił na tym posterunku cały swój kapitał, a dziś stał się bankrutem, gdy mógł być bogaczem, oddaje władzę w niegodne ręce, gdy mógł był sam stanąć na czele narodu w chwili Zmartwychwstania". Oczywiście chodziło o utracony kapitał moralny i polityczny, a „niegodne ręce" należały do Józefa Piłsudskiego, który naturalnie nie złożył propozycji Lubomirskiemu, by obaj „wzięli Polskę za łeb". Teraz już do niczego go nie potrzebował. Pociechą dla Lubomirskiego mogło być zapewnienie Piłsudskiego, że chciałby zasięgać jego rady w niejednej sprawie i że uważa go za wielkiego patriotę o miłującym i ofiarnym sercu.

W maju 1926 r. Marszałek rozważał kandydaturę Lubomirskiego na prezydenta, ale książę zdecydowanie odmówił. Niemniej jednak dwa lata później został senatorem z listy BBWR. Zapisał się m.in. mową ostrzegającą przed przesączaniem się ideologii socjalistycznych i komunistycznych do szkół, a także obroną wychowania młodzieży, protestując przeciw „wpajaniu naszym dzieciom poglądów



MONITOR POLSKI

WYCHODZI CODZIENNIE Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIĄT.

Dodatek nadzwyczajny.

Rada Regencyjna do Narodu Polskiego.

Odezwa Rady Regencyjnej z 7 października 1918 r., zapowiadająca niepodległość Polski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

sprzecznych z nakazami religii". Wyrażał nadzieję, że jego stanowisko podzielają liczne rzesze rodziców katolików i chrześcijan innych wyznań. We wrześniu 1939 r. był członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Dowództwie Obrony Warszawy. Niemcy na krótko aresztowali go w 1942 r. Zdzisław Lubomirski zmarł w swoim majątku w Małej Wsi rok później.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Żołnierze ekspedycji Vouleta i Chanoine'a

FOT. ARCHIVES NATIONALES D'OUTRE-MER

XIX w. / Żądza krwi dwóch kapitanów

Ekspedycja z piekła rodem



Beata Zubowicz

Mieli być bohaterami, a do historii Francji przeszli jako mordercy. Ich marsz przez Afrykę zamienił się w festiwal mordów i gwałtów

Ruszyli w listopadzie 1898 r. z Dakaru. Ośmiu francuskich oficerów, 500 senegalskich żołnierzy, 800 tragarzy, 200 kobiet, kilkudziesięciu tłumaczy. Mieli dotrzeć do jeziora Czad w środkowej Afryce (obecnie na pograniczu Czadu, Nigerii, Nigru i Kamerunu), wyprzedzić Brytyjczyków i zaprowadzić francuskie panowanie w tej części świata. Ale coś poszło nie tak. Wyprawa, jakich wiele organizowano w czasie „wyścigu o Afrykę", zakończyła się skandalem i jest dziś uznawana za jedną z największych zbrodni czasów kolonialnych. Bezprzykładne okrucieństwo, którego się dopuścili członkowie ekspedycji wobec tubylców, nawet wówczas budziło odrazę.

Wyprawa nosiła różne nazwy, początkowo neutralne. Od miejsca, do którego zmierzała („Afryka Środkowa-Czad"), albo od nazwisk prowadzących ją oficerów („Vouleta-Chanoine'a"). Z czasem przylgnęły do niej bardziej emocjonalnie nacechowane określenia, jak choćby „krwawa kolumna" czy „piekielna kolumna". A stojący na jej czele młodzi oficerowie, Paul Voulet i Julien Chanoine, zostali okrzyknięci „kapitanami ciemności".

Skojarzenie ze słynnym opowiadaniem Josepha Conrada nie wzięło się znikąd. Bo choć literaturoznawcy twierdzą, że inspiracją dla „Jądra ciemności" był smutny los mieszkańców Konga (w latach 1885–1908 prywatnej własności belgijskiego króla Leopolda II), zachowanie wojskowych – ich bestialstwo, narastająca samowola i wiara we własną wszechmoc – przywodzi na myśl tyleż tajemniczą, ile zdemoralizowaną postać Kurza. Podobieństw jest zresztą zdumiewająco dużo. I ta zbieżność dat: opowiadanie Conrada po raz pierwszy ukazało się w 1899 r. w brytyjskim miesięczniku literackim „Blackwood's Magazine". W tym samym czasie Francuzi z rosnącym oburzeniem śledzili w prasie ekscesy piekielnych kapitanów.

Wyścig o Afrykę

A przecież to miał być wielki sukces, który nie tylko ugruntowałby pozycję Francji jako mocarstwa kolonialnego, lecz także podbudował samopoczucie Francuzów nadszarpnięte przez aferę Dreyfusa – największy w tamtym czasie skandal polityczny. Sprawa niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec kapitana artylerii, jego degradacja i uwięzienie na podstawie sfałszowanych dowodów, ciągnęła się kilka lat, obfitowała w nieoczekiwane zwroty akcji i w konsekwencji podważyła zaufanie

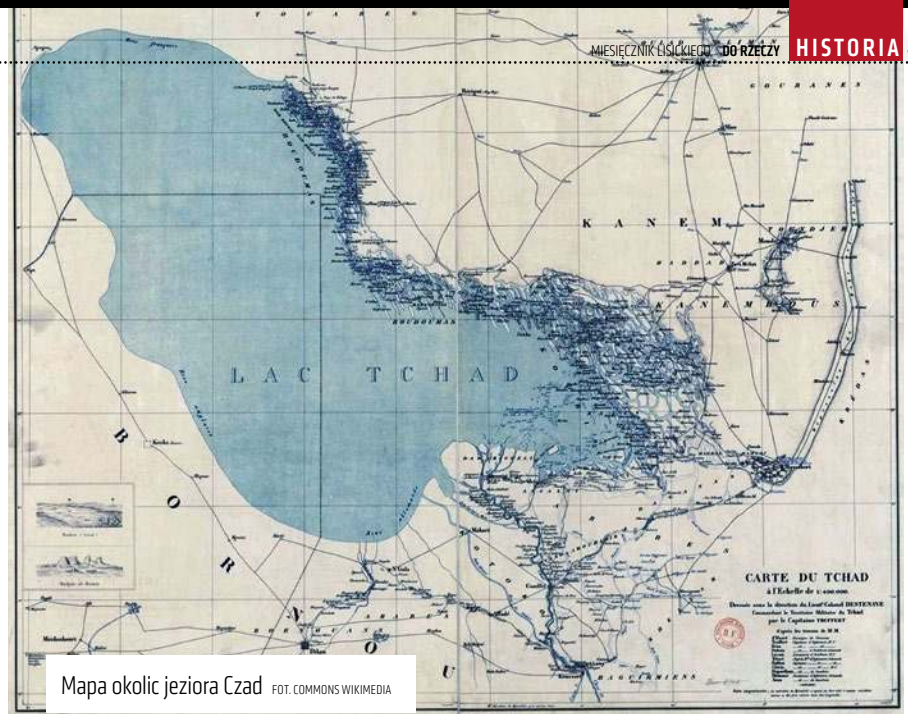
eprasa.pl 94eb3b15bc

do armii, a także rozchwiała francuską scenę polityczną.

Ekspedycja doskonale nadawała się do odwrócenia uwagi opinii publicznej. W tamtym czasie posiadanie zamorskich terytoriów napawało dumą. Świadczyło o sile państwa i o jego nowoczesności. Niebagatelną rolę odgrywało też przekonanie o konieczności niesienia „misji cywilizacyjnej” ludom tubylczym. Zaszczepienie im zdobyczy europejskiej kultury było uznawane za czyn ze wszech miar chwalebny.

Pod koniec XIX w. polem gry europejskich potęg – głównie Francuzów i Brytyjczyków – była Afryka. Co prawda zwołana na przełomie lat 1884/1885 konferencja berlińska, zwana także kongijską, pokroiła już kontynent na kawałki, ale wciąż jeszcze pozostawało sporo obszarów do zdobycia. Anglicy i Francuzi zaciekle o nie walczyli. W 1898 r. omal nie doszło między nimi do otwartej wojny na tym tle.

Paryż postanowił więc działać nieco bardziej energicznie niż dotąd. Zmobilizowane Ministerstwo do spraw Kolonii zorganizowało trzy ekspedycje, które miały pozyskać dla Francji Czad. Pierwsza, „Vouleta-Chanoine’a” wyruszyła z Senegalu; druga, „Foureau-Lamy’ego” – z Algierii, a trzecia, „Émile’a Gentila” – z Konga. Miały się spotkać się w jednym punkcie – w mieście Kousséri, niedaleko jeziora Czad.



Mapa okolic jeziora Czad FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dzielni odkrywcy

Na czele jednej z nich stanął 32-letni kpt. Paul Voulet, syn lekarza. Ponieważ nie ma o nim zbyt wielu informacji, można przypuszczać, że jego rodzina żyła raczej w skromnych warunkach, być może na francuskiej prowincji. I to jemu od początku bardziej zależało na tej wyprawie. Uznał, że może ona korzystnie wpłynąć na rozwój jego kariery. Jego koledzy będą co prawda potem wspominać, że już wcześniej Voulet miał skłonności do okrucieństwa, ale dziś trudno orzec, czy na ich opiniach nie zaważyła późniejsza działalność kapitana.

Za jego złego ducha został natomiast uznany jego zastępca, 28-letni kpt. Julien Chanoine. Ten bez wątpienia należał do francuskiej elity: wnuk i syn generałów (ojciec krótko sprawował nawet funkcję ministra wojny). Również jego młodszy brat po latach zostanie generałem. Młody Chanoine miał być z natury impulsywny, bezwzględny i okrutny.

Młodzi oficerowie byli zagorzałymi antydreyfusistami, nie znosili Brytyjczyków i opromieniała ich już sława zdobywców – kilka lat wcześniej obaj wyróżnili się w czasie podboju ziem ludu Mossich w Afryce Zachodniej. Pomimo stawiania silnego oporu małe państewka nie miały szans w starciu z nowoczesnym europejskim mocarstwem. W latach 1896–1900 zostały więc podbite i objęte francuskim protektoratem, a w 1919 r. z obszarów tych wydzielono kolonię o nazwie Górna Wolta (dziś Burkina Faso). Największym sukcesem obu oficerów w tej kampanii było zdobycie miasta Wagadugu, które zresztą zrównali z ziemią. Ale zyskali wówczas zaufanie przełożonych i sławę na paryskich salonach. Chanoine dostał nawet Legię Honorową. Wysokonakładowy konserwatywny dziennik (w tamtym okresie rozchodził się w liczbie ok. 1 mln egzemplarzy) „Le Petit Journal” w numerze z 20 listopada 1897 r. przedstawiał ich jako „dzielnych odkrywców”, którzy zniweczyli „nadzieje Anglii i Niemiec” w rywalizacji z Francją.


Za stołem siedzą oficerowie ekspedycji FOT. GALLICA.BNF.FR

Nawet postępowy dziennik „L’Aurore”, który opublikował głośny manifest Emila Zoli w obronie Alfreda Dreyfusa „J’accuse…!”, chwalił nowe afrykańskie przedsięwzięcie. W artykule „Nasze kolonie” na początku maja 1899 r. pisał: „Sytuacja misji Vouleta-Chanoine’a jest znakomita. Tuaregowie jej nie zaatakowali. Zawarto traktaty z wodzami mauryjskimi”. Informacje do stolicy docierały, rzecz jasna, ze sporym opóźnieniem. Autor tekstu nie mógł więc wiedzieć, że ekspedycja dawno już zmieniła swój charakter.

Festiwal zabijania

Niektórzy twierdzą, że klęskę zapowiadał już sam początek wyprawy. Kolumna była gigantyczna: kilkuset żoł-

eprasa.pl 94eb3b15bc

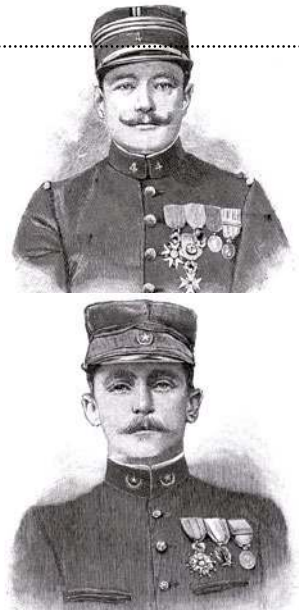
nierzy, głównie senegalskich strzelców, 800 tragarzy i kilkudziesięciu tłumaczy, a do tego 200 kobiet, które zostały zabrane także po to, żeby świadczyć usługi seksualne. W trakcie wyprawy grupa jeszcze się powiększyła o dziewczyny zabrane po drodze (niektórzy twierdzą, że siłą) i gromadkę dzieci.

Żołnierze byli doskonale uzbrojeni: mieli artylerię, karabiny maszynowe i mnóstwo amunicji, ale brakowało im funduszy. Na domiar złego szefowie wyprawy dostali bardzo nieprecyzyjne rozkazy – zlecono im zbadanie terytorium między rzeką Niger a jeziorem Czad i oddanie tego obszaru „pod francuską ochronę". Minister kolonii powiedział: „Nie twierdzę, że mogę wam udzielić jakichkolwiek instrukcji, jaką trasę wybrać ani jak się macie zachowywać wobec tubylczych wodzów". A to – jak twierdzą historycy – oznaczało, że dał im wolną rękę.

Gdy kolumna dotarła do Koulikoro nad rzeką Niger, wyprawa się podzieliła się. Voulet z częścią ludzi poszedł jedną drogą, a Chanoine drugą. Ponoć ten ostatni zaczął grabić i mordować jako pierwszy, bo jego ludzie mieli trudności ze znalezieniem prowiantu. W styczniu 1899 r. obie grupy ponownie się połączyły. Kolumna była jeszcze większa niż na początkowym etapie. W jej skład wchodziły już ponad 2 tys. ludzi. Taka liczba zdecydowanie przekraczała możliwości aprowizacyjne misji, mimo że wciąż jeszcze przemierzała ona tereny kontrolowane przez Francuzów.

Posuwali się więc naprzód, plądrując napotykane po drodze wioski. Te, które odmawiały dostarczenia im żywności, były równane z ziemią. Do najbrutalniejszego epizodu tej części wyprawy należy unicestwienie wioski Sansanné-Haoussa (8 stycznia 1899 r.). Podobno był to odwet za zranienie przez miejscowych kilku żołnierzy. W masakrze urządzonej przez kapitanów zginęło 101 osób, w tym 30 kobiet i dzieci.

Gdy pod koniec miesiąca ekspedycja ruszyła znad rzeki Niger na wschód przez półpustynne tereny, marsz był już właściwie jednym wielkim szałem zabijania: tubylczą ludność gwałcono, wieszano, rozstrzeliwano. Najbardziej makabryczne historie mówią o ściętych głowach, które układano na białym obrusie



Paul Voulet i Julien Chanoine

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, L'ILLUSTRATION 1899

w czasie kolacji. Kapitanowie w brutalny sposób obchodzili się ze swoimi podwładnymi, ale z drugiej strony przymykali oko na ich ekscesy.

Wreszcie kolumna dotarła do osady handlowej Birni N'Konni na terytorium dzisiejszego Nigru. Był 8 maja 1899 r. Żołnierze zażądali kilku sztuk bydła. Władze osady mogły bez trudu zaspokoić ich żądania, problem polegał tylko na tym, że zwierzęta były akurat na pastwiskach, w pewnej odległości od wioski. Żołnierze nie mieli ochoty czekać. Zaczęła się masakra okolicznej ludności – mężczyznom ścinano głowy, kobiety gwałcono i rozstrzeliwano, dzieci wieszano. Jednego dnia zamordowanych zostało od 8 do 10 tys. osób.

Królowa stawia opór

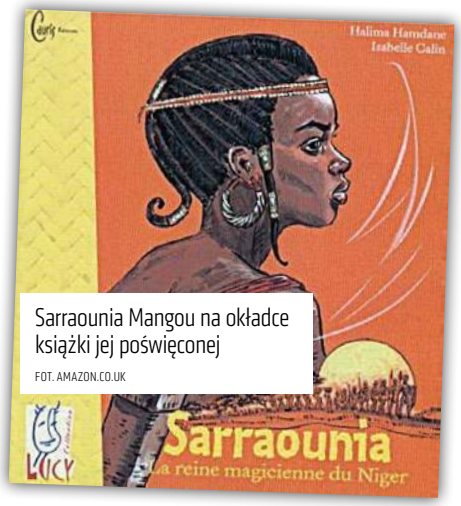
W czasie piekielnego marszu większość wodzów plemion zamieszkujących tereny obecnego Nigru pragmatycznie wolała schodzić białym z drogi, ale w końcu Francuzi napotkali opór. Walkę z nimi podjęła Sarraounia Mangou – ni to królowa, ni kapłanka animistycznej grupy Azna z plemienia Hausa.

Dziś trudno z całkowitą pewnością stwierdzić, co w tej historii wydarzyło się naprawdę, a co jest mitem i legendą odpowiadającą współczesnej ideologii feminizmu i wokeizmu. Rozróżnienie jest tym trudniejsze, że afrykańskie opowieści przetrwały głównie w formie ustnej. A Sarraounia Mangou jawi się w nich jako zjawisko nie z tej ziemi: ciska w najeźdźców ogniem, rozpościera mgłę albo zaklęciami zaciera ślady stóp wojowników, by mogli uciec; dzięki niej w cudowny sposób odrastają puszczone z dymem plony.

Faktem jest jednak to, że wojownicy z osad Lougou i Tongany zbuntowali się w kwietniu. Na ich czele stała Sarraounia Mangou, kobieta z rodu wodzów plemiennych. I choć w bezpośrednim starciu z Francuzami tubylcy byli bez szans, to gdy przyszło do walki partyzanckiej, stawiali dzielny opór. Potyczki ciągnęły się godzinami.

Pościg Klobba

W tym czasie Paryż zdawał już sobie sprawę z tego, że z wyprawą stało się coś niedobrego. Sekwencja zdarzeń wyglądała następująco: po pierwszych masakrach, których dopuścili się członkowie misji, w styczniu 1899 r. jeden z oficerów – por. Louis Peteau – powiedział Vouletowi, że ma już dość. 29 stycznia został więc zdymisjonowany za „brak dyscypliny i entuzjazmu". Wzburzony porucznik napisał list (datowany na 15 lutego) do narzeczonej. Szczegółowo opisał w nim okrucieństwa, których był świadkiem. Przerażona kobieta skontaktowała się z armią. Wreszcie list trafił na biurko ministra do spraw kolonii Antoine'a Guillaina, a 20 kwietnia sam premier uznał,



Sarraounia Mangou na okładce książki jej poświęconej

FOT. AMAZON.CO.UK

eprasa.pl 94eb3b15bc

że kapitanowie to buntownicy, i nakazał ich aresztować.

Wykonanie rozkazu powierzono dowodzącemu garnizonem w Timbuktu 42-letniemu ppłk. Jeanowi-François Arsène'owi Klobbowi, który miał potem objąć dowództwo nad kolumną.

Klobb wraz z niewielkim oddziałem ruszył zatem w pościg śladem splądrowanych murzyńskich wiosek i trupów leżących przy drogach. W swoich notatkach podpułkownik zapisał: „Około południa dotarliśmy do wioski Koram Kalgo. Zastaliśmy tam tylko dymiące zgliszcza. Staruszek siedzący w popiołach powiedział nam, że siły inwazyjne przeszły tędy cztery dni wcześniej. Dwie małe dziewczynki w wieku około 10 lat wisiały na drzewie u wejścia do wioski. Wszędzie widziałem zwłoki mężczyzn w sile wieku, a ich tarcze leżały rozrzucone w pobliżu".

Oddział przebył trasę o długości 2 tys. km i w lipcu dogonił piekielną ekspedycję. Relacje ze spotkania dwóch wojskowych są zadziwiająco szczegółowe. Sprawy szybko potoczyły się w najgorszym możliwym kierunku: Voulet wyszedł na spotkanie podpułkownika. Klobb do końca nie wierzył, że kapitan może podnieść rękę na wyższego rangą oficera. Trzymał więc fason. W galowym mundurze, z medalem Legii Honorowej przypiętym do piersi, ruszył samotnie w stronę Vouleta. Po krótkiej wymianie wzajemnych ostrzeżeń i salw na postrach Klobb został zastrzelony.

Wieczorem, zdejmując galony, Voulet miał powiedzieć swoim ludziom: „Teraz jestem wyjęty spod prawa, wyrzekam się rodziny, ojczyzny, nie jestem już Francuzem, jestem czarnym wodzem. Z wami zbuduję imperium…".

Oficerowie przyjęli jego deklarację zaskakująco chłodno, ich sceptycyzm udzielił się żołnierzom. Następnego dnia ktoś poinformował Vouleta, że szykuje się bunt. Voulet i Chanoine zebrali senegalskich strzelców. Najpierw na oczach całego oddziału Voulet zastrzelił informatora za... zbyt późne poinformowanie go o planowanym buncie, a potem wygłosił pogadankę o obowiązku posłuszeństwa. Przemawiał, chodząc i strzelając do żołnierzy. Senegalczycy zaczęli się bronić – Chanoine zginął na miejscu, a Vouletowi udało się uciec. Zaszył się w sąsiedniej wiosce, jednak następnego dnia rano, gdy próbował wrócić do obozu, został zabity przez wartownika.



Śmierć ppłk. Jeana-François Arsènea Klobba

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CORRIERE ILLUSTRATO DELLA DOMENICA 1899

Afrykańska gorączka

Skandalu w Afryce nie dało się długo utrzymać w tajemnicy. Francuska prasa szalała. 1 lipca 1899 r. „L'Aurore" w tekście pt. „Kolonizują", zamieszczonym na pierwszej stronie, pisał: „Czy wiecie, jakie to były wyczyny? Masakry Murzynów, odrażające okrucieństwa, zbrodnie tak potworne, że sami żołnierze, przyzwyczajeni do okrucieństw, byli oburzeni". Dziennik polityczno-literacki „Le XIXe Siècle" pisał o „tych tak zwanych bohaterach kolonizacji, którzy w rzeczywistości byli bardziej dzicy niż dzicy". Użalał się też nad losem tragarzy, którzy zostali zastrzeleni, gdy chcieli opuścić kolumnę. Ich głowy wbito na pal, „aby siać postrach wśród pozostałych".

Nie wszyscy jednak byli przekonani o winie kapitanów. Dziennikarz gazety „Le Matin" został wysłany na wywiad do gen. Jules'a Chanoine'a. Ponieważ go nie zastał, przeprowadził rozmowę z bratem kapitana. Okazało się, że rodzina nie wierzy, by Julien był w stanie popełnić morderstwo na francuskim oficerze. Winę za śmierć Klobba przypisywali „tubylczemu sierżantowi". Jeszcze inni tłumaczyli trudne do pojęcia zachowanie obu oficerów „afrykańską gorączką", na którą zapadali ponoć Francuzi, nieprzyzwyczajeni do gorącego klimatu.

Co się stało z wyprawą „Afryka Środkowa-Czad"? Szła dalej, już pod nowym dowództwem i nową nazwą. Ekspedycją dowodzili teraz Paul Joalland, jeden z poruczników z misji Vouleta-Chanoine'a, oraz por. Octave Meynier, zastępca Klobba, który został ranny podczas próby zatrzymania kapitanów.

Po stoczeniu kilku bitew z lokalnymi watażkami połączyli oni siły z pozostałymi dwiema misjami – Foureau-Lamy'ego i Émile'a Gentila – i, tak jak planowano na początku, w kwietniu 1900 r. dotarli do Kousséri, by po kolejnych bitwach i potyczkach osiągnąć cel: zdobyć dla Francji Czad.

Był to idealny moment, żeby uspokoić nastroje w Paryżu. Dzięki temu por. Joalland uniknął sądu wojskowego, podobnie jak inni uczestnicy z misji Vouleta-Chanoine'a. Joalland i Meynier w przyszłości zostaną nawet generałami. A złożony w grudniu 1900 r. przez liberalnego deputowanego wniosek o powołanie komisji śledczej do zbadania skandalu przepadnie. Wygodniej było uznać, że obaj kapitanowie zwariowali od upału. A zresztą czyż lekarz misji nie stwierdził, że cierpieli na kiłę i zapalenie opon mózgowych?

Problem z juntą

Ponieważ ten „sukces" miał wyjątkowo gorzki smak, szybko (i na długo) został zapomniany. Dopiero w ostatnich latach na fali antykolonialnego wzmożenia zaczęto sobie przypominać o tej zbrodniczej ekspedycji. Także w Nigrze, choć kraj ten uwolnił się od zależności francuskiej już w 1960 r. i miał wiele okazji, by upomnieć się o ofiary. Zrobiono to jednak dopiero stosunkowo niedawno, gdy przedstawiciele czterech społeczności z Nigru złożyli skargę w ONZ na francuską misję. W związku z tym Rada Praw Człowieka ONZ wysłała do Paryża list, w którym poruszono sprawę braku reparacji dla „ofiar poważnych naruszeń praw człowieka popełnionych podczas Misji Środkowoafrykańskiej, a także dla ich potomków".

Francuzi odpowiedzieli grzecznie, ale stanowczo i ani słowem nie zająknęli się, że Francja może ponosić odpowiedzialność za zbrodnie. Zwrócili tylko uwagę, że wszelkie traktaty międzynarodowe, które misja mogła pogwałcić, podpisano dużo później, choć oczywiście Paryż zaznaczył, że jest „otwarty na dwustronny dialog z władzami Nigru". Biorąc jednak pod uwagę wyjątkowo napięte ostatnio stosunki z rządzącą Nigrem juntą wojskową, nie będzie on zapewne przesadnie intensywny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Żołnierze 6. pułku strzeleckiego Korpusu Czechosłowackiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALOIS ROCMAN

XX w. / Ewakuacja z Rosji bolszewickiej

Syberyjska epopeja Czechosłowaków



Arkadiusz Karbowiak

Korpus naszych południowych sąsiadów przeszedł przez całą Rosję, by ewakuować się z Władywostoku. Po drodze Czechosłowacy walczyli nie tylko z bolszewikami

Podczas pierwszej wojny światowej 1,4 mln Czechów i Słowaków zostało wcielonych do armii austro-węgierskiej, a nieco ponad 145 tys. znalazło się w szeregach wojsk alianckich. Wyznawane idee panslawistyczne, sympatia do Rosji i niechęć do Austro-Węgier skłoniły wielu Czechów oraz Słowaków do dezercji na froncie wschodnim i przejścia na stronę rosyjską. Wielu z nich zdecydowało się wstąpić do tworzonych po stronie Rosji wojsk czechosłowackich. Pierwszą utworzoną jednostką w sile kompanii była tzw. Česká družina, która rozwinęła się do wielkości korpusu. W styczniu 1918 r. korpus stał się częścią Armii Czechosłowackiej we Francji.

Udział w walkach na froncie wschodnim w latach 1914–1917 i osiągane wówczas sukcesy powodowały, że żołnierze korpusu czechosłowackiego cieszyli się znakomitą renomą. Postrzegano ich jako sprawnych wojowników, charakteryzujących się dodatkowo wysokim morale. Dopóki car uczestniczył w wojnie z państwami centralnymi, dopóty walka ramię w ramię z Rosjanami była opłacalna z politycznego punktu widzenia, ponieważ stanowiła wkład Czechów i Słowaków w ewentualne zwycięstwo ententy nad państwami centralnymi. Jednak bolszewicki zamach stanu, a szczególnie jego konsekwencje w postaci wycofania się Rosji z wojny, postawił dalsze funkcjonowanie korpusu pod znakiem zapytania.

Czechosłowacka Rada Narodowa podjęła więc rozmowy z Francuzami. Ich efektem było zawarcie w lutym

eprasa.pl 94eb3b15bc



Pociąg pancerny „Orlik" Korpusu Czechosłowackiego FOT. COMMNOS WIKIMEDIA

1918 r. porozumienia w kwestii ewakuacji korpusu do Francji, by mógł on walczyć z Niemcami na froncie zachodnim. Na punkt zbiorczy, z którego Czesi i Słowacy mieli być odsyłani drogą morską do Francji, wyznaczono Władywostok. Zanim jednak rozpoczęto relokację korpusu, zmianie uległa sytuacja militarno-polityczna, ponieważ 3 marca 1918 r. Rosja bolszewicka zawarła w Brześciu pokój z państwami centralnymi. Oddziały czechosłowackie wycofujące się z Ukrainy w stronę Syberii zmuszone były stoczyć pod Bachmutem bitwę z próbującymi przeszkodzić im jednostkami armii kajzerowskiej.

Przedstawiciele Filii Czechosłowackiej Rady Narodowej (FCzRN) podjęli rozmowy z rządem bolszewickim, chcąc uzyskać jego zgodę na opuszczenie terytorium Rosji via Władywostok. Radzie Komisarzy Ludowych zależało na tym nie mniej niż samym bezpośrednio zainteresowanym, ponieważ Lenin i jego współpracownicy obawiali się nacisków niemieckich w kwestii internowania jednostki. Dlatego 26 marca 1918 r. podpisano porozumienie (jego sygnatariuszem był Józef Stalin) dające Korpusowi Czechosłowackiemu prawo do wyjazdu z Rosji. Legioniści, jak ich nazywano, musieli zdać broń, zostawiając sobie tylko niewielką część uzbrojenia niezbędną do obrony przez ewentualnymi bandytami. Umowa zaniepokoiła wielu bolszewickich dowódców na Syberii. Obawiali się oni przemieszczania się tak dużej jednostki, w związku z czym do Moskwy zaczęły płynąć wezwania do zablokowania marszu korpusu w kierunku Władywostoku.

Incydent czelabiński

Na obszarach marszruty legionistów znajdowały się struktury białogwardyjskie czekające na okazję, by przejąć władzę. W okolicach Wierchnieuralska na Uralu przebywały liczące ok. 2 tys. ludzi siły Kozaków oranienburskich gen. Aleksandra Dutowa. Na Zabajkalu wojska kozackie zgromadził ataman Grigorij Siemionow, a na obszarze pogranicza rosyjsko-chińskiego pojawili się Kozacy ussuryjscy atamana Iwana Kałmykowa. Natomiast w większych miastach, takich jak Omsk, Irkuck czy Samara, istniała antybolszewicka konspiracja.

Niezbyt korzystnym dla Czechosłowaków wydarzeniem było wylądowanie we Władywostoku japońskiego desantu (5 kwietnia 1918 r.). Stalin zareagował na ten krok wycofaniem się umowy z Czechosłowakami. Transporty legionistów były wstrzymywane i przeszukiwane. Powodowało to rosnącą irytację żołnierzy korpusu, tym bardziej że widzieli oni coraz więcej jadących na zachód transportów z węgierskimi, austriackimi i niemieckimi jeńcami. Pociągi takie uruchomiły władze bolszewickie pod presją państw centralnych poszukujących uzupełnień dla oddziałów walczących na froncie zachodnim. Dodatkowo napięcie w szeregach korpusu wzmagali agitatorzy komunistyczni. Jednak wbrew ich oczekiwaniom jedynie 218 (według innych danych 129) żołnierzy wyraziło chęć podjęcia służby w formacjach bolszewickich. Nieco lepsze rezultaty przyniosła natomiast akcja werbunkowa prowadzona w obozach jenieckich. Jej plon stanowiło ok. 800 jeńców ochotników (według innych danych – 729).



Ilustracja przedstawiająca „czyszczenie" z bolszewików trasy przejazu Korpusu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANTIŠEK PAROLEK

W tak gorącej atmosferze, podszytej wzajemną nieufnością, 14 maja 1918 r. doszło do tzw. incydentu czelabińskiego. Podczas przejazdu pociągu z jeńcami Węgier Johann Malik wyrzucił z okna wagonu metolowy przedmiot, który trafił w głowę szeregowego Frantiska Duhačka. Uderzony padł nieprzytomny. Legioniści z oddziału wartowniczego ruszyli w pogoń za pociągiem. Po zatrzymaniu go próbowali zmusić Węgrów do wskazania sprawcy. Kiedy w końcu ustalono jego tożsamość, doszło do linczu – sprawca został dźgnięty bagnetem, ginąc na miejscu. O wydarzeniu tym dowiedziały się władze bolszewickie i postanowiły interweniować. 17 maja 1918 r. 10 legionistów aresztowano. Ich koledzy nie zamierzali jednak dopuścić do ukarania swoich towarzyszy broni i następnego dnia uwolnili zatrzymanych.

Dwa dni później w Czelabińsku na spotkaniu dowódców poszczególnych jednostek korpusu z działaczami FCzRN powołano do życia złożony z przedstawicieli obu struktur Komitet Wykonawczy Wojsk Czechosłowackich i kierującą nim Komisję Wojskową w składzie: ppłk Siergiej Wojciechowski, por. Stanisław Čeček i kpt. Radola Gajda. Oficerom przydzielono rejony odpowiedzialności. Pierwszy nadzorował tereny od Czelabińska do Pietropawłowska, drugi od Penzy do Syzrania, a trzeci na wschód od Omska.

„Komitet ziemski"

Komisja odrzuciła pomysł zmiany punktu docelowego z Władywostoku na Archangielsk lub Murmańsk, co proponowali już w kwietniu Francuzi, obserwujący stopniową zmianę nastawienia bolszewików do ewakuowanych (zgodę wyraził na to Edvard Beneš). Ostatecznie Francuzi zawarli stosowną umowę z bolszewikami. Zmiana trasy i akceptacja takiego stanu rzeczy ze strony FCzRN spowodowały w korpusie pojawienie się głosów krytycznych. Tymczasem informacje o wydarzeniach w Czelabińsku dotarły do Moskwy i wywołały reakcję Lwa Trockiego, który nakazał rozbrojenie legionistów i rozstrzelanie każdego, kto nie oddałby broni. 25 maja 1918 r.

eprasa.pl 94eb3b15bc



Żołnierze Korpusu Czechosłowackiego na Syberii
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WEB.MAC.COM

żołnierze korpusu mający kontrolę nad środkami komunikacji na stacjach kolejowych (korpus przemieszczał się uzbrojonymi pociągami) przechwycili komunikaty z Moskwy. W takiej sytuacji konfrontacja była nieunikniona.

Już 25 maja miejscowi bolszewicy próbowali rozbroić żołnierzy z pociągu sztabowego 6. pułku stojącego na stacji Kulomzin. Próba ta nie powiodła się jednak, a legioniści odjechali do Marianówki, po drodze łącząc się z jadącym innym pociągiem 2. batalionem pułkowym. Do miasta przybyli również czerwonogwardziści, którzy postanowili przejść do ataku. Był to błąd, który kosztował bolszewików 250 poległych i 128 wziętych do niewoli (28 zabitych i 15 rannych zanotowali Czechosłowacy). Po rokowaniach z omskim sowietem Czechosłowacy postanowili zwolnić jeńców.

Dramatyczne wydarzenia rozegrały się 26 maja 1918 r. w Irkucku. Tego dnia 2. batalion 2. brygady artylerii wjechał do miasta, jednak został tam zatrzymany i zmuszony do oddania broni. Gdy Czechosłowacy podporządkowali się, bolszewicy otworzyli do nich ogień. Napadnięci rzucili się na oprawców z kamieniami i kijami, a ponieważ mieli liczebną przewagę, za cenę 15 poległych i 63 rannych pokonali przeciwników, zabijając pięciu z nich, a 35 biorąc do niewoli.

Na trasie przerzutu Koleją Transsyberyjską legioniści zajmowali kolejne miasta: Penzę, Syzrań, Tomsk, Samarę, Omsk. Pomimo prób zachowania przez żołnierzy korpusu zasad prawa wojennego walki stawały się coraz brutalniejsze. Pewien wpływ na tę bezwzględność miał fakt, że po stronie bolszewików walczyli czescy komuniści. Po ujęciu byli oni traktowani przez legionistów jak zdrajcy. 29 maja 1918 r. siły czechosłowackie zdobyły Penzę. Poległo tam 30 legionistów, a 100 odniosło rany. Straty po stronie bolszewików były większe: zginęło ich 200, a według innych źródeł nawet 300.



Oddziały Korpusu Czechosłowackiego w Irkucku FOT. COMMONS WIKIMEDIA, E.K. GETKE

Po zakończeniu zmagań militarnych zastrzelono – być może w czasie próby ucieczki lub w związku z prowadzoną nieustannie po wzięciu do niewoli nachalną komunistyczną agitacją – żydowskiego przewodniczącego komitetu wykonawczego partii bolszewickiej Nauma Libersona. W gronie jeńców odkryto trzech czeskich komunistów walczących po stronie bolszewików. Josef Pospíšil, Alois Skoták i Ludvík Očenášek zostali nocą 6 czerwca 1918 r. powieszeni w pobliżu Liepajde przez tłum legionistów. Kolejnych dwóch Czechów stracono 18 czerwca na mocy wyroku wojskowego sądu polowego w Spasskoje. Nie tylko Czesi, lecz także internacjonaliści węgierscy i niemieccy padali ofiarami egzekucji. O przeznaczonych do stracenia czerwonych jeńcach mawiano żołnierskim slangiem, że mają być wysłani do „komitetu ziemskiego".

W Pietropawłowsku, opanowanym 31 maja 1918 r., oddziały czechosłowackie rozstrzelały ośmiu wziętych do niewoli węgierskich komunistów. 8 czerwca rozstrzelano w mieście kolejnych 22 członków miejscowego sowietu. W tej grupie znalazły się dwie kobiety. Świadkowie egzekucji mówili, że odpowiadali za nią głównie białogwardziści, a Czechosłowacy się przyglądali.

Okaleczone ciała

16 września 1918 r. w miejscowości Przystań Ilijska, poza kilkoma Węgrami, Niemcami i Czechami, po stoczonej bitwie zabito również trzy pielęgniarki zajmujące się rannymi. Takie traktowanie jeńców było w dużej mierze reakcją na bolszewickie okrucieństwo, którego wcześniej doświadczyli żołnierze korpusu. 8 czerwca 1918 r. w okolicach Babińska legioniści odnaleźli okaleczone ciała kolegów. Porucznik Václav Zanáška został zamordowany przez bolszewickiego komisarza, który obciął mu nogi i ręce (według innej wersji tylko ręce). Natomiast 17 sierpnia w pobliżu stacji Posolska nad jeziorem Bajkał po torturach zamordowany został dowódca 2. Dywizji Piechoty korpusu, Rosjanin ppłk Boris Uszakow. Wraz z nimi zginął por. Stančič. W odwecie za te mordy zastrzelono 22 jeńców bolszewickich. Natomiast w pobliżu Nikolska na drodze do Chabarowska znaleziono ciała 20 legionistów. Aż 17 z nich przed śmiercią okaleczono, a trzem obcięto uszy, nosy i wydłubano oczy.

W miarę sukcesów odnoszonych przez Korpus Czechosłowacki w odbijanych z rąk czerwonych miastach władzę zaczęły w nich obejmować struktury antybolszewickie. W Ufie 23 września 1918 r. powstał Ogólnorosyjski Rząd Tymczasowy. Jego politycznym zapleczem były środowiska prawicowych mienszewików. Premierem po przeniesieniu rządu do Omska nominowano Piotra Wołogodskiego. Większość oficerów i żołnierzy czechosłowackich sympatyzowała z nim. Zmiana nastrojów nastąpiła dopiero po zamachu stanu dokonanym przez adm. Aleksandra Kołczaka (18 listopada 1918 r.). Czechosłowacy nie przyjęli tego wydarzenia z entuzjazmem. Dowódca korpusu gen. Jan Syrový chciał nawet pomóc eserowcom (w sierpniu 1918 r. nastąpiła zmiana na stanowisku

eprasa.pl 94eb3b15bc

dowodzącego – rosyjskiego generała Władimira Szokorowa, mianowanego inspektorem korpusu, zastąpił awansowany na generała Jan Syrový). Przed realizacją tego kroku powstrzymała go jednak zdecydowana interwencja francuskiego generała Maurice'a Janina, głównodowodzącego sił sprzymierzonych w Rosji.

Jesienią 1918 r. w korpusie zaczęło podupadać morale. Zmęczenie, choroby, straty i brak rezerw – wszystko to spowodowało, że żołnierze coraz częściej wyrażali swoje niezadowolenie. W październiku 1918 r. w 1., 4. i 9. pułku doszło nawet do zbiorowej odmowy wykonania rozkazów przeprowadzenia ataków na złożone z Czechosłowaków oddziały bolszewickie. Dowódca 1. Husyckiej Dywizji Strzelców płk Josef Jiří Švec, nie mogąc pogodzić się z takim postępowaniem swoich podkomendnych, 25 października 1918 r. popełnił samobójstwo.

Trzy dni później ogłoszono deklarację powstania państwa czechosłowackiego, a 11 listopada zakończyła się pierwsza wojna światowa. Wśród legionistów zaczęło narastać zniechęcenie do prowadzenia walk; dominowały nastroje krytyczne wobec dalszego udziału w wojnie domowej w Rosji. Żołnierze chcieli już wracać do ojczyzny.

W styczniu 1919 r. na rozkaz przybyłego do Rosji gen. Milana Rastislava Štefánika rozwiązano wszelkie komitety rewolucyjno-obywatelskie, które funkcjonowały w korpusie. Widząc nastroje w jednostce, dowództwo postanowiło wycofać legionistów z pierwszej linii walk i skierować ich do ochrony linii komunikacyjnych Kolei Transsyberyjskiej. Jednak wiązało się to ze stosowaniem represji wobec mieszkańców podejrzewanych o wspieranie partyzantki. Wojna partyzancka miała z natury rzeczy jeszcze bardziej brutalny charakter niż otwarta konfrontacja, w której do tej pory uczestniczyli Czechosłowacy. Udział w akcjach antypartyzanckich zmienił dotychczasowe pozytywne postrzeganie żołnierzy korpusu, którzy zaczęli się rosyjskiej ludności kojarzyć z Polakami z V Dywizji Syberyjskiej, symbolizującymi w ich oczach okrucieństwo. 1 lutego 1919 r. korpus włączono do armii czechosłowackiej.



Jan Syrový, dowódca Korpusu Czechosłowackiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Rozkład wewnętrzny był coraz bardziej widoczny. Takie było przesłanie opinii wyrażonej we wrześniu 1919 r. przez gen. Janina. Napięcie widać było także w relacjach czechosłowacko-rosyjskich, czego przykładem było zwolnienie przez adm. Kołczaka w lipcu 1919 r. czeskiego generała Radoli Gajdy ze stanowiska dowódcy białej kontrrewolucyjnej Armii Syberyjskiej. Dwa miesiące później całkowicie wydalono go z armii rosyjskiej.

Trupy w przeręblu

Przywódcy Republiki Czechosłowackiej prezentowali przez pewien czas dwa odmienne punkty widzenia. Premier Karel Kramář uważał, że legioniści powinni pomóc antybolszewickiemu ruchowi białych zwyciężyć w wojnie domowej, natomiast prezydent Tomáš Masaryk, ogłaszając désintéressement w tej sprawie, dążył do jak najszybszego powrotu jednostki do ojczyzny. Klęski białych ponoszone jesienią 1919 r. na froncie syberjskim wskazywały, że bardziej sensowna wydawała się realizacja tej drugiej opcji.

10 listopada 1919 r. oddziały białych opuściły Omsk. Z miasta wyjechał także, przenosząc się do Niżniudińska, adm. Kołczak. Tymczasem 17 listopada przebywający we Władywostoku gen. Gajda, przy pomocy prawicowych eserowców, a także bolszewików, dokonał puczu, próbując ustanowić alternatywny wobec rządu Kołczaka ośrodek władzy. Rebelię stłumili rosyjscy kadeci ze szkoły podchorążych i szkoły instruktorskiej, wspomagani przez Japończyków. Ujęty raniony w nogę gen. Gajda musiał opuścić Rosję.

15 stycznia 1920 r. adm. Kołczak przybył do Irkucka. Wieczorem tego dnia zapewniający mu ochronę Czechosłowacy, po uprzednich konsultacjach z gen. Janinem, poinformowali admirała, że przekażą go miejscowym władzom (wywodziły się one ze struktur eserowsko-mieńszewickiej organizacji Centrum Polityczne, która zainicjowała wybuch powstania antykołczakowskiego w mieście). Co ciekawe, legioniści przekazali też bolszewikom złoto, które zostało im powierzone do nadzoru. Taka była cena wolnego przejazdu do Władywostoku.

21 stycznia adm. Kołczak stał się więźniem bolszewickiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, któremu eserowcy przekazali władzę. Na polecenie Lenina miejscowi bolszewicy przeprowadzili egzekucję admirała. Został on rozstrzelany 7 lutego 1920 r. nad rzeką Uszakowką wraz z premierem Wiktorem Piepielajewem. Ciała obu straconych przywódców wrzucono następnie do przeręblа.



Sztab Armii Syberyjskiej. Od lewej siedzą: gen. Radola Gajda i adm. Aleksandr Kołczak FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Od 9 grudnia 1919 r. do 2 września 1920 r. z Władywostoku odpłynęło 36 transportów z legionistami. W sumie przewieziono statkami, głównie amerykańskimi i brytyjskimi, 67 730 żołnierzy i cywilów. W wyniku walk korpus stracił bezpowrotnie 4112 żołnierzy (zabitych lub zmarłych w wyniku ran).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

„Чешско-Словацкий (Чехословацкий) корпус 1914–1920. Документы и материалы – Том 2. *Чехословацкие легионы и Гражданская война в России 1918–1920 гг"; Kříšťan V.,* ***„Československí krasnoarmějci 1917–1920";*** *Vácha D.,* ***„Ostrovy v bouři. Českoslovenští legionáři a všednost let válečných 1918–1920";*** *Zeman D.,* ***„Anabáze československých legií v Rusku a Druhá muniční divize v letech 1918–1920".***

eprasa.pl 94eb3b15bc



Wywiad / Z Pawłem Lisickim, publicystą, pisarzem, autorem książki „Mesjasz i Trzecia Świątynia”

rozmawia Piotr Włoczyk

Miraż Trzeciej Świątyni

Makieta-rekonstukcja wyglądu drugiej Świątyni Jerozolimskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARIELY

– Żydzi narodowo-mesjańscy wzywają do jak najszybszej odbudowy świątyni i nieliczenia się z zagrożeniami, jakie sprowadziłoby na Izrael zniszczenie meczetów – mówi publicysta

PIOTR WŁOCZYK: Zwiedzając dzielnicę żydowską na starym mieście w Jerozolimie, możemy się natknąć na wielką złotą menorę, chronioną przez pancerne szyby. Czemu ma służyć taki „eksponat”?

PAWEŁ LISICKI: Menora, zrobiona podobno w całości ze złota, stoi na placu mniej więcej 200 metrów od Ściany Płaczu i czeka na swój czas – przeniesienie do odbudowanej Świątyni Jerozolimskiej, o czym marzą żydowscy narodowi mesjaniści. Jednak nie jest to jedyny tego rodzaju sprzęt. Jak opowiadał mi pewien polski publicysta, podczas swojej wizyty w USA jesienią 2024 r., gdy uczestniczył w spotkaniach wyborczych, wraz z aktywistami ruchu MAGA odwiedził jedną z nowojorskich synagog. Pokazano mu tam kopię Arki Przymierza, wykonaną w całości ze złota. Gdy zapytał, w jakim celu ją zbudowano, usłyszał, że zostanie ona przekazana do odbudowanej Świątyni Jerozolimskiej. Natomiast w jerozolimskim Instytucie Świątynnym można zobaczyć gotowe szaty arcykapłana.

A co z samym arcykapłanem? Czy znamy już człowieka, który miałby objąć tę godność?

Arcykapłan nie został jeszcze wybrany, natomiast jest kilku mocnych kandydatów. Podobno największe szanse ma obecnie Baruch Kahane, syn rabina Meira Kahanego, słynnego żydowskiego ekstremisty.

Przez lata prowadzono badania nad stworzeniem tzw. czerwonej jałówki. Jak ważne jest to zwierzę dla urzeczywistnienia planów budowy Trzeciej Świątyni?

Czerwona jałówka opisana jest dokładnie w Księdze Liczb. Popiół z tego zwierzęcia jest konieczny do rytualnego oczyszczenia, które z kolei jest niezbędne do tego, by Żydzi mogli uczestniczyć w liturgii świątynnej. Jeżeli więc Żydzi chcą odnowić kult świątynny, to nie da się tego zrobić bez czerwonej jałówki.

Czyli na razie Żydzi są nieczyści w tej konkretnej materii?

To skomplikowane zagadnienie. Żydzi byli uznawani za nieczystych aż do przełomu lat 70. i 80. XX w., ponieważ ogół rabinów interpretował w ten sposób halachę, czyli wykładnię Prawa Mojżeszowego. Zgodnie z jego zapisami, ponieważ Żydzi nie mogą uczestniczyć w kulcie świątynnym, są rytualnie nieczyści i w związku z tym nie mogą wchodzić na Wzgórze Świątynne. Jednak po tym, gdy w 1967 r. Izrael przejął władzę nad Wschodnią Jerozolimą – pozostawiając zarząd nad Wzgórzem Świątynnym jordańskiej organizacji Waqf – zaczęła się zmieniać interpretacja dawnego prawa. Coraz więcej rabinów zaczęło uważać, że pomimo nieczystości dzisiejsi Żydzi mają jednak prawo pojawiać się na Wzgórzu Świątynnym.

Musimy przy tym pamiętać, że w przypadku judaizmu nie ma czegoś ta-

eprasa.pl 94eb3b15bc

kiego jak urząd nauczycielski i stąd biorą się różne interpretacje. Przykładowo: w jerozolimskiej dzielnicy Mea Szearim żyją haredi, przedstawiciele odłamu judaizmu, którzy nie uznają Państwa Izrael stworzonego przez syjonistów. Czekają oni na „prawdziwy" Izrael, który ich zdaniem może powołać do istnienia jedynie Mesjasz.

Nawiasem mówiąc, kiedyś tak samo patrzył na to zagadnienie ogół Żydów: najpierw musi pojawić się Mesjasz i dopiero potem nastąpi odrodzenie Izraela. Ale ponieważ Żydzi sami wrócili do Palestyny i powołali do życia własne państwo, to ogół rabinów odwrócił kolejność w swoim nauczaniu: najpierw wracają Żydzi, a dopiero potem przychodzi Mesjasz. Ten sam proces dotyczy świątyni. Zgodnie z klasycznym judaizmem tylko Mesjasz może odbudować świątynię. Teraz jednak wielu ortodoksyjnych rabinów mówi: „Najpierw musimy odbudować świątynię i dopiero potem przyjdzie Mesjasz".

Sęk w tym, że na Wzgórzu Świątynnym stoją dwa meczety, z czego jeden jest trzecim najświętszym miejscem islamu...

I dlatego musiałyby one zostać zniszczone. Meczet Omara jest najbardziej widowiskowy, z uwagi na swoją złotą kopułą. Natomiast meczet Al-Aksa, dawna siedziba zakonu templariuszy, usytuowany jest ok. 100 metrów na południe. Z oczywistych powodów nigdy nie prowadzono tam badań archeologicznych. Uważa się jednak, że w meczecie Omara znajdują się fundamenty świątyni żydowskiej.

A czy nie dałoby się nieco przesunąć projektowanej Trzeciej Świątyni?

Absolutnie nie, ponieważ żydowscy narodowi mesjaniści uważają, że to konkretne miejsce wybrał sam Pan Bóg. A wybrał je po raz pierwszy, gdy świątynię zbudował tam Salomon. Wcześniej w tym miejscu stał tzw. Przybytek, czyli Namiot Spotkania. Towarzyszył on Żydom od czasów ucieczki z Egiptu. Jednak gdy król Dawid zdobył Jerozolimę i chciał tam zbudować świątynię, usłyszał od Pana Boga – co podane zostało w Księdze Samuela – że skoro stoczył tyle krwawych wojen, to nie on to zrobi, lecz dopiero jego syn. Salomon zbudował świątynię



PAWEŁ LISICKI
„MESJASZ I TRZECIA ŚWIĄTYNIA"
FRONDA

dokładnie według „parametrów", które zostały mu objawione.

Pierwsza świątynia została zniszczona w 586 r. p.n.e. przez Babilończyków. Po powrocie z niewoli babilońskiej Żydzi zbudowali drugą świątynię. W 19 r. p.n.e. król Herod rozpoczął wielką rozbudowę całego kompleksu. To właśnie on stworzył to, co nazywamy Wzgórzem Świątynnym, nawożąc mnóstwo ziemi, dzięki czemu można było postawić w tym miejscu wielki gmach. Wykańczanie świątyni zakończono dopiero w 64 r. n.e., czyli jeszcze przez 30 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa trwały nad nią prace.

Żydzi krótko cieszyli się swoją wspaniałą świątynią.

W 66 r. dochodzi do powstania żydowskiego i Neron wysyła do Judei i Galilei swojego najbardziej doświadczonego wodza – Wespazjana. Rzymianie szybko opanowują Galileę, a Wespazjan niedługo sam zostaje cesarzem. Zwieńczeniem jego sukcesu miało być zdobycie Jerozolimy. Cesarz wysłał więc do Judei swojego syna Tytusa. Rzymianie zdobyli miasto, wymordowali jego mieszkańców, a świątynię zniszczyli. Jedyną pozostałością kompleksu świątynnego jest dziś Ściana Płaczu.

Czy Żydzi próbowali później odbudować swoją świątynię?

W 362 r. doszło do pierwszej i tak naprawdę jedynej do tej pory faktycznej próby odbudowy Świątyni Jerozolimskiej. W tamtym okresie cesarz Julian Apostata postanowił odrodzić w państwie pogaństwo. Aby to osiągnąć, zamierzał udowodnić, że chrześcijaństwo jest fałszywą religią. Jaki miał na to pomysł? Obudowanie świątyni byłoby zaprzeczeniem proroctw Jezusa Chrystusa, który zapowiadał zniszczenie tej budowli.

Gdy jednak Żydzi rozpoczęli prace, nagle z ziemi buchnęły kłęby dymu i pojawił się ogień. Zgodnie z wersją naturalistyczną doszło do pożaru resztek substancji łatwopalnych, które znajdowały się pod gruzami. Natomiast według wersji nadprzyrodzonej była to interwencja Boga, który nie chciał dopuścić do odbudowy świątyni. Tak czy inaczej efektem było przerażenie robotników i zatrzymanie całego projektu. W niedługim czasie Julian Apostata zginął w trakcie wyprawy na Persję i temat odbudowy świątyni został kompletnie zarzucony.

A trzy stulecia później muzułmanie postawili w tym miejscu meczet, którego znaczenie dla wszystkich wyznawców islamu trudno dziś przecenić.

To najświętsze dla nich miejsce, zaraz po Mekce i Medynie. Ze skały na Wzgórzu Świątynnym, która dziś przykryta jest Kopułą na Skale, Mahomet miał być porwany do nieba.

Przejdźmy do kwestii politycznych. Kto konkretnie popiera w dzisiejszym Izraelu tak kontrowersyjny projekt?

Widzimy dwie główne siły, które dążą do odbudowy świątyni, choć kieruje nimi różna motywacja. Pierwszą grupą są świeccy Żydzi, którzy popierają ten projekt z przyczyn politycznych. Trzecia Świątynia byłaby bardzo wymownym znakiem potęgi Izraela. Mam tu na myśli dużą część izraelskiej prawicy narodowej, czyli głównie rządzący Likud. Ci ludzie myślą w następujący sposób: „Skoro Izrael jest wyłączną własnością Żydów, to musimy mieć pełną suwerenność nad każdym fragmentem naszego terytorium, również Wzgórzem Świątynnym".

Czy Beniamin Netanjahu jest mocno zaangażowany w ten temat?

Tak, ale premier Izraela jest przede wszystkim pragmatykiem. Nic nie wskazuje na to, by Netanjahu chciał jak najszybszego odbudowania świątyni, ponieważ rozumie, że w obecnym układzie politycznym na świecie taki krok pociągnąłby za sobą bardzo niekorzystne konsekwencje – chodzi oczywiście o reakcję państw muzułmańskich.

Mówiąc wprost: oznaczałoby to konflikt z całym światem islamu.

Najprawdopodobniej. I dlatego Netanjahu uważa, że jeszcze nie nadszedł na to czas. USA jednoznacznie popierają działania Izraela i dbają o jego bezpieczeństwo, ale jednak – przynajmniej obecnie – nie zgodziłyby się na taki

eprasa.pl 94eb3b15bc



Meczet Kopuła na Skale

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GERD EICHMANN

krok. Można więc powiedzieć, że odbudowa świątyni faktycznie jest celem Likudu, natomiast jest to cel długodystansowy.

Drugą znaczącą siłą, która wewnątrz Izraela prze do budowy Trzeciej Świątyni, są Żydzi narodowo-mesjańscy. Ich reprezentantami w rządzie są m.in. Itamar Ben-Gwir i Becalel Smotricz. Ta grupa jest dużo bardziej radykalna niż pierwsza, ponieważ wzywa do jak najszybszej odbudowy świątyni i nieliczenia się z zagrożeniami, jakie sprowadziłoby na Izrael zniszczenie meczetów. Dla nich jest to po prostu boży nakaz i dlatego nie przejmują się wojną. A gdyby doszło do konfliktu, to – jak sami to określają – byłyby to „bóle porodowe Mesjasza". W ramach tego środowiska bardzo istotna jest działalność wspomnianego już Instytutu Świątynnego oraz chasydzkiej sekty Chabad-Lubawicz. Żydzi narodowo-mesjańscy stanowią mniejszość obywateli Izraela (jest ich tam ok. 15 proc.), natomiast mają ogromne znaczenie dla stabilności rządu Netanjahu – bez ich poparcia prawica nie byłaby w stanie sprawować władzy. Inna sprawa, że obserwujemy coraz szybszą fundamentalizację Izraela. Państwo, które powstało jako przedsięwzięcie świeckich Żydów, teraz bardzo wyraźnie przechyla się w prawą, religijną stronę.

Ciekawie wygląda proces „mainstreamizacji" izraelskiego ruchu na rzecz odbudowy świątyni. Zaczęło się od grupki ekstremistów, a dziś to już zinstytucjonalizowana machina polityczno-religijna.

Jeszcze w latach 70. i 80. meczetom na Wzgórzu Świątynnym zagrażali głównie żydowscy ekstremiści, którzy próbowali wysadzić je w powietrze. Policja jednak udaremniała ich plany. Przełomem był rok 1984 i powstanie Instytutu Świątynnego, który zmienił sposób myślenia o przejęciu Wzgórza Świątynnego. Można to nazwać swego rodzaju żydowskim „Długim Marszem". Państwo izraelskie mocno wspiera ten kierunek – uczniowie publicznych szkół mają dziś obowiązek odwiedzenia Instytutu Świątynnego.

Wygląda na to, że Żydzi coraz odważniej poczynają sobie na Wzgórzu Świątynnym. Widok ludzi w jarmułkach modlących się w pobliżu Kopuły na Skale nikogo już chyba nie dziwi?

Zgadza się, choć przecież miało być zupełnie inaczej. Waqf zawarł na początku XXI w. umowę z Izraelem, na mocy której Żydzi mogą wchodzić na Wzgórze Świątynne, ale nie wolno im się tam modlić. Żydzi jednak od lat systematycznie łamią ten zakaz. Ostatni głośny przypadek miał miejsce w sierpniu tego roku, gdy Wzgórze Świątynne odwiedził izraelski minister bezpieczeństwa wewnętrznego Itamar Ben-Gwir i publicznie zaczął się tam modlić z dużą grupą zwolenników.

Jeszcze w 2023 r., niedługo przed atakiem Hamasu – nawiasem mówiąc, nieprzypadkowo nazwanym „Nawałnicą Al-Aksa" – w Knesecie pojawił się projekt posła Likudu, który miał zmienić układ sił kontrolujących Wzgórze Świątynne. Ewidentnie więc spór wokół tego terenu coraz bardziej się zaognia.

W USA również znajdziemy siły, które chcą odbudowy świątyni, ale z zupełnie innego powodu...

Mówimy tu o kilkudziesięciu milionach chrześcijańskich syjonistów. Przedstawicieli tych różnych wyznań protestanckich łączy przekonanie, że aby Jezus Chrystus ponownie pojawił się na Ziemi, należy odbudować Świątynię Jerozolimską.

Ta idea po raz pierwszy pojawiła się w XIX stuleciu w brytyjskich kręgach protestanckich. Jej zwolennicy uważali, że aby doszło do paruzji, należy „właściwie" odczytać Pismo Święte. Chodzi o słowa św. Pawła, który w Drugim Liście do Tesaloniczan opisuje scenariusz końca świata. Dokonując bardzo dosłownej interpretacji słów św. Pawła, chrześcijańscy syjoniści uważają, że konieczne jest odbudowanie Świątyni Jerozolimskiej, by zasiadł w niej antychryst, co następnie spowoduje przyjście Pana Jezusa.

Co na to Żydzi?

Dla nich najważniejsza jest odbudowa świątyni. Ten cel jest wspólny, a to, że w następnym kroku drogi obu grup zupełnie się rozchodzą, to już inna kwestia.

Warto też wiedzieć, że to nie pierwszy raz, gdy Żydzi otrzymują pomoc z tej strony. To, że migracja żydowska do Palestyny udała się na taką skalę, jest efektem ogromnego wsparcia właśnie ze strony chrześcijańskich syjonistów. Początkowo brytyjskich, a następnie amerykańskich. Dziś już mało kto pamięta, że lord Arthur Balfour, który odegrał niebagatelną rolę w stworzeniu w Palestynie żydowskiej siedziby narodowej, był chrześcijańskim syjonistą.

Czy Donald Trump również chce budowy Trzeciej Świątyni?

Prezydent USA przypomina tu Netanjahu. Nie mówi tego wprost, bo rozumie, jak wybuchowy jest ten temat. Natomiast nie może też ignorować głosów swoich wyborców, którzy tego chcą. Zupełnie wprost odbudowę świątyni popierają natomiast szef Pentagonu Pete Hegseth oraz ambasador USA w Izraelu Mike Huckabee.

Dziś nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miała się rozpocząć budowa Trzeciej Świątyni, natomiast widzimy, że wydarzenia na Bliskim Wschodzi przyspieszają, atmosfera gęstnieje, a Izrael decyduje się na coraz bardziej radykalne posunięcia. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby za kilka lat okazało się, że Wzgórze Świątynne czekają ogromne zmiany.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Paweł Lisicki
jest publicystą, pisarzem, redaktorem naczelnym tygodnika „Do Rzeczy". Właśnie ukazała się jego najnowsza książka: „Mesjasz i Trzecia Świątynia. Herezja chrześcijańskiego syjonizmu, jej wyznawcy i ich wojny".

eprasa.pl 94eb3b15bc

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA”

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych”, a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych”.

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



170 zł

oszczędność 44 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 94eb3b15bc



Kadr z filmu „Niedaleko Warszawy”

FOT. WFDIF/FILMOTEKA NARODOWA

XX w. / Czerwone filmy nad Wisłą

Cień Stalina w polskich kinach



Piotr Kitrasiewicz

Tuż po wojnie polskie władze komunistyczne zleciły stworzenie agitek propagandowych w formie filmów fabularnych. Reakcja publiczności mówiła wszystko o ich przekazie i poziomie

Za sztandarowe dzieło polskiego socrealizmu w kinematografii uważa się „Jasne łany”, zrealizowane w 1947 r. przez przedwojennego reżysera Eugeniusza Cękalskiego. Ze względu na realistyczny, ukazany bez upiększeń obraz pracy tancerek w prowincjonalnym teatrzyku (film „Strachy” z 1938 r.) oraz pochylenie się nad losem ludu Cękalski stał się interesującym nabytkiem dla komunistycznych władz, tym bardziej że większość twórców filmowych okresu międzywojennego straciła życie w czasie wojny lub wyemigrowała.

„Jasne łany” były zręczną wykładnią polityczną podstawowych zasad socjalizmu w ujęciu stalinowskim. Przybywający do pewnej wsi nauczyciel stał się symbolem postępu ideologicznego i społecznego, doprowadzając m.in. do wyremontowania dworu i urządzenia w nim szkoły, podłączenia prądu oraz uruchomienia spółdzielczości. Walcząc z zacofaniem, poprawiając ogólny byt lokalnej społeczności oraz głosząc hasła równości społecznej, narażał się jednak reprezentantom tego, co „wsteczne”. Symbolem „kułaków”, czyli bogatych chłopów „wyzyskujących” biedotę, scenarzyści uczynili właściciela młyna, który bruździ pedagogowi, jak tylko może, a nawet napuszcza na niego „leśnych bandytów”, jak ówczesna propaganda określała „Żołnierzy Wyklętych”.

Oddział NSZ napada więc na szkołę i demoluje ją, a samego nauczyciela próbuje zabić. Ale oczywiście w finale czarne charaktery zostają zlikwidowane lub aresztowane, chłopi wykazują się właściwą postawą społeczną wynikającą z ich politycznego uświadomienia, które zaszczepił im nauczyciel (charyzmatyczny Kazimierz Dejmek w swojej jedynej roli filmowej), a para zakochanych – bo taka też tam była – łączy się na ślubnym kobiercu. Jednak tendencyjność polityczna położyła owe dzieło na obie łopatki. Odpowiadały za to papierowe postaci, schematyczny obraz wsi oraz czarno-biały podział. Choć była też barwa szara, w której ukazano tych nieprzekonanych i niezdecydowanych, ale twardy jak skała nauczyciel agitator wcześniej czy później przeciąga również tych „szarych” na „jasną” stronę. Była jeszcze wymowa ogólna, czyli pochwała przyniesionego przez obce wojska „socjalizmu”.

Film wszedł na ekrany kin w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia (ach, ci komuniści!) 1947 r., pokazywano go także w Związku Sowieckim jako „Swietłyje niwy”. W Polsce po obejrzeniu przez notabli i obowiązkowych oklaskach obraz trafił przed oblicza zwykłych widzów,

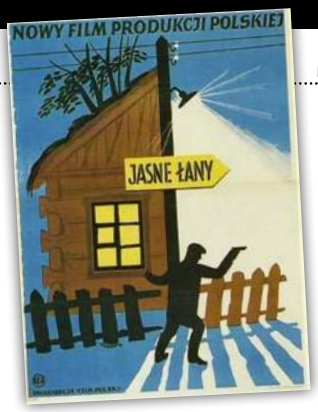
eprasa.pl 94eb3b15bc

„obywateli miast i wsi", którzy śmiali się i gwizdali podczas projekcji. „Jasne łany" nikogo chyba nie przekonały, za to stały się niechlubnym znakiem komunistycznej propagandówki, szkoda, że wyprodukowanej przez wybitnego reżysera, pracującego podczas wojny dla polskiego rządu emigracyjnego w USA, a nawet nominowanego do Oscara za dokumentalny obraz „The White Eagle".

Komunistyczny męczennik

Innym sztandarowym obrazem polskiego kina stalinowskiego, a jednocześnie najbardziej monumentalnym dziełem rodzimej kinematografii komunistycznej był zrealizowany z rozmachem pseudohistoryczny „Żołnierz zwycięstwa", oparty na biografii Karola Świerczewskiego „Waltera", Polaka w sowieckiej służbie wykonującego z ramienia Kominternu zadania wywiadowcze i bojowe w różnych krajach europejskich. Najbardziej zasłużył się w Hiszpanii podczas wojny domowej, gdzie dowodził czerwonymi brygadami, mordującymi wszelkiej maści zwolenników gen. Franco. To w Hiszpanii Świerczewski zetknął się z przybyszem z USA, Ernestem Hemingwayem, pisarzem i watażką indywidualistą, który po pijanemu, a czasem nawet na trzeźwo rzucał się do walki z wszelkimi prawicowymi „reżimami", torując drogę ofensywnemu bolszewizmowi.

W „Żołnierzu zwycięstwa" ukazano Waltera jako Polaka oraz internacjonalistę, człowieka stanowczego, ale i prostodusznego, mówiącego wieloma językami i bratającego się z ludem pracującym wszelkich krajów, zarówno europejskich, jak i azjatyckich. Trwający ponad trzy godziny obraz podzielono na dwie części, z których pierwsza – nosząca tytuł „Czas walki" – obejmuje 40 lat życia bohatera – od rewolucji 1905 r. do odparcia wojsk hitlerowskich pod Moskwą w 1941 r. Część druga – zatytułowana „Zwycięstwo" – ukazuje jego działalność po utworzeniu polskiego wojska „ludowego" w ZSRS, marsz w kierunku Polski i „wyzwalanie" jej.



Plakat filmu „Jasne łany"
FOT. FILMOTEKA NARODOWA

Film otwiera przemówienie generała na uroczystości partyjnej, po czym leci on samolotem w Bieszczady, żeby dodać ducha bojowego tamtejszym strażnicom WOP. I wracając z jednej z nich, ginie w walce z bandami UPA – jak określała je ówczesna propaganda. Opowieść o życiu tytułowego „Żołnierza zwycięstwa" rozpoczyna się zatem od wydarzeń bezpośrednio poprzedzających jego śmierć. A cała reszta, ponad trzyipółgodzinna narracja pełna politycznych przekłamań i historycznych zafałszowań (np. nie pokazano kościelnego pogrzebu Świerczewskiego), to jego pełna poświęcenia działalność na polu międzynarodowego ruchu robotniczego.

Z pasją zagrany przez Józefa Wyszomirskiego Karol Świerczewski stał się w ekranowym ujęciu Wandy Jakubowskiej (reżyseria i scenariusz) wzorcem do naśladowania, komunistycznym świętym, międzynarodowym „gierojem", męczennikiem walki o dobro ludu pracującego całego świata. Jest postacią bez skazy, bezwzględnie realizującą wytyczne Kremla i Kominternu, oczywiście dla obiektywnego dobra, którym jest budowa jednolitego, szczęśliwego świata socjalistycznego. W filmie pojawiają się postaci historyczne, jak Włodzimierz Lenin, Feliks Dzierżyński, Bolesław Bierut, Konstanty Rokossowski i oczywiście Józef Stalin, jako najbliższy współpracownik Lenina i jego następca.

Stalina zagrał Kazimierz Wilamowski, a w obsadzeniu go w tej roli jakoś nie przeszkodziła okupacyjna przeszłość aktora grającego w warszawskich teatrzykach koncesjonowanych przez hitlerowców. Rzecz jasna, żaden dziennikarz nie mógł tego wówczas napisać. Rolą Dzierżyńskiego zadebiutował natomiast na ekranie Gustaw Holoubek. W postać Lenina wcielił się wybitny aktor teatralny Jacek Woszczerowicz. Jak widać, w tej produkcji wystąpiła cała plejada ówczesnych, a przede wszystkim późniejszych gwiazd polskiego kina. Poza wymienionymi zagrali tam jeszcze: Jerzy Duszyński, Andrzej Łapicki, Tadeusz Łomnicki, Hanna Skarżanka, Barbara Drapińska, Igor Śmiałowski, Tadeusz Pluciński, Władysław Hańcza, Tadeusz Janczar, Stanisław Jasiukiewicz i inni.

Władze obsypały „Żołnierza zwycięstwa" licznymi nagrodami, zespołowymi oraz indywidualnymi. Film zdobył Nagrodę Państwową II stopnia, podobnie jak Wyszomirski za tytułową rolę oraz Barbara Drapińska, która zagrała Walę, córkę komunisty Stefana Pawłowskiego, w finale deklarującą: „Generał Karol Świerczewski żyć będzie zawsze w naszych sercach i myślach. Zawsze pozostanie dla nas najpiękniejszym wzorem, jak kochać Polskę, klasę robotniczą, masy pracujące. Jak nienawidzić wrogów i jak bić wrogów".

Nagrody I stopnia otrzymali natomiast Wanda Jakubowska za reżyserię i scenariusz oraz Stanisław Wohl za kierownictwo zespołu operatorów, czyli za zdjęcia. Film wszedł na ekrany już po śmierci Stalina, w maju 1953 r., i szybko zakończył swoją karierę kinową. Frekwencja w kinach była minimalna, a władze nie podtrzymywały jego



Kadr z filmu „Żołnierz zwycięstwa" o Karolu Świerczewskim FOT. WFDIF/FILMOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 94eb3b15bc



Kadr z filmu „Domek z kart" FOT. WFDIF/FILMOTEKA NARODOWA

ekranowego żywota, jakby wstydziły się tej szumnie zapowiadanej, pełnej rozmachu produkcji. Zadecydowała o tym w pierwszym rzędzie śmierć Stalina, a także fakt, że film obrażał uczucia ludzi wierzących. Jedna ze scen ukazuje bowiem księdza kropiącego wodą święconą „żelazne ptaki", czyli samoloty hiszpańskich frankistów, ukazane w kolejnej sekwencji, jak zrzucają bomby. Skutkiem tego są – oto następne ujęcie – zburzony dom wiejski i płaczące przy nim osierocone dziecko. O tym, że czerwoni „obrońcy" Republiki mordowali księży i palili kościoły, nie było rzecz jasna w filmie najmniejszej wzmianki.

Towarzysz Zegadłowicz

Na początku 1954 r. na ekrany kin wszedł „Domek z kart" w reżyserii Erwina Axera. Była to ekranizacja napisanego w 1940 r. dramatu politycznego autorstwa Emila Zegadłowicza i Marii Koszyc. Utwór odnalazł w papierach po autorze „Zmór" i „Motorów" Adam Ważyk, który opracował go dla potrzeb scenicznych. Dramat wystawił Axer na scenie warszawskiego Teatru Współczesnego, a następnie w oparciu o tę inscenizację przeniósł go na duży ekran. Obsada filmu jest zgodna z teatralną; w filmie wystąpił zespół Współczesnego ze spektaklu prapremierowego, a wśród wykonawców znaleźli się: Tadeusz Białoszczyński, Danuta Szaflarska, Hanka Bielicka, Jerzy Duszyński, Henryk Borowski, Szczepan Baczyński i Andrzej Łapicki.

Trzonem sztuki oraz filmu jest ostry rozrachunek z rządową polityką sanacyjną z końca lat 30., która doprowadziła do upadku Polski we Wrześniu. Głównym bohaterem jest lewicowy publicysta Bruno Sztorc, autor zamieszczonego w sierpniu 1939 r. w „Gazecie Codziennej" artykułu noszącego tytuł „Domek z kart". W tekście tym publicysta ciskał gromy na rządzących za nieprzygotowanie Polski do wojny, ukrywanie słabości armii pod iluzorycznym obrazem jej rzekomej potęgi oraz prowadzenie błędnej polityki międzynarodowej, zwłaszcza wobec krajów sąsiednich. Nawoływał także do rewolucji społecznej. W jego ocenie takim symbolicznym „Domkiem z kart" była właśnie II Rzeczpospolita: wystarczyło dmuchnąć lub uderzyć ręką w stół i...

Numer gazety został skonfiskowany przez cenzurę, ale część nakładu rozeszła się wśród czytelników, wzbudzając sensację i uznanie dla autora. Ale do redakcji wdarli się agenci służb wewnętrznych, którzy zdemolowali ją i pobili redaktorów. Samego Sztorca aresztowano na kilka godzin przed wybuchem wojny. Nastąpiło to w nadmorskiej miejscowości letniskowej Podborze, w pensjonacie Polonia, po słownym starciu publicysty ze starostą utrzymującym, że Polska jest „silna, zwarta, gotowa".

Osoby wypoczywające w Polonii stały się w zamierzeniu autora przekrojem ówczesnego polskiego społeczeństwa, a więc burżuje, zmanierowany poeta o liberalnym światopoglądzie, kokieteryjna panienka, oficer policji oraz kelner będący niemieckim szpiegiem. Polski policjant rozszyfrowuje wprawdzie tego ostatniego, ale dogaduje się z nim, żeby „nie przeszkadzać", gdyż nie wiadomo, co będzie jutro. Największe wrażenie robi wieczorna scena w salonie przy radioodbiorniku, z którego dochodzą tajemnicze komunikaty zawierające zwroty typu „tu czekoladka", co zgromadzeni przyjmują z naiwnym rozbawieniem jako ewentualną reklamę firmy cukierniczej. Kiedy pojawiają się pierwsze strzały i wybuchy, nikomu już nie jest do śmiechu. Wieziony do Berezy Bruno Sztorc trafia na posterunek Policji Państwowej na kresach, gdzie staje twarzą w twarz z uciekającym do Rumunii premierem RP. W pełnej patosu scenie obaj zarzucają sobie zdradę Polski, po czym polityk wychodzi, nakazując pilnowanie więźnia. Ale konwojenci opuszczają podopiecznego, bo jest już 17 września i zbliżają się „goście" ze wschodu. Do wchodzących żołnierzy sowieckich Sztorc wyciąga skute kajdankami ręce i wita ich słowem: „Towarzysze!". Tak kończą się sztuka sceniczna oraz film.

Finał utworu, mający charakter agitki komunistycznej usprawiedliwiającej agresję Armii Czerwonej na Polskę, odstaje od jego całości będącej w mniejszym lub większym stopniu próbą dokonania poważnego rozrachunku z polityką prowadzoną przez politycznych epigonów Piłsudskiego. A rozrachunek ten mógłby wyjść spod pióra zarówno członka dawnego PPS, jak i mikołajczykowskiego PSL. Mógłby, gdyby nie finałowa agitka...

Był to zarazem finał twórczości literackiej Emila Zegadłowicza, a także w ogóle jego życia (zmarł wiosną 1941 r. w Gorzeniu Górnym, o czym poinformowały polskojęzyczne gazety niemieckie wydawane w czasie okupacji), w którym przechodził różne ewolucje i upadki. Najdłużej tkwił w poetyckiej szacie katolickiego franciszkanizmu, potem w obrazoburczej pozie swojej prozy powieściowej, a wreszcie rachował się z II RP z pozycji komunisty, ba, nawet czystego stalinisty, bo przecież polskich komunistów z KPP gensek zdążył już pozabijać, o czym w Polsce wszyscy wiedzieli z prasy i radia. Film Axera miał kinową premierę 16 stycznia 1954 r., a cztery lata później wyemitowała go raczkująca dopiero Telewizja Polska.

Perfidni dywersanci

Adam Ważyk był scenarzystą dramatu sensacyjno-politycznego „Niedaleko Warszawy", zrealizowanego przez Marię Kaniewską w 1954 r. W filmie tym przysłany z Anglii dywersant (w tej roli demoniczny Ludwik Benoit) podejmuje pracę w wielkim kombinacie przemysłowym i zdobywa zaufanie uczciwych robotników, kolektywnie pracujących dla dobra kraju. Dywersant jest bezwzględny, nie cofa się przed próbą mordu na aktywistce Wandzie Bugajównie (próbuje spalić ją na strychu), córce gospodarza, u którego wynajmuje pokój. W finale zostaje zdemaskowany i aresztowany. Następuje to dzięki czujności członków partii. Natomiast ufający mu dotychczas

eprasa.pl 94eb3b15bc



Kadr z filmu „Piątka z ulicy Barskiej”

FOT. WFDIF/FILMOTEKA NARODOWA

Szymon Bugaj, ojciec Wandy, z bólem uznaje swój błąd i składa samokrytykę.

W „Uczcie Baltazara” Jerzego Zarzyckiego (1954), opartego na powieści Tadeusza Brezy pod tym samym tytułem, mamy do czynienia z powracającym do powojennej Polski z Zachodu inżynierem Andrzejem Uriaszewiczem. Jego celem jest ograbienie kraju ze skarbu kultury, którym jest renesansowy obraz „Uczta Baltazara” Paola Veronesego. Inżynier zamierza odszukać i wywieźć obraz, ale pod wpływem miłości do kobiety oraz wrażenia, które zrobiły na nim odbudowa kraju i jego postęp przemysłowy, zmienia zamiar. Andrzej ma wprawdzie perfidnego wspólnika, który kontynuuje swój niecny zamiar, ale dzięki „nawróconemu” inżynierowi agent imperializmu zostaje aresztowany przez MO, dzieło Veronesego pozostaje w Polsce, a Uriaszewicz włącza się do budowy socjalizmu.

Szpiedzy pracujący dla Zachodu, sabotażyści, rodzimi eksobszarnicy i arystokraci lub „leśne bandy” zagrażają dobru narodowemu oraz polskiej klasie robotniczej również w innych filmach tego okresu, takich jak „Czarci żleb” (1950, reż. Tadeusz Kański), „Pierwszy start” (1951, reż. Leonard Buczkowski), „Pierwsze dni” (1951, reż. Jan Rybkowski) czy „Kariera” (1955, reż. Jan Koecher).

„Reakcyjne podziemie” występuje jako jeden z mechanizmów aktywności tytułowej „Piątki z ulicy Barskiej” (1953, reż. Aleksander Ford), opartej na powieści Kazimierza Koźniewskiego. Pięciu chłopców ze zrujnowanej Warszawy nie potrafi przystosować się do życia w pokoju i znaleźć sobie konstruktywnego zajęcia. O ich młode dusze walczą „reakcjoniści” oraz przedstawiciele „władzy ludowej”. Ci ostatni zachęcają do udziału w odbudowie stolicy, ci pierwsi namawiają do sabotażu przy wznoszeniu Trasy W-Z.

Oczywiście chłopcy odmawiają, ale ich wzajemne, konfliktowe relacje doprowadzają do osobistych tragedii. Siłą filmu były wiarygodnie zaprezentowane postaci bohaterów, a szczególnie autentyzm ich dramatycznych losów, jak również przejmujący obraz podnoszonego z ruin miasta. Cechy te sprawiły, że „Piątka z ulicy Barskiej” zdobyła nagrodę jurorów w Cannes oraz dyplom honorowy w Edynburgu (w obu przypadkach na MFF).

Film uhonorowano także w kraju – wyróżnienia państwowe otrzymali za swoje kreacje Tadeusz Janczar i Tadeusz Łomnicki. „Piątka z ulicy Barskiej” wymknęła się, przynajmniej częściowo, krępującym ramom „realizmu socjalistycznego”, podobnie jak zrealizowane w 1954 r. „Pokolenie”, czyli debiut ekranowy Andrzeja Wajdy, oparty na prozie Bohdana Czeszki, a także „Człowiek na torze” Andrzeja Munka (1956). Filmy te były obciążone jeszcze socrealistyczną stylistyką, ale bliżej im było do włoskiego neorealizmu niż do sowieckiego realizmu socjalistycznego i zapowiadały nową epokę w polskim kinie.



Aleksander Ford

FOT.COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA, ZDJĘCIE: BENEDYKT DORYS

Za wami wyjdą inni

Autentyzm postaw, obraz biedy oraz realizm ruchów proletariackich wpisanych w panoramę przedwojennej Polski charakteryzowały dwa filmy Jerzego Kawalerowicza: „Celulozę” (1953) i „Pod gwiazdą frygijską” (1954), oparte na prozie Igora Newerlego. Oba obrazy ukazują drogę zacofanego Szczęsnego (aktorski sukces Józefa Nowaka), syna bezrolnego chłopa, do osiągnięcia proletariackiej świadomości rewolucyjnej, czego końcowym wyrazem jest ochotniczy udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Stalinowskie zakłamanie nie zniszczyło wprawdzie wartościowych elementów tych filmów, ale przydusiło je skrajnie czarnym obrazem życia dwóch „podstawowych klas społecznych” w międzywojennej Polsce oraz pochwałą międzynarodowej polityki Moskwy.

Wcześniej powstał prokomunistyczny dramat wojenny Antoniego Bohdziewicza „Za wami pójdą inni” (1949), opowiadający opartą na faktach historię tajnej drukarni „Gwardzisty”, organu Gwardii Ludowej, wykrytej i zlikwidowanej przez Niemców. W ramach represji okupant powiesił 50 działaczy („Ich było tylko pięćdziesięciu” – jak napisał Władysław Broniewski w znanym wierszu). W odwecie oddział GL dokonał zamachu bombowego na hitlerowski Café Club. Pełen dłużyzn i sztywnych dialogów film okazał się opowieścią na tyle nudną, że widzowie wychodzili z kina podczas projekcji. Ktoś dowcipny puścił w obieg parafrazę tytułu, która brzmiała: „Za wami wyjdą inni”. W tym żarcie powinno znaleźć się jedno zastrzeżenie: „Towarzysze, jako osoby specjalnej troski, wyjdą pierwsi”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Adolf Hitler i jego entuzjaści

FOT. © HULTON-DEUTSCH COLLECTION/CORBIS/GETTY IMAGES

Wywiad / Z Olgą Doleśniak-Harczuk, dziennikarką, znawczynią spraw niemieckich

rozmawia Anna Szczepańska

Mit niemieckiej denazyfikacji

ANNA SZCZEPAŃSKA: Niemcy zaczęli się „wybielać" od razu po zakończeniu drugiej wojny światowej?

OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK: Ja bym powiedziała, że „wybielanie" przyszło z czasem, a tuż po zakończeniu wojny społeczeństwo niemieckie przyjęło taktykę przemilczania i wypierania prawdy o zbrodniach Trzeciej Rzeszy, zdecydowanie większą uwagę przywiązując do własnej krzywdy i poniesionych strat materialnych i ludzkich.

Tuż po wojnie niemieckie społeczeństwo nie było zainteresowane swoją winą, podobnie sprawa miała się z kwestią zadośćuczynienia finansowego ofiarom wojny. Niemcy nie myśleli wtedy, aby oddawać zagrabione mienie. Zajmowali się przede wszystkim własną biedą, zastanawiali, co zrobić z sierotami i wdowami, jak odbudować kraj i sprowadzić jeńców, głównie ze Związku Sowieckiego. To były priorytety.

Nie pojawiła się w nich żadna refleksja na temat przeszłości?

W latach 1945–1949 zespół amerykańskich psychologów i socjologów przeprowadził w amerykańskiej strefie okupacyjnej 72 badania opinii publicznej, w których wzięto pod lupę mieszkańców Hesji, Bawarii, Badenii-Wirtembergii, a później również Berlina Zachodniego i Bremy. Pytano ich m.in. o ocenę narodowego socjalizmu, winę Niemiec za wybuch wojny, stosunek do sądzonych w procesach norymberskich. Z badań przeprowadzonych między listopadem 1945 r. a grudniem 1946 r. wynikało, że średnio 47 proc. ankietowanych uważało narodowy socjalizm za „z zasady dobrą ideę", tyle że „źle zrealizowaną". W 1948 r. takiego zdania było już 55,5 proc. ankietowanych. W październiku 1945 r. zapytano Niemców o poczucie winy. 92 proc. odrzuciło koncepcję odpowiedzialności zbiorowej za zbrodnie III Rzeszy, a 52 proc. zgodziło się ze twierdzeniem, że „Niemcy, którzy popierali Hitlera, ponoszą częściową winę za zbrodnie wojenne". To zaledwie wycinek wyników amerykańskich.

– Brak uczciwych rozliczeń wyklucza skruchę i zadośćuczynienie. I właśnie dlatego Niemcy mimo starań, gestów, deklaracji nie są w stanie po ponad 80 latach zamknąć rozdziału drugiej wojny światowej – mówi ekspertka

Po 1949 r. biuro prasowe Urzędu Kanclerskiego zlecało własnym, niemieckim instytutom badania opinii publicznej monitorowanie nastrojów społecznych. Ich wyniki publikowano jednak tylko wtedy, gdy wypadały na tyle dobrze, by można je było wykorzystać na zewnątrz z korzyścią dla wizerunku nowej Republiki Federalnej. Zjawisko to opisali autorzy wydanej w czerwcu tego roku książki „Das Kanzleramt", będącej ukoronowaniem ośmioletnich badań historyków nad brunatnymi śladami w urzędzie kanclerskim, od czasów Konrada Adenauera do lat 70. Jak dowiadujemy się z książki, w 1949 r. zlecono badanie opinii publicznej pod kątem antysemityzmu. Wyniki wypadły tak niekorzystnie, że Instytut Allensbacha odradził ich

eprasa.pl 94eb3b15bc

publikację. W 1957 r. powtórzono to badanie w nieco zmienionej formie. Tylko 12 proc. ankietowanych wypowiedziało się w nim pozytywnie o Żydach, 40 proc. bardzo negatywnie, a na pytanie o przyczyny nienawiści wobec Żydów 57 proc. badanych wskazało winę samych Żydów. Wyniki nie zostały opublikowane.

Władze RFN ewidentnie nie miały się czym chwalić.

W niemieckiej szkole, do początku lat 60. XX w., czyli do procesów frankfurckich, temat wojny był tematem tabu. Czytając wspomnienia Niemców, których lata szkolne przypadały na lata 50. i początek lat 60., widzimy białą plamę w historii Niemiec. Nauczyciele nie chcieli lub nie potrafili mówić o niemieckich zbrodniach.

Nie wszyscy jednak zgadzali się na przemilczenie.

W 1946 r. filozof Karl Jaspers wydał esej „Problem winy" („Die Schuldfrage"), w którym rozróżniał cztery kategorie winy: polityczną, moralną, karną i metafizyczną. Nie pozostawił on pola do spekulacji czy rozmywania odpowiedzialności. Patrząc na kryteria, które zastosował, jasne jest, że cała masa tzw. persilscheinów [zaświadczenia o „czystej" przeszłości politycznej – przyp. red.] była fikcją od A do Z i wpisywała się w fasadową denazyfikację.

Jaspers nie trafił jednak pod strzechy. Esej był znany tylko w wąskich kręgach akademickich w Heidelbergu. Drugie wydanie przypadło na połowę lat 70. i przeszło bez echa. Większą popularność esej Jaspersa zdobył dopiero na fali zainteresowania książką Daniela Goldhagena „Gorliwi kaci Hitlera: zwyczajni Niemcy i Holokaust" z 1996 r.

Możemy ocenić skalę tej fałszywej denazyfikacji?

Szukając informacji o tym, w jaki sposób Niemcy nie chcieli po wojnie rozliczyć się z przeszłości, warto sięgać do raportów ilustrujących fasadowość denazyfikacji, np. w resorcie dyplomacji, w instytucjach naukowych, w Urzędzie Kanclerskim, w resorcie sprawiedliwości (tzw. Akta Rosenburg). Dla przykładu: Eduard Dreher (1907–1996), najważniejszy reformator prawa karnego RFN



Młodzież z Hitlerjugend pozdrawia Adolfa Hitlera, kwiecień 1933 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

i wysoki urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości powojennych Niemiec, był w latach 1940–1945 prokuratorem nazistowskiego Sądu Specjalnego w Innsbrucku, gdzie m.in. zażądał kary śmierci dla kobiety oskarżonej o kradzież materiału na sukienkę czy ogrodnika, który z głodu przywłaszczył sobie chleb i słoninę. Za jego sprawą wykonano w tamtym czasie dziewięć kar śmierci za drobne wykroczenia z 17 wyroków przez niego wydanych. Jeżeli tacy ludzie kształtowali powojenny porządek prawny, a Dreher był jednym z wielu, to jak społeczeństwo, tzw. zwykli Niemcy, mieli się poczuwać do winy?

Jednak na potrzeby polityki międzynarodowej Niemcy przyjęły zgoła inną postawę.

Przede wszystkim wykreowano wizerunek Niemiec jako państwa, które wyciągnęło wnioski z popełnionych zbrodni, uznającego swą winę i zapewniającego ustami polityków, artystów, naukowców i historyków, że „nigdy więcej". Konrad Adenauer przystał na odszkodowania dla Izraela – przy czym zadbano tu o unikanie słowa „reparacje". Młode państwo żydowskie potrzebowało towarów i broni, a RFN mu pomogła, udowadniając tym samym, że jej władze są skłonne ponieść konsekwencje finansowe, przynajmniej częściowo, za swoje winy. Była to oczywiście decyzja polityczna podyktowana dobrze pojętym interesem Bonn. Relacje niemiecko-izraelskie nie były pozbawione turbulencji, ale Niemcy przez całe dekady podkreślały, że suwerenność i prawo do istnienia Izraela na Bliskim Wschodzie są wpisane w niemiecką rację stanu. Aktualnie ta narracja mocno się stępiła, co ma kilka przyczyn. Raporty organizacji monitorujących antysemityzm w Niemczech po wybuchu wojny w Strefie Gazy biją na alarm, a sami politycy w Niemczech potrafią krytycznie odnosić się do



Podejrzani Niemcy wypełniają ankiety dotyczące ich aktywności politycznej, brytyjska strefa okupacyjna, 1945 r. FOT. IMPERIAL WAR MUSEUMS

eprasa.pl 94eb3b15bc

izraelskich działań w Gazie. Nie ulega jednak wątpliwości, że wypracowanie powojennej renomy Niemiec nie byłoby możliwe bez wielu gestów wobec Izraela.

Inaczej wyglądało to w przypadku Polski.

W przypadku polskich ofiar te gesty były, delikatnie mówiąc, dużo skromniejsze, bo Polska nawet dziś nie jest przez większość Niemców kojarzona jako państwo, któremu wymordowano elity, zrabowano kulturę; państwo, które, zgodnie z niemiecką retoryką z czasów wojny, miało nie istnieć.

To oczywiście nie znaczy, że w Niemczech nie ma ludzi świadomych zbrodni dokonanych w okupowanej Polsce. Często są to ci sami ludzie, którzy zajmują się historią zbrodni Wehrmachtu w Grecji czy masakry dokonanej przez wojsko Cesarstwa Niemieckiego na terenach dzisiejszej Namibii w początkach XX w. Ludzi tych łączy pewna wrażliwość niepozwalająca na selektywne traktowanie ofiar drugiej wojny światowej czy tych wcześniejszych – w przypadku Namibii – kolonialnych.

Są także w Niemczech autorzy, dzięki którym do niemieckiego czytelnika trafiają książki opisujące dramat np. polskich robotników przymusowych. Przykładem takiej publikacji jest wydana w 1986 r. książka profesora historii prawa, Christopha Schmincka-Gustavusa, pt. „Tęsknota Waleriana Wróbla", opowiadająca historię polskiego chłopca skazanego na karę śmierci i straconego za to, że podpalił stertę siana w stodole. Był przekonany, że za karę zostanie odesłany do okupowanej Polski, bardzo tęsknił za rodziną. Mimo że chłopiec targany wyrzutami sumienia pomógł ugasić pożar, a straty okazały się niewielkie, jego czyn został zinterpretowany jako „antyniemiecki". Waleriana Wróbla ścięto w sierpniu 1942 r., a plakaty informujące o egzekucji rozwieszono w okolicy ku przestrodze. Książka została zekranizowana w 1991 r., a w Bremie w 2007 r. jednej z ulic nadano imię Waleriana Wróbla. Ten sam autor wydał też w 1984 r. książkę o głodzeniu polskich więźniów w obozach koncentracyjnych („Hungern für Hitler. Erinnerungen polnischer Zwangsarbeiter im Deutschen Reich 1940–1945").

Ponadto Wolny Uniwersytet w Berlinie dysponuje pokaźnymi, zdigitalizowanymi zbiorami na temat pracy przymusowej. Baza nosi nazwę: „Zwangsarbeit 1939–1945; Erinnerungen und Geschichte". Zgromadzono w niej 600 świadectw byłych pracowników przymusowych z 27 krajów; najwięcej, bo 75 świadectw jest w języku polskim. Od niedawna w Weimarze działa również Muzeum Pracy Przymusowej. Tam też są wątki związane z Polakami. W kontekście polskim warto także zwrócić uwagę na zakończone w tym roku, trwające od 2017 r., badania dotyczące ustalenia tożsamości ofiar nieetycznych praktyk niemieckich neuropatologów. Mówiąc wprost, chodzi o ludzi, których mózgi po śmierci wykorzystywano na tzw. preparaty mózgowe. W niemieckich archiwach, w instytutach neuropatologicznych było dużo takich preparatów. Część z nich została już lata temu pochowana, ale nie wszystkie. Ostatni projekt, który zajmował się ustaleniem tożsamości ofiar tych nieetycznych praktyk, został zlecony przez Towarzystwo Maksa Plancka będącego spadkobiercą Instytutu Cesarza Wilhelma. To w tym instytucie natrafiono na preparaty pozyskane z mózgów m.in. 197 obywateli Polski.



Niemiecki orzeł ze skutą swastyką, Darmstadt FOT. COMMONS WIKIMEDIA, S. KASTEN



Plakat wyborczy partii FDP z żądaniem zaprzestania denazyfikacji, 1949 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Warto zapoznać się z wynikami badań naukowców oraz odwiedzić stronę bazy nazwisk, które udało się ustalić. Baza jest dostępna na stronie Niemieckiej Akademii Przyrodników – Leopoldina.

Mówimy tu o badaczach, historykach. A czy Niemcy, jako zbiorowość, odczuwają po latach skruchę?

Niemcy przez dekady mieli problem ze swoją niemieckością, z tożsamością, która nierozerwalnie łączyła się ze zbrodniami III Rzeszy. Jest pewna ciekawa książka z końca lat 90. – „Niemcy na warunkowym" („Deutschland auf Bewährung") – napisana nie przez polityka, ale dziennikarza, Ulricha Wickerta, który przez lata był twarzą niemieckich „Wiadomości" w stacji ARD i jest uznawany za nestora niemieckiego dziennikarstwa. Wickert urodził się w Japonii w 1942 r. Do Niemiec przyjechał jako pięciolatek, jego rodzice nie byli uwikłani w nazistowski aparat. Wickert zaczyna książkę od wspomnienia z paryskiej kawiarni, w której dwadzieścia kilka lat po wojnie spotkał się ze znajomym. Przy sąsiednim stoliku siedziała starsza kobieta. Pani zdjęła nagle żakiet, a na jej ręku pokazał się numer obozowy. Wickert i jego kolega dostrzegli numer i przestali swobodnie rozmawiać po niemiecku, zamurowało ich, poczuli palący wstyd za język, którym się posługiwali, język sprawców.

Ponadto w książce Wickerta jest też np. mowa o germaniście Hansie Schwertem, byłym rektorze uniwersytetu w Akwizgranie, który służył w SS, a po wojnie upozorował swoją śmierć, zmienił nazwisko ze Schneider na Schwerte i wrócił do rzekomo owdowiałej żony, którą poślubił oficjalnie jako „kuzyn zmarłego męża". Schwerte mógł robić karierę naukową dzięki pomocy podobnych mu oszustów. Jego historia obnażyła hipokryzję i bezkarność niemieckich elit. Kiedy sprawa w 1995 r. wyszła na jaw, Schwerte argumentował: „Miałem się niby poddać, stanąć na ulicy i zawołać: powieście mnie?".

Takich historii jest tam wiele. Każda rozbija na części narrację o niemieckiej winie oraz o tym, w jakim stopniu pokolenia powojenne odpowiadają za zbrodnie dziadków i ojców. Wickert i ludzie jego generacji, którzy w latach 60.

eprasa.pl 94eb3b15bc



Hans Globke, autor komentarza do ustaw norymberskich, w latach 1953–1965 szef Urzędu Kanclerskiego FOT. GERMAN FEDERAL ARCHIVES

zaczęli studia, byli świadkami procesów frankfurckich, zaczęli stawiać pytania, kwestionować prawo profesorów uwikłanych w narodowy socjalizm do pracy na uczelniach. Budowanie nowego wizerunku Niemiec oznaczało pozbycie się hańby tzw. starych nazistów – ojców, wykładowców, polityków. Brak uczciwej denazyfikacji, lata przemilczeń i wybielanie – to w końcu zaczęło ludziom doskwierać. Lawina ruszyła.

Kilka lat temu historyk i lekarz dr Karl-Heinz Roth, który również należał do pokolenia studentów kojarzonych jako generacja '68, w wywiadzie, który przeprowadzaliśmy z redaktorem Antonim Opalińskim, opowiedział o tym, jak prawie został relegowany ze studiów, bo domagał się zwolnienia człowieka, który asystował przy pseudomedycznych eksperymentach na więźniach i publicznie na wykładach ubolewał nad tym, że w Niemczech „nie można już robić preparatów z ciał więźniów, a te dzisiejsze są gorszej jakości". Roth sam zaangażował się po studiach w badania nad ustalaniem tożsamości ludzi, których ciała i szkielety w sposób nieetyczny wykorzystywano dla „dobra niemieckiej nauki".

Czyli Niemcy, chociaż rozumieją, jak wiele zła uczynili, wciąż wolą odsuwać od siebie prawdę.

Brak uczciwych rozliczeń wyklucza skruchę i zadośćuczynienie, to wszystko, co w chrześcijańskim rozumieniu winno się stać, by przynajmniej częściowo naprawić dokonane zło. W Niemczech ten proces przebiegł bardzo nierówno, selektywnie. I właśnie dlatego Niemcy mimo starań, gestów, deklaracji nie są w stanie po ponad 80 latach zamknąć rozdziału drugiej wojny światowej, o czym zresztą otwarcie mówią ludzie tacy jak Ulrich Wickert.

Niemieccy politycy bardzo by chcieli zdjąć z siebie to odium, ponieważ ono ciąży wizerunkowo, ale brak poważnych rozliczeń, przede wszystkim finansowych, stoi na drodze autentycznemu pojednaniu. Owszem, za sprawą procesów norymberskich, procesów frankfurckich część zbrodniarzy poniosła karę, ale kara ominęła większość tzw. sprawców zza biurka (niem. Schreibtischtäter), a to oni decydowali na papierze, kto i kiedy zostanie zabity, wywieziony do obozu etc. Tu przykładem może być Hans Globke, współtwórca i komentator ustaw norymberskich, po wojnie natomiast szara eminencja w kancelarii Adenauera. Jedyną szykaną, która go spotkała, była odmowa Szwajcarii, aby mógł zamieszkać w tym kraju, kiedy przeszedł na emeryturę.

Polacy już pół wieku temu mogli się dowiedzieć, jak wiedzie się niektórym niemieckim oprawcom. Mam tu na myśli książkę Krzysztofa Kąkolewskiego „Co u pana słychać". Dzisiaj wciąż jest to szokująca lektura.

Za sprawą tego reportażu polski czytelnik już w latach 70. dostał odpowiedź na to, jak dobrze i lekko żyje się ludziom, którzy stali za wojennymi zbrodniami. Książka Kąkolewskiego jest wstrząsająca. Pokazuje zbrodnię bez kary i sprawców w miękkich fotelach – szanowanych obywateli, koneserów sztuki, naukowców, lokalnych polityków, dla których okres 1939–1945 był co najwyżej małą przykrością, mgnieniem oka bez żadnego znaczenia.

Jaki wpływ na obecną politykę Niemiec ma fakt, że wielu nazistowskich zbrodniarzy nigdy nie zostało pociągniętych do odpowiedzialności?

Kiedy w 2016 r. historycy przygotowywali się do prześwietlenia procesu denazyfikacji w Urzędzie Kanclerskim, jeden z nich zwrócił uwagę, że przecież nawet przy założeniu, że brunatni urzędnicy w latach 70. odchodzili na emeryturę, zadbali o ciągłość, wychowali sobie następców, którzy tak jak oni mieli stać na straży skostniałego układu żywcem przeniesionego z aparatu III Rzeszy.

Ja dostrzegam tę ciągłość w pustych gestach, które nic nie kosztują. W zapewnieniach, że Niemcy uznają swoją winę, ale nie zamierzają za nią zapłacić. To jest lejtmotyw przechodzący z urzędnika na urzędnika, z polityka na polityka. Przecież zanim Zieloni doszli do władzy, stając się częścią rządu koalicyjnego Olafa Scholza, byli orędownikami sprawy greckich reparacji, a w Bundestagu organizowano z ich inicjatywy debaty na ten temat. Byli też zaangażowani w dyskusję nad zbrodniami w koloniach Cesarstwa Niemieckiego, czasem nawet powiedzieli dobre słowo o Polsce. W 2021 r. wszystko nagle ucichło. Okazało się, że „sprawa jest zamknięta".

Brak rozliczeń wytworzył państwo głuche na słuszne roszczenia, i to niezależnie od tego, kto rządzi. Teraz, kiedy Zieloni zasiadają już w opozycji, nagle się ocknęli w sprawie zadośćuczynienia dla Namibii. Mieli ponad trzy lata, by sprawę domknąć, i nie zrobili tego. Teraz uczynią z tego tematu swój oręż polityczny, smagając rząd Merza za niedostateczne pokłady empatii. Ten przypadek jest istotny również dla Polski, bo pokazuje mechanizm, który dotyczy również naszych roszczeń jako państwa.

W 2018 r. publicysta Josef Joffe wydał książkę „Dobry Niemiec. Kariera moralnego supermocarstwa" (niem. „Der gute Deutsche. Die Karriere einer moralischen Supermacht"). Powinien przeczytać ją każdy zainteresowany ewolucją Niemiec – od „moralnego bankruta" do „nauczyciela". Książka pokazuje proces przechodzenia z jednego w drugie i przy okazji dotyka spraw szerszych, np. „pozornego odnarodowienia interesów państwa", ciągłego rezerwowania dla siebie przywództwa w Europie i opowieści o „przejmowaniu odpowiedzialności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Olga Doleśniak-Harczuk – publicystka i dziennikarka zajmująca się sprawami niemieckimi, autorka strony internetowej berlinskitygiel.pl.

eprasa.pl 94eb3b15bc



Castel del Monte

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HOGLER UWE SCHMITT

Perła Apulii / Castel del Monte

Kamienna zagadka



Piotr Semka

Zamek zbudowany na wzgórzu w przepięknej włoskiej Apulii do dziś fascynuje nie tylko tłumy turystów, lecz także poważnych badaczy. Na całym świecie nie ma drugiej takiej budowli

W tłumaczeniu z włoskiego „Castel del Monte" znaczy „Zamek górski". Mimo mało wyszukanej nazwy budowla ta przyciąga co roku ok. 300 tys. turystów. Zamek nazywany jest także „kamienną koroną Apulii" (wdzięcznej krainy na „obcasie" włoskiego „buta").

Od wieków naukowcy próbują odgadnąć matematyczne i geometryczne zagadki zaklęte w tej tajemniczej fortecy, która powstała z rozkazu cesarza Fryderyka II z rodu Hohenstaufów (1194–1250). Toczą się spory, czy był on twierdzą, zameczkiem myśliwskim, ezoteryczną świątynią czy wręcz przeciwnie. Może był to pomnik pobożności, geometryczne ujęcie harmonii między Bogiem a człowiekiem?

Co wiemy na pewno o Castel del Monte, a co pozostanie dla nas już na zawsze zagadką?

Pogoń za ideałem

Nie ma wątpliwości, że ta budowla uważana jest za jedno z najdoskonalszych dzieł architektury średniowiecza. W 1996 r. została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Nieprzypadkowo, gdy ekranizowano powieść Umberta Eco „Imię róży", przedstawioną w powieści klasztorną bibliotekę – największe centrum mądrości chrześcijaństwa – zaprojektowano właśnie na wzór zamku z Apulii.

Twierdza posadowiona została na wzgórzu o wysokości 540 m n.p.m., dzięki czemu widać ją już z daleka. Jest jak symbol władzy i jednocześnie zwieńczenie tych rozległych, łagodnych wzgórz porośniętych lasami.

Pod mury zamku przybywa bardzo wielu Niemców; Castel del Monte zawsze przyciągał przybyszy z odległej Germanii. W XIX w. pielgrzymowali tu romantycy poszukujący tajemniczych miejsc z powieści gotyckich. Potem to miejsce upodobali sobie ezoterycy łączący często fascynację naukami hermetycznymi z kultem germańskiego geniuszu. To dlatego mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga koło Olsztynka w dawnych Prusach Wschodnich zaprojektowano na przełomie lat 20. i 30. XX w. na wzór tej apulijskiej warowni. Już po rozpoczęciu wojny przyjeżdżały tu wycieczki stacjonujących we Włoszech żołnierzy Wehrmachtu i SS, dla których zamek był symbolem imperialnych ambicji cesarzy niemieckich i germańskiej władzy nad Italią. Co ciekawe, to właśnie Apulia, ulubiona kraina Fryderyka II Hohenstaufa, była jednym z tych rejonów Włoch, które jako pierwsze pozbyły się Niemców, gdy we wrześniu 1943 r. alianci wylądowali w nieodległym Tarencie.

Pamięć o tajemniczym zamku poruszyła wyobraźnię wielu filmowców, nie tylko twórców „Imienia róży". W ciągu ostatnich sześciu dekad zamek „zagrał" w aż 14 filmach, głównie z gatunku fantasy.

Wróćmy jednak do pytania otwierającego ten tekst: Dlaczego go zbudowano? Czy był zamkiem obronnym? Skoro tak, to dlaczego wokół jego murów nie ma śladu fosy? W rozkładzie wnętrza zamku brak też pomieszczeń dla żołnierzy, stajni czy choćby kuchni mogącej wydawać większe ilości pożywienia.

eprasa.pl 94eb3b15bc

Kroniki nie wspominają, by w średniowieczu toczyły się o zamek jakieś zaciekłe boje. Także okolica nie pasuje do miejsc, gdzie stawiano warownie. Twierdza nie blokuje żadnego ważnego szlaku ani nie została zbudowana w strategicznym punkcie. Króluje nad pustym płaskowyżem, nie ma tu niczego, czego warto byłoby bronić.

Niektórzy twierdzą, że Castel del Monte był zamkiem myśliwskim. Miałoby to pewne uzasadnienie, gdyż w pobliskim Parku Narodowym Alta Murgia do dziś nie brakuje dzikiej zwierzyny (w średniowieczu musiało być jej jeszcze więcej). Krytycy tej tezy wskazują jednak, że w zamku nie ma miejsca na stajnię czy typowe komnaty używane przez średniowiecznych władców. Skoro więc Castel del Monte nie był warownią ani zamkiem myśliwskim, to musiał powstać w jakimś innym celu. Czy był swego rodzaju sanktuarium o symbolice ezoterycznej lub religijnej? Na to mógłby wskazywać jego kształt.

Filozofia w kamieniu

Castel del Monte ma kształt oktagonu z ośmioma wieżami, z których każda ma też osiem boków. Dziedziniec również jest oktagonalny. Ten kształt może odgrywać w całej historii kluczową rolę, ponieważ ośmiokąt był uważany za potężny symbol ezoteryczny i duchowy. Starożytni zwracali uwagę, że ta figura geometryczna jest pomostem między kołem, ikoną nieskończoności i wieczności, a kwadratem – symbolem ziemi i materialności. Czyżby więc kształt Castel del Monte miał podkreślać napięcie między boskością a człowieczeństwem, między niebem a ziemią?

W oczy rzucają się powtarzający się motyw liczby osiem oraz precyzyjne astronomiczne położenie, które czyni z budowli rodzaj gigantycznego kalendarza słonecznego. Liczba osiem w średniowieczu, w tradycji chrześcijańskiej, była symbolem doskonałości i nieskończoności. W Biblii ma ona bardzo wiele symbolicznych znaczeń. Ósmy dzień nastąpił po siedmiu dniach tworzenia świata przez Boga i kojarzy się z osiągnięciem stanu



Fryderyk II Hohenstauf

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FH-AUGSBURG.DE

doskonałości i rozpoczęciem dziejów świata. Król Dawid – symbol mądrości – był ósmym synem Jessego. Jezus został obrzezany ósmego dnia po narodzinach, natomiast liczbowa wartość imienia Jezus zapisanego w klasycznym greckim to 888. Błogosławieństw było osiem, a Jezus zmartwychwstał ósmego dnia – Pismo Święte mówi, że miało to miejsce pierwszego dnia tygodnia, jeśli zacząć rachubę od początku poprzedniego tygodnia.

Wszystko to skłaniało uczonych średniowiecznych do wiązania liczby osiem z symbolem zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią, czyli nieśmiertelnością.



Fragment sali tronowej w Castel del Monte

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAILKO

Nieprzypadkowo też symbol nieskończoności to odwrócona ósemka. Dlatego w średniowieczu szacunek dla liczby osiem odbijał się w tworzeniu ośmiokątnych baptysteriów. Niektórzy ośmiokątny kształt zamku wiążą też z zakonem templariuszy, który cenił w swoich budowlach motyw oktagonu. Ciekawa jest też jego lokalizacja – geografowie wyliczyli, że Castel del Monte znajduje się dokładnie pośrodku drogi między katedrą we francuskim Chartres, a świątynią (a raczej jej pozostałościami) w Jerozolimie, od której ten zakon rycerski wziął swoją nazwę. A przecież templariusze byli oskarżani o to, że pod fasadą prawowiernego zgromadzenia zgłębiali nauki hermetyczne i magię...

Rytuał inicjacji?

Wymieńmy teraz tropy wiodące ku teorii, że zamek był jednym wielkim kalendarzem słonecznym. Okna ośmiu pomieszczeń na piętrze wpuszczają słońce o różnych porach dnia, tworząc z zamku swoisty zegar słoneczny. Dolne części twierdzy natomiast oświetlane są w całości tylko podczas przesilenia letniego i zimowego, co budzi skojarzenia z tajemniczym sanktuarium w Stonehenge w Anglii. Z tej obserwacji wynika kolejna hipoteza – konstrukcja zamku została zaprojektowana pod kątem rytuału inicjacji wiedzy tajemnej. Na jego drodze poszczególne okna, na swój sposób oświetlane przez słońce, mogły być kolejnymi przystankami.

Historycy architektury zwracają też uwagę, że zamkowe schody prowadzące na wieżę różnią się od innych klatek schodowych budowanych w średniowiecznych warowniach. W zdecydowanej większości schody prowadzono zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W Castel del Monte zbudowano je jednak dokładnie na odwrót.

Jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie wchodzi tu w grę – a może zamek był jedynie symbolem władzy cesarskiej nad tym terenem? I dlatego umieszczono go na wzgórzu, aby był widoczny z dużej odległości. Na tej samej zasadzie w bierutowskiej Polsce po wojnie warszawski pałac im. Stalina zbudowano na śródmiejskiej pustyni po wyburzonych

eprasa.pl 94eb3b15bc

domach, aby był symbolem władzy Moskwy nad Polską.

Dziecko Orientu

Kim był twórca tej budowli? Może to w biografii Fryderyka II szukać należy odpowiedzi na pytania, które rodzą się podczas oglądania tego przedziwnego tworu ludzkiej wyobraźni? To przecież na cesarskie polecenie zbudowano ten zamek (choć w kronikach nie ma żadnego śladu o wizycie cesarza w tym miejscu).

Współcześni zwali Fryderyka mianem „Stupor Mundi", czyli „Cud świata". Apulia była jego ukochanym regionem; władca nazywał ją „Provincia amatissima". To tu stworzył swój, znany nam tylko z opowieści, dwór w apulijskiej Foggi – trzęsienie ziemi w 1731 r. sprawiło, że resztki dawnego zespołu pałacowego uległy prawie całkowitemu zniszczeniu. Do dziś pozostały jedynie inskrypcja, łuk portalowy i fragment fontanny. Za życia Fryderyka było to miejsce imponujące; współcześni kronikarze z trudem znajdowali słowa, by wyrazić swój zachwyt nad przepychem cesarskiego dworu.

Tradycja zachowała wspomnienia o dziedzińcach kolumnadowych, zagrodach dla klatek z lwami, figurach starożytnych posągów zebranych z całej Italii, salach bankietowych dla wielu tysięcy osób, a także o haremie, który był odbiciem orientalnych wpływów na dworze cesarza. Pozostałe rezydencje cesarskie w Apulii również były wspaniałe. O ile cztery fortece nad morzem – Barletta, Trani, Bari i Brindisi – miały dość podobne konstrukcje, o tyle siedziby cesarskie podobno prześcigały się we wspaniałości. Nie było ponoć dwóch identycznych.

Zamki na terenie Włoch i Sycylii budowano na podstawie decyzji centralnych i zarządzano nimi także centralnie. Okoliczna ludność wiejska musiała za nie płacić, gdyż formalnie służyły one do jej obrony, np. przed atakami floty muzułmańskiej. Inaczej wyglądała sytuacja w przypadku rezydencji cesarskich. W Apulii jest ich ok. 10, a na Sycylii cztery (poza Palermo – w Syrakuzach, Auguście i Katanii). Cesarz nazywał je „miejscami wytchnienia".



Głowa fauna w Castel del Monte

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAILKO

„To tu snuł swoje plany zapewnienia światu wiecznego porządku i pokoju" – pisał Hubert Waldburg-Wolfegg, miłośnik dynastii Hohenstaufów. Niemiecki historyk Ernst Kantorowicz określił epokę jego rządów jako „chwilę niemal niespodziewanej, olśniewającej obfitości. Wielości talentów, dzieł sztuki, a przede wszystkim niespotykanych szerokich intelektualnych zainteresowań samego cesarza".

Czy jego władztwo było swego rodzaju zapowiedzią ideałów Unii Europejskiej? Czy też na odwrót – być może było prefiguracją nazistowskich planów podporządkowania germańskiemu geniuszowi Europy, a potem i reszty świata? Oddajmy znów głos Hubertowi Waldburgowi-Wolfeggowi: „Być może nigdy w pełni nie zrozumiemy tego giganta niemieckiej historii. Chciał być władcą całego ówczesnego świata. Inni królowie mieli być w jego rozumieniu zdegradowani do roli sufraganów".

Samotne dziecko

Współczesna wiedza o życiu Fryderyka jest dość ograniczona. Miał zaledwie trzy lata, gdy zmarł jego ojciec, potężny cesarz Henryk VI. Rok potem stracił matkę Konstancję, królową i dziedziczkę Sycylii. Samotne dziecko zostaje wciągnięte w wir niekończących się walk o władzę. Sycylijscy możni panowie bezczelnie się bogacili, a cesarskie dziecko błąkało się po stołecznym Palermo. Trzeba pamiętać, że było to wówczas półorientalne miasto, w którym krzyżowały się wpływy kultury i nauki Germanów, Normanów, Arabów i Żydów.

Legenda głosi, że młody Fryderyk chłonął ten kosmopolityczny świat. Podobno opanował sześć języków. Choć nigdy nie otrzymał żadnego formalnego wykształcenia, to musiał się sporo nauczyć w dzieciństwie, gdyż w dorosłym wieku zaskakiwał uczonych i filozofów znajomością wielu dziedzin nauki. Jego biografowie wspominają, że zdobył wysublimowaną wiedzę muzułmanów na temat starożytnych klasyków greckich i rzymskich.

Samodzielną władzę objął w wieku 14 lat. Niemal całą resztę jego życia zajmą kolejne spory i jednanie się z papiestwem. W 1220 r. nadszedł wreszcie czas jego koronacji cesarskiej w Rzymie. Bardzo szybko twardą ręką przywrócił porządek na swojej rodzinnej Sycylii, a potem podporządkował sobie Niemcy. Każdy z południowowłoskich oligarchów, który obłowił się w okresie bezhołowia w czasach jego dzieciństwa, musiał zwrócić to, co zawłaszczył. Fryderyk stworzył sprawne i bogate państwo na terenach swych włoskich włości. Apulia kwitła pod rządami tego sprawiedliwego władcy, który uczynił z niej centrum swojej władzy.

Gdy podjął wyzwanie przeprowadzenia krucjaty, zadziwił świat, doprowadzając do czegoś, co wydawało się wcześniej niemożliwe. Przy pomocy swego doradcy i wysłannika arabskiego pochodzenia Fahra Er Dina przekonał sułtana Al-Kamila, by muzułmanie oddali Jerozolimę chrześcijanom. Fryderyk unikał ostentacji zwycięzcy. Zgodził się, by meczety w mieście normalnie funkcjonowały, i w ten sposób uzyskał 10-letnie porozumienie, które odrodziło na krótko chrześcijańską władzę nad



Castel del Monte z lotu drona

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MICHAEL FRITZ

eprasa.pl 94eb3b15bc

miejscem kaźni i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa.

W cysterskim habicie

Fryderyk był władcą, który rozumiał znaczenie inwestycji w naukę. W 1224 r. założył uniwersytet w Neapolu, który do dziś nosi jego imię. I to właśnie tu cesarz szkolił dla siebie niezbędną do administrowania nowoczesnym państwem armię urzędników. Każdy inteligentny człowiek mógł tam studiować. Na uczelni Fryderyka pojawiła się nowatorska idea prawa, która odrywała je od funkcji narzędzia władzy feudałów. W myśl tej idei nawet najnędzniejszy człowiek mógł tam wywalczyć sobie sprawiedliwość. Rządy prawa stały się w państwie Fryderyka niemal substytutem religii. Jeśli urzędnik się sprawdził, mógł awansować na najwyższe stanowiska (jednak nie dożywotnio, tylko na ściśle określony czas).



Grobowiec Fryderyka II Hohenstaufa w katedrze w Palermo

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, © JOSÉ LUIZ BERNARDES RIBEIRO/CC BY-SA 4.0

Wiek XIX i rosnąca siła scjentyzmu wykreowała legendę o Fryderyku jako spadkobiercy ezoterycznej tajemnej wiedzy i ukrytym ateiście. To z kolei doskonale współgrało z postrzeganiem powstałego za jego rządów zamku Castel del Monte jako zaklętego w kamieniu zbioru wolnomyślicielskiej wiedzy. Ale przecież w tamtym świecie powszechność chrześcijaństwa była tak oczywista, że trudno wyobrazić sobie, by cesarz – jak chcą tego niektórzy – był pierwszym ateistą średniowiecza.

Wiadomo, że Fryderyk odszedł z tego świata w stroju cysterskiego mnicha. Cesarz zmarł jako pobożny chrześcijanin bez korony i bez purpury. A przed jego śmiercią sędziwy bp Gerard uwolnił go od papieskiej klątwy i uniewinnił.

Może więc Castel del Monte jest po prostu architektonicznym pomnikiem boskiej mądrości? Może właśnie ta najprostsza odpowiedź jest właściwa, w przeciwieństwie do całej masy teorii, które znaleźć można w sensacyjnych książkach o „kamiennej koronie Apulii"? Ich autorzy zatracili wszelką miarę w tworzeniu nowych hipotez. W Castel del Monte widziano już miejsce przechowywania Świętego Graala, lądowisko dla UFO czy... wielką antenę do odbierania sygnałów z kosmosu. Tę ostatnią wersję uprawdopodobniałaby lokalna legenda głosząca, że w salach zamku zaskakująco często przestają działać telefony komórkowe. Takie opowieści serwowane turystom przez przewodników wywołują u niektórych dreszczyk emocji, ale wydaje się, że problemy z zasięgiem w trakcie zwiedzania zamku mogą mieć nieco bardziej prozaiczne wyjaśnienie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 94eb3b15bc



1870–1936 / Ferdynand Ruszczyc

Złamany pędzel Ruszczyca

Fedrynand Ruszczyc, „Ziemia", 1898 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Leszek Lubicki

Dlaczego człowiek tak wybitnie utalentowany, mający w swoim dorobku wiele doskonałych dzieł malarskich czy nawet arcydzieł, nagle zaniechał ich tworzenia?

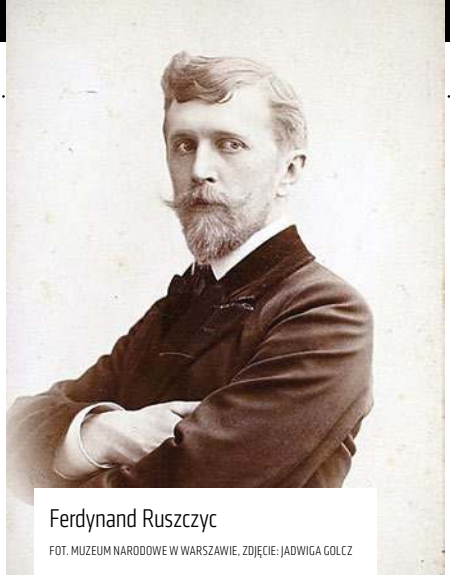
W przyszłym roku będziemy obchodzić 90. rocznicę śmierci tego doskonałego twórcy okresu Młodej Polski. Miejmy nadzieję, że któreś z naszych muzeów narodowych przygotuje wystawę poświęconą jego twórczości. Najpewniej jednak większe obchody tej rocznicy będą miały miejsce w Wilnie, któremu to miastu artysta poświęcił ostatnie trzy dekady swojego życia, licząc od 1908 r. To w tym właśnie roku Ruszczyc maluje swój ostatni obraz, „Gniazdo", uznawany za najbardziej osobiste dzieło artysty. Dom rodzinny – miejsce ciepłe, bezpieczne, w którym żyjesz, a jak wyjedziesz z niego, to często do niego wracasz. Przedstawia on fragment nowego, dwupiętrowego domu znajdującego się w posiadłości rodziny, obok starego drewnianego dworku, gdzie artysta się urodził. Mowa o Bohdanowie (obecnie na Białorusi), niecałe 100 km od Wilna. Ruszczyc namalował kilka obrazów ukazujących rodzinne gniazdo i jego otoczenie (jego ostatnie „Gniazdo" kilkanaście lat temu sprzedano na aukcji za 1 mln zł).

Na akademii

Bohater tej opowieści nauki malarstwa pobierał w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych (w latach 1892–1897), kończąc je z tytułem artysty. Gdy w marcu 1904 r. otworzono w Warszawie Szkołę Sztuk Pięknych, Ruszczyc dostał propozycję objęcia stanowiska profesora malarstwa, z czego korzysta i pracuje tam do roku 1907. W Krakowie umiera wówczas wybitny pejzażysta, Jan Stanisławski, profesor w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Jako przedstawiciel warszawskiego środowiska artystycznego Ruszczyc uczestniczy w jego pogrzebie,

eprasa.pl 94eb3b15bc

gdzie składa mu hołd jako malarzowi, a także przyjacielowi. Zaraz potem zostaje prezesem elitarnego krakowskiego Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka", a od jesieni 1907 r., na zaproszenie Juliana Fałata, obejmuje w krakowskiej Akademii kierownictwo „szkoły pejzażowej" po zmarłym Stanisławskim. Opuszcza ją wiosną 1908 r., a w grudniu, po rocznej kadencji, przestaje być prezesem „Sztuki". Wraca do Bohdanowa, maluje wspomniane „Gniazdo" i przenosi się do Wilna. Tam będzie już pracował do końca swoich dni, a jego zaangażowanie w rozwój kultury tego miasta nie sposób jest omówić w tak krótkim tekście. „Można zaryzykować twierdzenie, iż Ruszczyca, inicjującego w swoim czasie życie kulturalne Wilna, zaangażowanego w odrodzenie kultury wileńskiej już od czasu wyjazdu z Krakowa, a następnie z dużym poświęceniem działającego na rzecz wskrzeszenia uniwersytetu oraz powstania Wydziału Sztuk Pięknych [na Uniwersytecie Stefana Batorego – przyp. red.] formowała potęga dwu form pamięci: rodzinnej i kulturowej…" (Krupowies, 2018). Malarz zostaje pierwszym dziekanem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego, ale już nie będzie uprawiał malarstwa sztalugowego. Grafiki, ilustracje, plakaty, afisze, projekty scenografii czy portrety kostiumów teatralnych itp. – owszem, tym będzie się zajmował, ale już nie malarstwem olejnym. I o tym będzie ta opowieść. Dlaczego człowiek tak wybitnie utalentowany, mający w swoim dorobku wiele doskonałych dzieł malarskich czy nawet arcydzieł, nagle zaniechał ich tworzenia?



Ferdynand Ruszczyc

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, ZDJĘCIE: JADWIGA GOLCZ

Widok z ogrodu

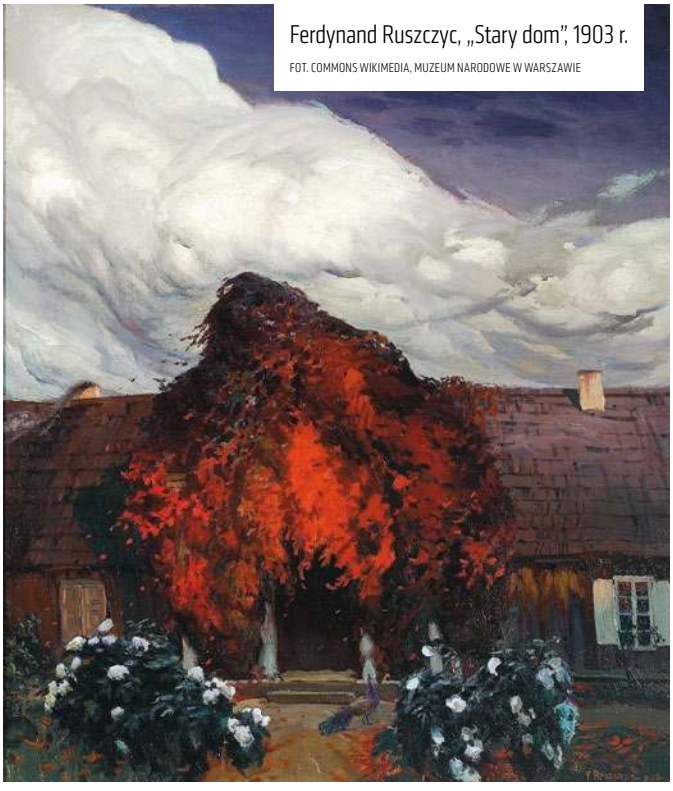
„Jego najwybitniejsze obrazy pojawiły się w dziesięcioletnim okresie, od roku 1898 do 1908. Uznanie zdobył sobie z miejsca, w wieku lat blisko trzydziestu, dzięki wystawie warszawskiej w roku 1899. Wówczas pokazał po raz pierwszy »Ziemię«" (Dobrowolski, 1989).

Ta kompozycja jest wizytówką twórczości malarskiej artysty. Nie sposób jej przeoczyć, zwiedzając Muzeum Narodowe w Warszawie. Dzieło to maluje niemalże zaraz po ukończeniu nauki w petersburskiej Akadami. To właściwie jego malarski debiut. Owo monumentalne malowidło ukazuje widok z okolic domu rodzinnego artysty w Bohdanowie. Wiemy to ze wspomnień przyjaciela malarza, wybitnego fotografa Jana Bułhaka.

Pewnego dnia panowie udali się na spacer do ogrodu przy domu artysty. „Stamtąd skierował mię ku północnej stronie i tam pokazał mi pagórek z jodłami, rysujący się na widnokręgu znajomą garbatą sylwetą. Znajomą dla każdego, kto pamiętał patetyczną linię horyzontu »Ziemi«. Popatrzył na nią. »Tu malowałem «Ziemię»« – rzekł poufnie, na wpół do siebie – i obłok zadumy zaciągnął jasność jego twarzy, a ja odczułem wagę tego zwierzenia, ale milczałem, nie śmiejąc nawet powiedzieć, jak mię ono wzrusza. Stałem przed ołtarzem, gdzie kiedyś dopełniona została tajemnica najwyższego uwielbienia. I myślałem, że oto namalował on obraz sławny, o którym ludzie z pewnością sądzą, że przyszedł mu łatwo przy jego mistrzostwie techniki. A nikt nie wie, ile potrzeba było przedtem przeżyć z temi polami, ile wychodzić po nich w wiosenne poranki, w jesienne szarugi i zimowe zamiecie, ile trzeba było włożyć w nie przywiązania, trudu i bólu, by powołać do życia na obrazie" (Bułhak, 1939).

Wybitny fotografik patrzył na miejsce powstania „Ziemi" i wzruszał się, a my teraz wzruszamy się, patrząc na gotowe dzieło i tego utyranego chłopa prowadzącego potężne woły. Gdy oglądam „Ziemię" z bliska, jestem przygnębiony. Ciężko jest mi patrzeć na cierpienie człowieka i bydlęcia, bo to, że człowiek, który orze ziemię, popędzając batem dwa silne woły, cierpi, raczej nie podlega dyskusji. Jedyne, co w tym obrazie wydaje się pulsujące życiem, to niebo. Jest go dużo, porusza się i ulega zmianom. Kadrowanie tutaj jest takie, jak niekiedy na fotografiach – z „żabiej perspektywy". Stąd wrażenie, że ziemi – ciężkiej, brunatnej – jest więcej niż w rzeczywistości. A tak naprawdę zajmuje ona tylko niewielką część płótna. Patrząc na obraz z pewnej odległości, widzi się przede wszystkim niebo i ziemię – wszechmocną naturę. Człowiek i jego praca niejako uciekają nam z pola widzenia.

Przeglądając reprodukcje wszystkich dzieł malarskich artysty, zauważamy, że na



Ferdynand Ruszczyc, „Stary dom", 1903 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 94eb3b15bc

jego obrazach tylko wyjątkowo, jak właśnie na „Ziemi", pojawia się człowiek. Symbolizm tego obrazu polega właśnie na tym, że pokazana tutaj ziemia jest żywiołem i „bestią", a orzący ją człowiek – jak pisze o tym obrazie Stefan Popowski – to „marna, drobna, na każdym kroku zależna od niej istota, uroczyście i pokornie sprawuje, niby jakiś mistyczny kult, swoją wieczną znojną pracę skazańca, pod skłębionymi zwałami obłoków, groźnie piętrzących się nad jego głową [...]. Dwa woły, pług i człowiek, ów odwieczny zaprzęg ludzkości, upartym ruchem kroczący mozolnie przed siebie".



Ferdynand Ruszczyc, „Nec mergitur" („Legenda żeglarska"), 1904–1905

FOT. LITEWSKIE MUZEUM SZTUKI W WILNIE

Łysiak o Ruszczycu

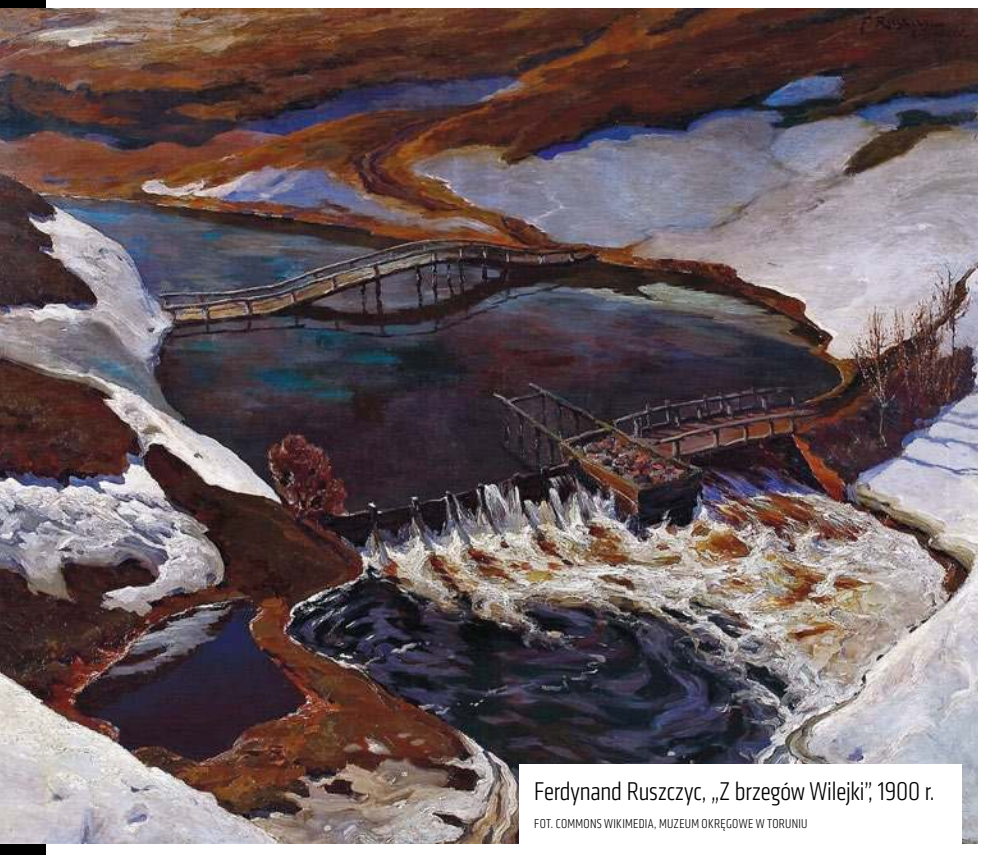
Jedna z biografek artysty pisze, że „»Ziemia« to najsłynniejszy obraz Ferdynanda Ruszczyca. Znak rozpoznawczy jego twórczości, malarska sygnatura artysty" (Bernat, 2007). Tak, to arcydzieło bezdyskusyjnie. W Polsce. Jak jednak zauważa Waldemar Łysiak, „Ziemia" to „arcydzieło nr 2 Ruszczyca, bo genialnego »Nec mergitur« (»Legenda żeglarska«) – jednej z najwybitniejszych ekstaz sztuki polskiej – nie przeskoczy nic. Lecz za sztandarowe dzieło malarza uchodzi teraz »Ziemia«, gdyż »Nec mergitur« trzymają Litwini". Ten ostatni obraz to „arcydzieło pod każdym względem: kompozycyjnym, chromatycznym, technicznym, gdzie artysta ukazał na gwałtownym morzu piękny jak nawa królewska galeon, symbolizujący Polskę miotaną falami Historii".

Spoglądając na datę jego powstania, zauważymy, że „był malowany w straszliwych czasach, kiedy nawa polska trzeszczała od naporem fali germańskiej i rosyjskiej" (Niewiadomski, 1923). Ta „Legenda żeglarska", jak bodaj najtrafniej ją opisał Ignacy Witz (także malarz), „nie jest jednak obrazem – jak by można pomyśleć – o marynistycznej tematyce [...]. Miała być w intencji artysty – tak była zresztą odczytywana przez współczesnych – symbolicznym, metaforycznym wyobrażeniem Polski. Wydaje mi się, że przy odrobinie wysiłku kompozycja ta, niezależnie od swej malarskiej urody, siły malarskiej i ekspresji – jest w stanie wywołać szereg skojarzeń historycznych i filozoficznych". Nie tylko dzięki temu dziełu, lecz także praktycznie za sprawą całej twórczości malarskiej artysty, uznaje się Ruszczyca za jednego z najprzedniejszych przedstawicieli symbolizmu w Polsce. Wywarł on również (oraz wspomniany Jan Stanisławski) duży wpływ na rozwój malarstwa pejzażowego w naszym kraju.

Obraz „Ziemia" inspirował także literatów. Przytoczmy jedną zwrotkę z wiersza „Orka" Leopolda Staffa:

A pod ogromem nieba, sam na ziemskim niżu
Olbrzym nagi, brązowy, z głową pochyloną
Idąc za pługiem, kraje twarde ziemi łono...

Przypatrzmy się jeszcze innemu jego dziełu. „Stary dom" to wspomniany już drewniany dworek, w którym artysta się urodził. Otoczony był wiekowym ogrodem, a jego ganek zdobiła winorośl. Tego domu już nie ma, spłonął w czasie drugiej wojny światowej. I może jeszcze jeden z obrazów dużych rozmiarów – „Z brzegów Wilejki". Ukazana tu została z wysokości śluza na rzece pod Wilnem. To ukochane strony malarza, gdzie widzimy, jak „rozlane wiosenne wody podmywają wzgórza, z których spełzają ostatnie płaty marcowego śniegu" (Bułhak, 1939).



Ferdynand Ruszczyc, „Z brzegów Wilejki", 1900 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM OKRĘGOWE W TORUNIU

Ku Wilnu

Mamy to szczęście, że artysta prowadził „Dziennik", który został opublikowany przez jego syna Edwarda w 1994 r. Pierwszy jego tom nosi tytuł „Ku Wilnu" i obejmuje lata 1894–1919. Ten okres jest dla naszej opowieści najważniejszy, a dokładnie rok 1908. W książce „Znasz-li ten kraj" Tadeusz Boy-Żeleński pisał: „Skoro umarł Matejko, po krótkim okresie przejściowym, powierzono Fałatowi reorganizację szkoły [Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie – przyp. red]. Fałat

eprasa.pl 94eb3b15bc

ściąga z kraju czy z zagranicy tęgich malarzy, a młodych jeszcze ludzi; nowe ciało profesorskie to Wyczółkowski, Malczewski, Pankiewicz, Axentowicz, Laszczka, Stanisławski, później Ruszczyc… Zmienia się zupełnie fizjognomia, duch szkoły. Zapachniało Paryżem".

Pisarz wymienia tutaj same tuzy malarstwa młodopolskiego. Nazwisko Ruszczyca pada na końcu, ponieważ zastąpił on na stanowisku prof. Jana Stanisławskiego zmarłego w 1907 r. w wieku 47 lat. Wydaje się, że jednak nie najlepiej działo się tam wówczas ze stosunkami międzyludzkimi. Raczej nie była to „Francja elegancja". W 1908 r. „na wiosnę w środowisku artystycznym Krakowa doszło do gorszących wydarzeń. Intrygi w akademii, niesnaski i pomówienia wśród artystów krakowskich doprowadziły nawet do pojedynków i licznych spraw honorowych. Wydarzenia te powodują, że [Ruszczyc] rezygnuje z profesury i opuszcza Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie" („Życie i dzieło", 2002).

Artysta wraca do rodzinnego Bohdanowa. Później wielokrotnie będzie namawiany do powrotu na opuszczoną katedrę malarstwa w Warszawie. Także Julian Fałat stara się, aby ponownie zajął w Krakowie stanowisko profesora „kursu pejzażowego". Ruszczyc nigdy już zdania nie zmieni. Fałatowi proponującemu mu cofnięcie swojej dymisji napisze w liście: „Dobrej woli nie brakowało mi zdaje się nigdy i nią się wyłącznie starłem powodować, w sprawach publicznych zwłaszcza, a jeżeli wypadki ostatniej wiosny w Krakowie przyśpieszyły zrzeczenie się przeze mnie z profesury – nie moja w tym wina". Przywoływany wyżej Ignacy Witz uważa, że „u podstaw tych konfliktów leżała odmienność w rozumieniu samego malarstwa. Gdy porównamy jego obrazy z obrazami najwybitniejszych krakowskich malarzy, przyczyny niesnasek staną się łatwiejsze do zrozumienia". Stanowisko to wydaje się jednak dużym uproszczeniem. Wówczas każdy malował sobie, jak chciał, a prace oceniał „rynek". I nie chodzi tu tylko o to, co i za ile udało się sprzedać, ale przede wszystkim o udział w wystawach i ewentualne wyróżnienia lub ich brak, a także recenzje w czasopismach, które kiedyś doprowadziły właśnie do pojedynku malarzy (bezkrwawego).

Wydaje się, że osobowość Ruszczyca, jego podejście do życia i stosunków międzyludzkich mogła być zgoła inna niż kolegów artystów. Wywodził się z innego regionu i rodziny, gdzie moralność była na pierwszym miejscu. Nie chodziło tu o sztukę, a o inne podejście do życia codziennego. Sztuka była dla niego tylko pewną częścią życia, a nie głównym jego celem. Zajrzyjmy zatem do wspomnianych „Dzienników". W lipcu 1908 r. Ruszczyc zapisze: „Rok po roku piętrzy się smutek […]. Dziś, po doświadczeniach krakowskich, wrócił znowu ten żal. Wówczas i teraz myślałem dużo o tym, dlaczego ludzie nie widzą, czym mogłoby być życie przy pewnej wewnętrznej pogodzie, przy pewnej radości życia. Jeżeli o czymś marzyłem, to o wytworzeniu tej odporności w sobie i innych na wszystko, co jest trujące. Tym się tłumaczy to, com ukochał w naturze i w sztuce. Odchodząc od ludzi, szukałem drogi dla innych i do nich".

Miesiąc później napisze zaś: „[...] Myślę o Krakowie. Nie wymagam, by ludzie byli idealni, dopuszczam blagę i interes, wreszcie szopki różne, lecz po co w takim razie udawać miłość do sztuki, robić z siebie estetów, mecenasów…". Teraz już wiedział, że trzeba otaczać się osobami, których zna i którym ufa. I to nie byli malarze z Kongresówki czy z Galicji. „Przez ostatnie kilka lat stworzyło się koło ludzi wypróbowanych. Jeden o drugim prawie że nie wiedzą, ale jam ich poznał i wiem, czym się różnią od innych". Otóż to. Malować znaczy wrócić do starego środowiska, Warszawy czy Krakowa, bo w Wilnie malarzy wykwalifikowanych nie było. A na to, jak widać z zapisków w „Dzienniku", nie miał najmniejszej ochoty.



Ferdynand Ruszczyc, plakat sztuki „Noc listopadaowa"

FOT. MUZEUM PLAKATU W WILANOWIE

„Natchniony przywódca"

Pozostanie już w Wilnie, gdzie – jak pisał Czesław Jankowski „Litwin" w wieleńskiej gazecie – „rozkochany w Wilnie Ruszczyc, jego pięknie, jego tradycjach artystycznych, rzec wolno, poświęcił się z jednej strony dobywaniu na jaw i pokazywaniu światu piękna Wilna, z drugiej budzeniu w Wilnie kultu dla piękna Wilna […]. Żaden obchód, żadna uroczystość, żaden odruch społeczny i narodowy, od chwili zainstalowania się w Wilnie Ruszczyca nie odbył się bez jego współudziału" (1929).

Swego czasu w Wilnie wystawiano „Warszawiankę", które to przedstawienie w całości organizował Ruszczyc „w budzie cyrkowej". Wspomniany przyjaciel artysty bodaj najlepiej zrozumiał motywację bohatera tej opowieści. „Dopiero po »Warszawiance« zrozumiałem z całkowitą jasnością posłannictwo artystyczne Ruszczyca w Wilnie. Zrozumiałem, że malarstwo to tylko mała cząstka jego osobowości, że nierównie większem jest to, co czyni Ruszczyc przy pomocy swej sztuki – promieniowaniem swej duszy. Że namalować obraz – to może być wiele, ale – oddać siebie – to jest daleko więcej. Ukazał mi się w całej wymowie i powadze natchniony przywódca i organizator życia artystycznego i kulturalnego w Wilnie i kraju" (Bułhak, 1939).

Teraz już chyba rozumiemy, dlaczego przez ostatnie 28 lat życia nigdy już sztalugi z zagruntowanym płótnem nie rozstawi, pędzla i palety malarskiej do ręki nie weźmie. W życiu człowieka są rzeczy ważniejsze niż namalowanie obrazu, nawet arcydzieła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Bernat A., ***„Ferdynand Ruszczyc"****, Warszawa 2007; Bułhak J.,* ***„Dwadzieścia sześć lat z Ruszczycem"****, Wilno 1939; Dobrowolski T.,* ***„Malarstwo polskie"****, Wrocław 1989; Jankowski C.,* ***„Ruszczyc"****, Wilno, „Słowo" 1929, nr 121; Krupowies W.,* ***„Rok 1919: pamięć Wilna – pamięć w Wilnie"****, „Acta Baltico-Slavica" 42, Warszawa 2018; Łysiak W.,* ***„Malarstwo biało-czerwone"****, t. 1 i 2, Warszawa 2012–2013; Niewiadomski E.,* ***„Malarstwo polskie XIX i XX wieku"****, Warszawa 1923; Popowski S.,* ***„Krajobrazy Ruszczyca na wystawie Tow. Sztuk Pięknych"****, [w:] „Teksty o malarzach 1890–1918", Wrocław 1976; pr. zb.,* ***„Ferdynand Ruszczyc. Życie i dzieło"****, Kraków 2002; Ruszczyc F.,* ***„Dziennik. Ku Wilnu 1894–1919"****, Warszawa 1994; Witz I.,* ***„Polscy malarze, polskie obrazy"****, Warszawa 1970.*

eprasa.pl 94eb3b15bc

XXI w. / Tęsknota za Sowietskim Sojuzem



Aleksiej Kiwszenko, „Kutuzow na Pokłonnej Górze”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IL.RSL.RU

Rosjanie — autoportret własny



Mikołaj Iwanow

Badania opinii publicznej prowadzone w Rosji pokazują, jak silny jest tam sentyment za czasami sowieckimi

W lutym 2022 r. wojna na Ukrainie przekształciła się z konfliktu regionalnego, ograniczonego do Donbasu, w wojnę pełnoskalową, pochłaniającą każdego miesiąca dziesiątki tysięcy ofiar. Dla narodu ukraińskiego jest to wojna w obronie narodowej tożsamości, godności i niepodległości własnego państwa. Ale czym ta wojna jest dla Rosjan? Czy jest to wojna jedynie ich autokratycznego przywódcy Władimira Putina, który rozpętał ją w celu utrzymania władzy i zaspokojenia swojego chorego ego? A może jest to wojna narodu rosyjskiego, który zjednoczył się wokół swego przywódcy, by zademonstrować całemu światu przywiązanie do imperialnego charakteru swojego państwa?

Odpowiedź na te zasadnicze pytania nie jest łatwa. Jest ona wielowątkowa i na pewno w ramach krótkiego artykułu nie da się tego tematu szczegółowo przeanalizować. Jednak możemy rzucić nieco światła na sposób myślenia „zwykłych” Rosjan. Pomóc w tym mogą wyniki badania opinii społecznej, przeprowadzone w Rosji przez państwowy organ WCIOM (Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Społecznej). Jest to organizacja całkowicie zależna od władz, zajmująca się głównie nie tyle sumiennym badaniem opinii publicznej, ile preparowaniem dla Putina i jego otoczenia danych o nastrojach społecznych.

I tak według ostatnich opublikowanych „badań” (z września 2025 r.) rosyjski przywódca cieszy się poparciem na poziomie 79,5 proc., a jego premier, Michaił Miszustin – 60 proc. Nawet tak kontrowersyjnego polityka, jak byłego prezydenta i premiera Dmitrija Miedwiediewa, który w ostatnich latach słynie głównie z rzucania w Internecie szalonych pomysłów w rodzaju użycia bomby atomowej przeciw Ukrainie, popiera rzekomo aż 48 proc. Rosjan.

Zastawmy jednak na boku rosyjskich „badaczy” i wyniki ich „sondaży” na temat poparcia dla polityków. Skupmy się na innych danych, które mimo wyraźnego zaangażowania się WCIOM w system propagandy wojennej Rosji mogą świad-

eprasa.pl 94eb3b15bc



Dmitrij Miedwiediew i Władimir Putin podczas Dnia Jedności Narodowej, Niżny Nowogórd, 2011 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KREMLIN.RU

czyć o rzeczywistych nastrojach Rosjan. Chodzi tu przede wszystkim o tzw. kwestie niepolityczne, które – wbrew zamiarom propagandystów Putina – dostarczają niezależnym obserwatorom sporo informacji o stanie ducha rosyjskiego społeczeństwa.

Dzień Cyryla

Zacznijmy od kwestii bezpośrednio związanej z Polską. Tuż po rozpadzie Związku Sowieckiego prezydent Borys Jelcyn nieco naiwnie podejmował próbę rozliczenia komunizmu. Jak pisał na ten temat znany sowiecki dysydent i antykomunista Władimir Bukowski, w Moskwie planowano urządzić wielki pokazowy proces kierownictwa partii komunistycznej na kształt powojennego procesu norymberskiego w Niemczech. Nie doszło jednak do wielkiego, pokazowego osądzenia partii komunistycznej. Jelcyn prawdopodobnie zrozumiał, że na ławie oskarżonych musiałby zasiąść również on sam. Na Kremlu zdecydowano więc o znaczącym złagodzeniu polityki dekomunizacyjnej.

W ramach nowego kursu wobec komunistycznej przeszłości jako substytut świętowania rewolucji październikowej wymyślono Dzień Jedności Narodowej, który dniem wolnym od pracy oficjalnie stał się w 2005 r. Aby nadać nowemu świętu ideologiczny wydźwięk, nawiązano do rocznicy wyzwolenia Moskwy spod polskiej okupacji w 1612 r. Idea zastąpienia obchodów rewolty bolszewików nowym centralnym dniem w państwowym kalendarzu bardzo leżała na sercu jednemu z najbliższych ludzi Putina, dzisiejszemu patriarsze Cerkwi prawosławnej, Cyrylowi, który wtedy jeszcze nie zasiadał tak wysoko.

W tym roku Dzień Jedności Narodowej, mający wskrzeszać wielowiekową niechęć do Polaków, Rosjanie będą celebrować już po raz 20. Jednak mimo ogromnych wysiłków państwowej propagandy zmierzającej do tego, by przekształcić Dzień Jedności Narodowej w prawdziwe ludowe święto, aż 71 proc. Rosjan patrzy na niego jak na kolejny dzień wolny od pracy, a nie jak na wielkie święto państwowe. Na marginesie dodajmy, że Alaksandr Łukaszenka, wzorując się na Putinie, ogłosił w 2020 r. swój własny białoruski Dzień Jedności Narodowej. Jest nim... 17 września, czyli rocznica agresji (bez wypowiedzenia wojny) Armii Czerwonej przeciwko II Rzeczypospolitej. Myślę, że komentarz jest tu zbędny.

„Katiusza" hitem

Badania WCIOM na tematy polityczne odbierane są w Rosji jako element wojny propagandowej. Dlatego nie warto w tych konkretnych aspektach szukać ocen odzwierciedlających prawdziwy stan rzeczy. Natomiast na tematy dotyczące życia powszedniego Rosjanie wypowiadają się już bardziej swobodnie. I ta część badania powinna nas najbardziej interesować. Tym bardziej że – jak wynika z zapewnień naukowców WCIOM – sondaż był przeprowadzony według ścisłych kryteriów naukowych. Przepytano niemal 3 tys. losowo wybranych respondentów należących do wszystkich warstw społecznych, reprezentujących wszystkie regiony tego ogromnego kraju.

Sondaż WCIOM przynosi nam cały wachlarz zaskakujących odwiedzi. Dzięki temu wiemy, jakie piosenki śpiewają, które filmy lubią oglądać, jakie książki szczególnie trafiają w ich gusta i jakie święto uznają za najważniejsze.

Zacznijmy od najbardziej, wydawałoby się, banalnego pytania: Co lubią śpiewać? Wygląda na to, że niemały wpływ na odpowiedzi ma wojna rosyjsko-ukraińska.

Aż 16 proc. respondentów stwierdziło, że najczęściej śpiewa hymn państwowy, a co 10. pytany wskazał „Dzień zwycięstwa" – patriotyczną pieśń z czasów Związku Sowieckiego, gloryfikującą zwycięstwo w drugiej wojnie światowej. Kolejne trzy miejsca zajmują podobne utwory. 7 proc. Rosjan wskazuje „Katiuszę", przedwojenną, wyjątkowo melodyjną piosenkę ludową, a po 3 proc. respondentów najbardziej lubi podśpiewywać „Oficerów" oraz „Świętą wojnę" – wy-



Poddanie się polskiej załogi Kremla, 1612 r. Obraz Ernsta Lissnera

FOT. WIKIPEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

eprasa.pl 94eb3b15bc



Kadr z filmu „Ironia losu" (w Polsce: „Szczęśliwego nowego roku"): Andriej Miagkow i Barbara Brylska FOT. FILMPOLSKI.PL

jątkowo patriotyczną pieśń z okresu tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej, wzywającą do bezlitosnej walki z wrogiem.

Wygląda na to, że ulubione piosenki Rosjan odzwierciedlają wyraźny wzrost patriotyzmu. Gwoli ścisłości odnotujmy, że kwestia hymnu państwowego ma w Rosji krętą historię. Po zwycięstwie rewolucji lutowej w 1917 r. w miejsce hymnu Imperium Rosyjskiego „Boże, chroń cara" wprowadzono „Marsyliankę", uznawaną za pieśń wolności. Dopiero w 1922 r. zamieniono ją, ale nie na hymn sowiecki, lecz na inną pieśń francuską (autorami słów i muzyki byli Francuzi). Chodzi oczywiście o „Międzynarodówkę", napisaną w 1871 r. przez Eugène'a Pottiera. Dopiero w 1944 r. Stalin rozkazał stworzenie własnego, sowieckiego hymnu, by przekonać sojuszników zachodnich o zaniechaniu przez ZSRS planów rozpętania rewolucji światowej.

Antyprzykład Obłomowa

Wśród ulubionych filmów Rosjan, zapewne ku zaskoczeniu propagandystów Putina, nie znalazł się żaden obraz reprezentujący nurt patriotyczny. Na pierwszym miejscu uplasował się film z wyraźnym polskim akcentem w tle. Jest to komedia z lat 70. pt. „Ironia losu" (nad Wisłą znana też jako „Szczęśliwego Nowego Roku") z polską aktorką Barbarą Brylską w roli głównej, która w tym filmie śpiewa głosem Ałły Pugaczowej. Ta ostania – wybitna śpiewaczka i zdecydowana przeciwniczka wojny na Ukrainie – na znak protestu wobec polityki Putina wyemigrowała z kraju. Według badania WCIOM lista najbardziej ulubionych filmów Rosjan wygląda następująco:

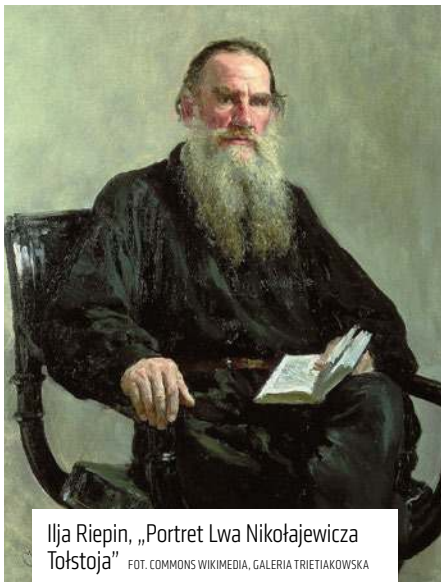
„Ironia losu" – 11 proc., „Operacja »Y«, czyli przypadki Szurika" – 8 proc. (inna komedia z czasów sowieckich o przygodach grupy przyjaciół, drobnych pijaczków), „Moskwa nie wierzy łzom" – 6 proc. (apokaliptyczny sowiecki film miłosny, nagrodzony Oscarem), „Miłość i gołębie" – 5 proc. (komedia z 1985 r., swoista kpina z sowieckiego stylu życia).



Ilja Obłomow, bohater książki „Obłomow" Iwana Gonczarowa FOT. DOMENA PUBLICZNA, GRAFIKA: KONSTANTY TICHOMIROW

A co czytają Rosjanie? Wśród wymienionych książek uderza brak dzisiejszych patriotycznych powieści Zachara Prilepina (apologety obecnej wojny) czy innych tzw. patriotycznych pisarzy. Przeważa natomiast literatura klasyczna, której przesłanie zmusza raczej do refleksji nad okrucieństwem wojny. Nie zaskakuje, że na pierwszym miejscu znalazła się tu „Wojna i pokój" Lwa Tołstoja, na którą wskazało 12 proc. respondentów.

Najbardziej zdumiewająca była jednak odpowiedź Rosjan na pytanie: „Jaka postać literacka najlepiej odzwierciedla nasz charakter narodowy?". Na pierwszym miejscu znalazł się Ilja Obłomow z powieści XIX-wiecznego pisarza Iwana Gonczarowa pt. „Obłomow". Postać ta jest przykładem bezwolnego, znudzonego życiem naiwnego drobnego szlachcica, udającego domorosłego filozofa. Jego droga życiowa przypomina powolne dogasanie. Postać Obłomowa jest swoistym zaprzeczeniem dzielnego, aktywnego patrioty służącego z oddaniem swej ojczyźnie.



Ilja Riepin, „Portret Lwa Nikołajewicza Tołstoja" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

Dalekie miejsce Władimira Putina

Na zakończenie przytoczymy dość znamienne odpowiedzi Rosjan na pytanie, co stanowi dla nich symbol ich kraju. W tym wypadku uczestnikom badania zaproponowano kilkanaście rozmaitych odpowiedzi. Wśród nich znalazł się oczywiście sam Władimir Putin, jednak obecny prezydent zajął dopiero... siódme miejsce, z wynikiem zaledwie 4 proc. Na wyższych pozycjach uplasowały się następujące odpowiedzi:

jego mieszkańcy – 10 proc.;
patriotyzm – 8 proc.;
flaga państwowa – 8 proc.;
herb państwowy – 7 proc.;
potęga kraju – 5 proc.;
rozległe terytorium – 5 proc.

Wojna na Ukrainie ma wiele różnych twarzy. Na froncie toczona jest również walka propagandowa. Od jej wyniku zależy także polityczna przyszłość Europy Wschodniej. Rosyjska machina propagandowa nie szczędzi wysiłków w celu zademonstrowania jedności narodu rosyjskiego, jego zjednoczenia wokół Putina w godzinie próby.

Prawda jednak – jak widzimy z zaprezentowanych wyników badań WCIOM – leży gdzie indziej. W trakcie wojny wcale nie jest on tak oddany idei upokorzenia sąsiedniego („braterskiego", jak lubi mawiać Władimir Putin) narodu. Rosjanie przeważnie żyją nostalgią za czasami sowieckimi, które nie były może dostatnie, ale były przynajmniej – w porównaniu z obecną sytuacją – spokojniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Niezapomniane momenty.
Uczta dla prawdziwych koneserów historii, tylko z grami

PHALANX

eprasa.pl 94eb3b15bc

1925–2025 / Stulecie śmierci Stefana Żeromskiego

Budziciel polskich sumień



Krzysztof Masłoń

Ten niesłychanie ważny w naszej historii pisarz bywał postrzegany jako nauczyciel i wychowawca narodu

Sto lat temu, 20 listopada 1925 r., zmarł pisarz Stefan Żeromski, autor „Syzyfowych prac”, „Ludzi bezdomnych”, „Popiołów” i „Przedwiośnia”, pierwszy prezes polskiego PEN Clubu, nazywany „sumieniem literatury polskiej”. Pogrzeb Żeromskiego, który odbył się trzy dni później, stał się wielką manifestacją narodową. Na żądanie mieszkańców stolicy 23 listopada skrócono godziny pracy. W uroczystości wzięły udział tysiące ludzi towarzyszących zmarłemu w jego ostatniej drodze z Zamku Królewskiego na cmentarz ewangelicko-reformowany przy ul. Żytniej.

W kondukcie żałobnym szedł prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, tyle że dotarł ledwie do ul. Miodowej (po drodze na Wolę ubywało więcej co bardziej znaczących person). Niemniej towarzyszyli pisarzowi żołnierze i harcerze, za trumną podążali skamandryci – Lechoń, Wierzyński i Iwaszkiewicz – niosący przyznane Żeromskiemu odznaczenia, w tym udekorowany Wielką Wstęgą Order Polonia Restituta. Ponad orszakiem krążyły dwa samoloty, zrzucając ulotki z napisem: „Hołd pamięci Stefana Żeromskiego – Liga Obrony Powietrznej Kraju”, bo to on przecież w „Urodzie życia” (1912) przedstawił lot człowieka w przestworza jako symbol zwycięstwa nad niewolą... Przy rogu ulic Wolskiej i Młynarskiej tłum napierał tak bardzo, że interweniować musiała konna policja. Na pogrzebie śpiewał chór Opery Warszawskiej, wojsko prezentowało broń.

„Wiadomości Literackie” z charakterystyczną przesadą pisały potem: „Pogrzeb S. Żeromskiego był od samego początku zmącony starciem pomiędzy opinią publiczną, domagającą się jak najgod-



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 94eb3b15bc

niejszego uczczenia wielkiego pisarza, a pewnymi czynnikami rządowymi, które tę uroczystość narodową usiłowały, na próżno zresztą – zbagatelizować i które – energicznym naciskiem – trzeba było krok za krokiem zmuszać do ustępstw (należy za to wyróżnić wyjątkową chętność, uczynność i sprawność władz wojskowych). Ten nastrój niepotrzebnego konfliktu zaciężył widocznie nad samą organizacją pogrzebu – złą i nieudolną […]. Niezrozumiałym kaprysem komitetu było ograniczenie liczby mówców do dwóch, z których jeden w dodatku nie dopisał [Miriam-Przesmycki]. Pozostało w rezultacie przemówienie Wacława Sieroszewskiego, tak demokratycznie niwelujące, że można je było wygłosić nad grobem każdego członka okręgowego komitetu PPS i każdego sierżanta Pierwszej Brygady".



Stefan Żeromski i Juliusz Osterwa

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zburzyć stare i wszcząć nowe

Atmosfera wokół pogrzebu (niekatolickiego!) Stefana Żeromskiego w dużej mierze była pokłosiem burzy, która rozpętała się rok wcześniej, po wydaniu przez niego „Przedwiośnia". Poziom ataków, z którymi spotkał się wtedy autor, był – jak pisał Artur Hutnikiewicz – „prawdziwie przerażający. Określenia »renegat« i »wykolejeniec« należały do względnie przyzwoitych i umiarkowanych. Pisano o »chamstwie uczuć«, o »cuchnącej kloace «Przedwiośnia»«, o »baciarstwie literackim«, o szczególnym jakoby upodobaniu Żeromskiego w scenach nierządu. Domagano się publicznie odebrania pisarzowi Orderu Polski Odrodzonej, jako oszczercy polskich rządów i gorszycielowi młodzieży".

Wbrew faktom odczytywano „Przedwiośnie" jako wyraz opowiedzenia się Żeromskiego za komunizmem. Do tego wszystkiego tuż po wydaniu powieści została ona przetłumaczona na rosyjski (kilkakrotnie), zdobywając w Sowietach uznanie i poczytność. „W prasie radzieckiej – pisał Hutnikiewicz – pojawiły się recenzje i krytyczne omówienia o wymownych tytułach: »Komunizm w Polsce wzrasta«, »Znamienny zwrot«. Artykuły te, podkreślając wszystkie niekonsekwencje i złudzenia autora, jego niechęć do rewolucyjnych rozwiązań, jego brak programu w kwestii społecznej, sugerowały przecież, że chcąc nie chcąc, jest »Przedwiośnie« obiektywnie wsparciem rewolucji, że ostatni odruch Baryki wskazuje nieuchronną i nieodwracalną konieczność".

Wcześniej, bo w 1922 r., napisał Żeromski „Snobizm i postęp", a zawarta w tym szkicu bezwzględnie negatywna ocena rewolucji rosyjskiej sprawiła, że nie był on wydawany w PRL, nie znalazł się nawet w zbiorowym wydaniu dzieł pisarza. Na tej samej zasadzie reportaż „Na probostwie w Wyszkowie" (1920) dostępny był za komuny jedynie w edycji podziemnej. A w „Snobizmie i postępie" Żeromski podkreślał, że rewolucja sowiecka, mająca przynieść dobro i piękno, w rzeczywistości dała przemoc i śmierć i że dla odradzającej się Polski rewolucyjny snobizm jest tylko zagrożeniem. W czasach komunistycznych usiłowano jednak zrobić z autora „Przedwiośnia" zwolennika lewicy, socjalizmu, ba, wręcz komunizmu, w nieskończoność cytując pytanie Cezarego Baryki: „Macież wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe?".

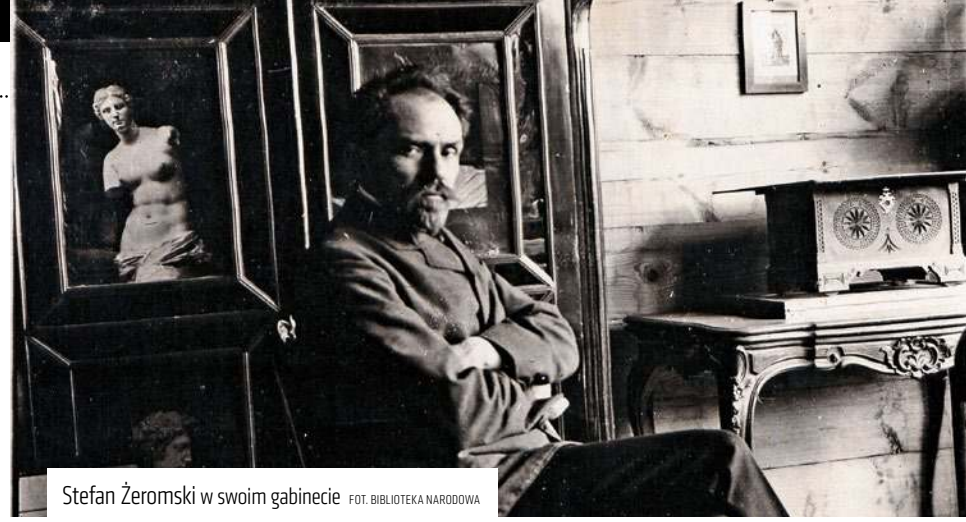
Naturalnie o artykule Stefana Żeromskiego „W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym" („Echo Warszawy" z 25 lutego 1925 r.) nie wspominano ni słowem. A powiedział tam najwyraźniej, jak to było możliwe: „Oświadczam krótko, iż nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucji, czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy – we wszystkich swych pismach, a w »Przedwiośniu« najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz za pomocą tego utworu literackiego usiłowałem, o ile to jest możliwe, zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć".

Ogary poszły w las

W „Snobizmie i postępie" akcentował: „Prawdę swą należy mówić głośno, nie schlebiając ani – żal się Boże! – gwelfom i gibelinom polskim, ani rzeczom, ani wypadkom, ani stosunkom, ani ideom". A w dramacie „Sułkowski" (1910) dał wskazanie wykorzystywane przez lata, do dzisiaj, przy najróżniejszych okazjach, niekiedy – jak się zdaje – nazbyt często i nie zawsze w szlachetnych intencjach: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby się nie zabliźniły błoną podłości".

Żeromskiego się cytuje (np. w szkołach eksponowane jest jego zdanie z „Syzyfowych prac" (1897): „Nauka jest jak niezmierne morze. Im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony"). Ale czy aby na pewno czyta? Ponad pół wieku temu Andrzej Wajda ekranizacją „Popiołów" potrafił jeszcze wzbudzić ogólnopolską dyskusję odnoszącą się m.in. i do tej powieści z roku, bagatela, 1902. No

eprasa.pl 94eb3b15bc



Stefan Żeromski w swoim gabinecie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ale wówczas jeszcze do „Popiołów" zaglądano nie tylko po to, by przekonać się, że pierwsze ich zdanie to rzeczywiście: „Ogary poszły w las".

Teraz, z okazji 100. rocznicy śmierci pisarza, Sejm ustanowił rok 2025 Rokiem Stefana Żeromskiego. To „jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy, duchowy autorytet polskiej inteligencji, autor opowiadań, powieści i dramatów, które ukształtowały narodowe myślenie wielu pokoleń Polaków" – stanowi uchwała.

Z całą pewnością ten niesłychanie ważny w naszej historii pisarz bywał postrzegany jako nauczyciel i wychowawca narodu. Ale Stanisław Cat-Mackiewicz w książce „Europa in flagranti" pisał: „Prorokiem pokolenia sprzed pierwszej wojny światowej stał się u nas Żeromski. Jakże go kocham, gdy czytam jego pamiętniki, w których tak się zachwyca Sienkiewiczem, jego wpływem na lud prosty. Ale dla tego, żeby być prorokiem, trzeba mieć kościec, linię, trzeba samemu wiedzieć, czego się chce. W Polsce przed pierwszą wojną światową było wiele nurtów politycznych, wiele ideologii. Niestety, można powiedzieć z niedużą przesadą, że każdy utwór Żeromskiego odpowiadał nastrojem innej partii politycznej. Na pewno nie czynił tego Żeromski dla kariery, był to człowiek czuły na szlachetność, daleki od używania swej literatury dla jakichkolwiek korzyści osobistych. Ale zważmy tylko: oto »Ponad śnieg…« odpowiada jak najbardziej poglądom, upodobaniom i tragediom konserwatystów wileńskich. »Przedwiośnie« znowu podoba się elementom komunizującym. Są utwory Żeromskiego, które zbliżały się do poglądów endeckich, są inne, które były z nimi sprzeczne. Ten wielki talent przynosił zwątpienie i rozterkę, prawdę powiedziawszy: rozhisteryzował społeczeństwo".

Refleksja i namiętność

Inna sprawa, że to społeczeństwo na histerię podatne było nad wyraz. Tak jak krytykę i opinię publiczną wzburzyło z powodów politycznych „Przedwiośnie", tak znacznie wcześniej, bo w roku 1908, wielu czytelników oburzyły „Dzieje grzechu" – ze względów, najogólniej rzecz ujmując, obyczajowych. Zarzucano też autorowi powieści nadmierne jej przesycenie nihilizmem. A Reymont, nie owijając niczego w bawełnę, stwierdził: „Wszystko w tej książce jest zdechłe przed urodzeniem i śmierdzi". W efekcie historia moralnego upadku Ewy Pobratyńskiej dość powszechnie uznana została za utwór na poły pornograficzny, co dziś wywołuje niejakie zdumienie. Ale na marginesie warto przypomnieć, że w 1975 r. ekranizacji „Dziejów grzechu" podjął się Walerian Borowczyk, specjalista od kina erotycznego.

Podobny posmak mają także „Dzienniki" spisywane przez Żeromskiego w młodości, od 1882 r. do 1890. Miały one również ciekawą historię. Otóż, chcąc się żenić – pisała Hanna Mortkowicz-Olczakowa – dał je do przeczytania narzeczonej: „Odsunęła ona na rok termin ślubu z Żeromskim, tak bardzo przeraziła ją i zabolała ich treść. A Żeromski pisał po latach, bo w roku 1912, do Noyszewskiego o tych swoich »młodocianych grzechach literackich«: »Rad bym to wycofać i zniszczyć«". Nic nie zniszczył, ale do końca życia zachował pamiętniki w ukryciu, strzegąc ich przed wglądem kogokolwiek z zewnątrz".

Zdeponowane w Bibliotece Narodowej, nazwane przez pisarza „pamiętnikami", spoczywały „Dzienniki" w sejfie zastrzeżone klauzulą, że drukowane być mogą dopiero 50 lat po śmierci autora. W czasie wojny zabrane przez okupanta i wywiezione do Niemiec zostały – drogą przez ZSRS – rewindykowane, ale choć paczka z nimi opatrzona była napisem: „Własność Anny Żeromskiej", to trafiły w ręce naukowców i to oni zadecydowali, by nie czekając na upływ zastrzeżonego przez pisarza półwiecza, wydać je wcześniej. Tak też się stało i w latach 1953–1956 doszło do edycji ze wstępem Andrzeja Wasilewskiego i przypisami Jerzego Kądzieli. „Z pietyzmu dla woli autora – pisała Hanna Mortkowicz-Olczakowa – pominięto jedynie pewne zbyt jaskrawe w swym ekshibicjonizmie młodzieńczym wyznania erotyczne".

„Skróty, podyktowane przez dyskrecję – czytamy dalej – nie wyszły na dobre tej odważnej publikacji. Przedziwny, tak często szokujący zbiór wyznań i autoanaliz został w ten sposób jak gdyby ochwacony. Zachwiana w nim została równowaga między czasem naiwną, czasem melancholijną refleksją a wigorem młodych, buchających energią sił męskich. A właśnie te dwa równorzędne pierwiastki – refleksja młodziutkiego i jeszcze prymitywnego intelektu i siła erotyczna, twórcza i namiętna – prowadziły młode życie, toczyły na kartach pamiętnika nieustanną walkę z sieroctwem, nędzą, chorobą, rosyjską szkołą i policyjnymi represjami, z zacieśnieniem prowincjonalnego polskiego miasteczka".

„Dzienniki Żeromskiego – konkluduje Mortkowicz-Olczakowa, córka wydawcy dzieł autora »Popiołów« – jednych zachwycają i wzruszają, a nawet doprowadzają do paradoksalnych wniosków, że to jest najlepsza, bo najszczersza książka Żeromskiego. Innych oburzają i gorszą jako zbyt brutalne w swej szczerości zwierzenia".

Po górach, po chmurach

Z „Dziennika" właśnie dowiadujemy się, że przekonany był o odziedziczeniu po matce gruźlicy. Uważał się za „suchotnika", choć zbudowany był całkiem nieźle, tyle że biedując, często nie dojadał,

eprasa.pl 94eb3b15bc

a potęgował się też u niego rozstrój nerwowy, niepokoił kaszel, którego nie mógł się pozbyć jeszcze od lat szkolnych, gdy z tego właśnie powodu nazywano go Kawką. Bolały go a to piersi, a to głowa, to znów gardło. Leczył się na własną rękę, a lekarze stawiali mu kolejne, przeciwstawne diagnozy. „Niedługo i na mnie czas przyjdzie" – biadał w „Dzienniku".

Po uszkodzeniu ręki lekarze straszyli go utratą kończyny, opatrunki nie pomagały, a do tego przyplątały mu się dolegliwości wzroku. Faktem jest, że gruźlica pustoszyła mu organizm, z tym że sławny lekarz Władysław Matlakowski, spotkany przez pisarza w Zakopanem, zlecił mu całkiem inną, oryginalną kurację: „Pluj pan na wszystko – chodzić, chodzić, chodzić po górach, po wierchach, chodzić, ciągle chodzić. Pluj pan na doktorów, na ich lekarstwa, na wszelkie przepisy i rady. Chodzić po górach! Czego pan tu siedzi na kurzu? Idź pan stąd zaraz – obiad zjeść, wódki kieliszek i do lasu!".

Zlecenie wzmocniła przyszła żona, oświadczając: „Chełchowskiego [lekarza – przyp. red.] się umyślnie pytałam w Warszawie, czy to Pan ma jakieś dziury w płucach. Powiedział, że Pan jest hipochondryk i wymyślasz sobie licho wie jakie choroby".

Z całą pewnością liczne „chorobliwości, newralgie i anomalie" pisarz niepotrzebnie mnożył ponad miarę i w końcu zwalczył chorobę płuc ostatecznie, osłabiając jednak organizm, i to znacznie. Żona dbała o niego, pielęgnowała i należycie odżywiała. Ponoć dobrze znający Żeromskiego inny lekarz, Jan Zieliński, miał stwierdzić, że przedłużyła mu życie o 15 lat. A zmarł, na anewryzm serca, mając tych lat 61.

Oliwa do ognia

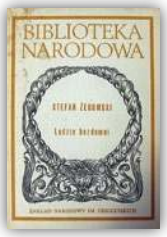
Ukoronowaniem jego pisarstwa, od samego początku wywołującego żywe reakcje czytelnicze, miała być Nagroda Nobla, do której nominowany był w latach 1921–1924. Nie otrzymał jej, choć na początku sprawa wyglądała obiecująco. Niestety – jak wynika z relacji Konrada Czarnockiego, kontraktowego pracownika Poselstwa RP w Sztokholmie, skądinąd malarza, bezpośrednio zaangażowanego w promocję pisarstwa Żeromskiego i forsującego jego kandydaturę do Nobla – to dziekan korpusu dyplomatycznego w Sztokholmie, poseł francuski Delavaud, przekonać miał polskiego posła, że udekorowanie opiniotwórczego szwedzkiego profesora Fredrika Booka (germanofila) polskim odznaczeniem byłoby niestosowne. „Doznałem wrażenia nagłego ciosu, gdy się poseł tą wiadomością ze mną podzielił – pisał Czarnocki. – Tyloletnie wysiłki, »wydeptane« wreszcie rezultaty nikły, wsiąkały na moich oczach jak woda w suchy piasek […]. Wyjaśniałem, że zrobimy sobie z profesora Booka nieprzejednanego wroga i cała nasza praca, tak dobrze już przygotowana kandydatura Żeromskiego, rozpadnie się w gruzy, że energiczny, wygadany i ruchliwy Book, tak widocznie łakomy odznaczeń, nie daruje nam pominięcia, a przy swoich ogromnych wpływach nie dopuści do przyznania nagrody, nawet gdyby znaczna część członków Szwedzkiej Akademii skłaniała się ku tej decyzji".

Wcześniej w Warszawie Fredrikiem Bookiem, zbierającym w Polsce materiały do swojej pracy, zajmował się sam Żeromski, przyjmując go u siebie w Konstancinie. Wszystko to dobrze rokowało i nagle domniemane germanofilstwo wpływowego Szweda sprawiło, że – mówiąc wprost – sprawa wzięła w łeb. Naturalnie nie jeden Book zadecydował o fiasku starań o Nobla dla Żeromskiego, ale cała ta sprawa jasno wskazuje, że nie tylko względy literackie decydowały o tym, czyje skronie ozdobiły noblowskie laury.

A oceny pisarstwa Żeromskiego za granicą też dalekie były od entuzjastycznych. W 2002 r. Paweł Goźliński w „Dużym Formacie" przytoczył np. znalezioną w archiwum Fundacji Nobla opinię członka Komitetu Noblowskiego, poety Erika Karlfeldta, późniejszego noblisty, napisaną już po śmierci w 1921 r. Alfreda Jensena, który obstawał przy kandydaturze Żeromskiego: „Ogólne wrażenie oraz wnioski wynikające z mojej wiedzy o literaturze tego kraju wskazują, że Żeromski nie jest zjawiskiem na tyle oryginalnym, by przewyższyć innych reprezentantów polskiego pesymizmu".

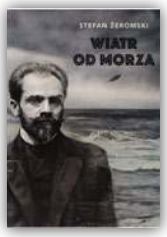












Wytykano Żeromskiemu niedostatki stylistyczne, a – jak można było się doczytać w innych ocenach – „jego myśli, które w jego kraju odbierane są jako poruszające i głębokie, nam wydają się naciągane i niejasne, podyktowane raczej silnymi emocjami niż głęboką inteligencją".

W tej sytuacji wydanie w Warszawie „Wiatru od morza" (1922) dolało już tylko oliwy do ognia. „W prasie niemieckiej – czytamy w »Noblu dla Żeromskiego?« Konrada Czarnockiego – ukazały się napastliwe sprawozdania, a wkrótce potem obszerny felieton Booka w »Svenska Dagbladet«, ostry, zjadliwy, widzący w tym utworze tylko polski imperializm, germanofobię, sztukę na usługach polityki". To, że w takiej atmosferze udało się przeforsować Nobla dla innego polskiego pisarza – Władysława S. Reymonta – mogło wydawać się darem od Boga.

Żeromskiemu, cóż, pozostała krajowa sława. A nam niezapomniane strony „Syzyfowych prac" (recytowana przez Zygiera „Reduta Ordona"!), „Ludzi bezdomnych" (z moralnym dylematem doktora Judyma, który daje prymat idei nad szczęściem osobistym) czy „Przedwiośnia" z jego szklanymi domami. Z cudowną „Wierną rzeką" (1912), ale i z „Dumą o hetmanie" (1908). Wreszcie z zupełnie wyjątkowymi opisami przyrody, którymi przesiąknięte jest ostatnie dzieło pisarza – „Puszcza jodłowa" (1925). Nie pozwólmy na to, by zapomnienie pokryło tę, mam nadzieję, że wciąż bliską polskiemu sercu, „żeromszczyznę".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Karolina Lanckorońska na tarasie pałacu w Rozdole

FOT. ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU

Książka miesiąca / Sztuka życia

Trzy stulecia Lanckorońskiej

Karolina Lanckorońska wyrastała z czasów, kiedy Polski nie było jeszcze na mapach, a w Galicji portrety cesarza Franciszka Józefa wisiały niemal na każdym kroku. Urodziła się w 1898 r., a umierała 104 lata później, kiedy świat wszedł już w XXI w. Lanckorońska doskonale pamiętała czasy, kiedy istnienie Polski wcale nie było czymś oczywistym, a polskość poznawało się poprzez wiersze Słowackiego, utwory Mickiewicza, powieści Żeromskiego czy obrazy Malczewskiego. Pierwszego uwielbiała, drugi napawał ją czymś w rodzaju nabożnego lęku, trzeciego czytała namiętnie, broniąc go przed ojcem i argumentując, że to właśnie ten autor może być nazywany największym spośród polskich prozaików. Ostatniego z wymienionych bardzo dobrze znała osobiście – Malczewski spędził z rodziną Lanckorońskich niejedne wakacje; był przyjacielem ojca Karoliny, Karola Lanckorońskiego.

Karla, jak mawiali o niej najbliżsi, umiłowała Polskę i za przywrócenie jej wolności po 1989 r. dziękowała Bogu niejednokrotnie, podkreślając, że nigdy nie spodziewała się, że doczeka jeszcze wolnej i niepodległej Polski. Jednocześnie, choć całą duszą kochała Polskę z jej sztuką oraz kulturą i do później starości z pamięci recytowała utwory największych poetów, serce Lanckorońskiej już we wczesnej młodości na dobre zakotwiczyło w wieku XVI. Hrabianka zakochała się w tamtej epoce, gdy pierwszy raz ujrzała „Dawida" Michała Anioła. Kaplicę Sykstyńską i freski wielkiego Buonarrotiego uważała ze dzieło najdoskonalsze, ostateczne, a obcowanie z nimi było dla niej czymś niemal mistycznym.

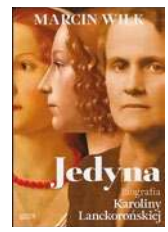
Posiadała przebogatą kolekcję sztuki. Wszystko, co miała, pozostawiła narodowi polskiemu. Jej dar dla kilku polskich instytucji kulturalnych, głównie Zamku Królewskiego na Wawelu oraz Zamku Królewskiego w Warszawie, stanowi ewenement w skali świata. Lanckorońska przekazała Polakom wszystkie dzieła, które przez dekady gromadzili jej przodkowie, głównie ojciec, tak jak ona rozmiłowany w sztuce. Dzięki pani profesor oglądamy dziś w Warszawie np. „Dziewczynę w ramie obrazu" czy „Uczonego przy pulpicie" Rembrandta. A to tylko wycinek.

Sztuka była obecna w całym jej długim życiu, co nie znaczy, że poruszała się tylko wśród słowa pisanego i obrazów mistrzów. Lanckorońska nie była oderwaną od rzeczywistości marzycielką. Po ziemi stąpała twardo, wiele musiała znieść. Przeżyła pierwszą i drugą wojnę światową. Przed Sowietami uciekła na teren Generalnego Gubernatorstwa, współtworzyła Radę Główną Opiekuńczą, działając jednocześnie w konspiracji. W 1943 r. Niemcy, po wielu przesłuchaniach, zatrzymali ją, a następnie wywieźli do obozu Ravensbrück. Po wojnie zamieszkała we Włoszech.

Karolina Lanckorońska wymyka się jakiemukolwiek szufladkowaniu. Wyjątkowa, niepowtarzalna – te określenia brzmią przy jej nazwisku banalnie. Była „jedyna" – jak w tytule jej biografii trafnie ujął to autor. Jedyna taka – w jak najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu, chociaż przecież nie idealna.

„Od dzieciństwa staram się zawsze jej [Polsce] służyć, jak mogłam. Nie potrafiłam lepiej" – pisała pod koniec życia w liście do przyjaciela. Trudno o bardziej trafne podsumowanie jej bogatej biografii. ©℗

Anna Szczepańska



MARCIN WILK
„JEDYNA. BIOGRAFIA KAROLINY LANCKORONSKIEJ"
ZNAK

eprasa.pl 94eb3b15bc

Nie tylko Radziwiłłowie

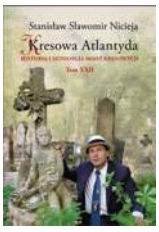
Ołyka i Nieśwież Radziwiłłów, Klewań Czartoryskich oraz garnizonowa Lida to miejscowości opisane w XXII tomie „Kresowej Atlantydy" prof. Stanisława Sławomira Niciei. Jak zwykle autor pisze nie tylko o historii miejsc i zabytkach, lecz także o ludziach. Poświęca wiele miejsca ordynatom ołyckim i nieświeskim, przedstawia historie ostatnich pokoleń Polaków z opisywanych miejscowości, a także ich losy po tzw. repatriacji do Polski. Historie te wiążą się także z dramatycznymi losami Kresów Wschodnich podczas drugiej wojny światowej.

W książce znajdziemy opis pobytu prezydenta Ignacego Mościckiego w Ołyce we wrześniu 1939 r. oraz pierwszych dni sowieckiej okupacji w Nieświeżu, naznaczonych brutalnością, aresztowaniem ostatniego ordynata, księcia Leona Radziwiłła, i rozstrzelaniem przez NKWD burmistrza miasta, Zygmunta Czerwińskiego. Autor opisuje obronę zamku w Ołyce, w którym schroniły się przed banderowcami 2 tys. Polaków, a także odsiecz polskiej samoobrony z Przebraża, która ewakuowała ich z miasteczka w styczniu 1944 r., ratując przed pewną śmiercią. Jest też historia stacjonującego w Klewaniu niemieckiego 202. batalionu policyjnego (złożonego z Polaków), skierowanego w 1943 r. do walki z banderowcami. Batalion przyszedł także z pomocą atakowanym i mordowanym przez Ukraińców polskim wsiom i w odwecie krwawo pacyfikował ukraińskie wsie.

Nicieja przywołuje pamięć o lotniczej historii Lidy, w której stacjonowały 11. pułk myśliwski i 5. pułk lotniczy, a wraz z nią postać Bolesława Orlińskiego, który jako pierwszy wykonał akrobację zwaną korkociągiem przekładanym (polskim), a także Jerzego Bajana, twórcy akrobacji zespołowej.

Podczas drugiej tzw. repatriacji (1955–1959) z Lidy do Polski przyjechał wraz z rodzicami pięcioletni Aleksander Jurewicz, o którym autor pisze, że w swojej nostalgicznej oraz wspomnieniowej – wysoko ocenianej – książce „Lida" pięknie zmitologizował rodzinne miasto. Autor przypomina, że wówczas, ponad 10 lat po wojnie, przyjechali z rodzinnych stron na Kresach także Czesław Niemen i Władysław Kozakiewicz. ©℗

Tomasz Stańczyk



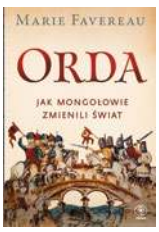
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH", T. XXII
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

Konna konfederacja

Ciekawa opowieść o imperium, które znacząco wpłynęło na losy naszego państwa. Orda nie była jednak „zwykłym" imperium. Ciężko szukać analogii dla takiej formy organizacji państwowej. Autorka przekonuje, że najwłaściwiej byłoby nazywać ją „olbrzymią koczowniczą konfederacją".

Nie sposób wymienić wszystkich ludów, które podlegały jej władzy. Jak udało się konnym wojownikom panować tak długo nad tak niesamowicie skomplikowanym układem polityczno-etniczno-gospodarczym? ©℗

(p.w.)



MARIE FAVEREAU
„ORDA. JAK MONGOŁOWIE ZMIENILI ŚWIAT"
REBIS

Tu wszystko się zaczęło

Ex Africa semper aliquid novi" („Z Afryki zawsze coś nowego") – mawiał dziejopis Pliniusz Starszy. Już w jego czasach – w erze starożytnego Rzymu – kontynent afrykański był źródłem nowych początków, nowych konfliktów, wielkich historii i głośnych upadków zbyt pewnych siebie władców. I tak jest do dzisiaj.

Praca uznanego historyka i afrykanisty ma przekrojowy charakter. Autor prowadzi czytelnika od starożytnych mocarstw do istniejących dziś państw, wskazując na wielkich wodzów, ale i podłych watażków, którzy drenowali i wciąż drenują Afrykę – kontynent z ogromnym, często niedocenianym przez samych Afrykanów potencjałem. Ten „bieg" poprzez wieki służy m.in. odpowiedzi na pytanie, dlaczego Afryka wygląda współcześnie tak, jak wygląda: często biedna, brudna, niedająca perspektyw.

Meredith to badacz, który nie kłania się politycznej poprawności. Pokazuje grzechy europejskiego i amerykańskiego kolonializmu, ale na równi wytyka błędy innym. W książce przeczytamy więc o islamskich handlarzach niewolników, chciwości lokalnych baronów, żądzy władzy, która dotyczy wszystkich, niezależnie od koloru skóry, wielkich możliwościach i utraconych przez bezmyślność i egoizm szansach. To już kolejna wydana w języku polskim praca tego historyka. Na naszym rynku wydawniczym nie pojawia się zbyt dużo tak ciekawych pozycji z dziejów Czarnego Lądu, dlatego tym bardziej warto się z nią zapoznać. ©℗

Anna Szczepańska



MARTIN MEREDITH,
„ZMIENNE LOSY AFRYKI. PIĘĆ TYSIĘCY LAT BOGACTWA, CHCIWOŚCI I PRACY"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl 94eb3b15bc



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Pamięć białego człowieka

Historyczne Bitwy" wydawnictwa Bellona od dawna zaliczam do swoich ulubionych serii wydawniczych, ale – przyznaję – sięgam po nią coraz rzadziej. Seria ma bowiem ten sam naturalny problem, co np. magazyny dla miłośników militariów, które w kolejnych numerach muszą brnąć w coraz mniej ciekawe sprawy, bo wszystkie ciekawe opisały już dawno (od jednego z takich magazynów odpadłem, gdy okładkowym materiałem uczynił dzieje plutonu samochodów pancernych holenderskich sił kolonialnych na Jawie w latach 20. i 30. XX w. – zresztą napisanym bardzo solidnie, z imponującą wiedzą, kto kiedy kierował którym z samochodów i w jakich okresach je serwisowano). Po prostu: „Historyczne Bitwy" ukazują się od tylu lat, że ważnych i znaczących bitew do opisania już brakuje.

> Prawda, która z tej historii wyziera, jest prosta: **podbój Afryki był podłością, opuszczenie jej – podłością jeszcze większą**

Mimo to postanowiłem sięgnąć po pracę Daniela Kowalczuka „Katanga 1960–1963", choć wiedziałem dobrze, że opisu żadnych godnych uwagi dokonań militarnych tam być nie może. Była to raczej seria chaotycznych strzelanin w dżungli, rzadziej w miastach (imponujący sukces wojsk ONZ, którym była śmierć co najmniej tysiąca przypadkowych cywilów podczas rozpaczliwej pacyfikacji stolicy Katangi, Élisabethville), międzyplemiennych rzezi, tragikomicznych pomyłek (w rodzaju wymordowania przez wojowników Baluba irlandzkiego pododdziału wojsk ONZ, wziętego za powracających belgijskich kolonistów), kozackich wyczynów sławnych kondotierów oraz bezładnych i tragicznych w skutkach interwencji Zachodu, którego politycy mieszali w piekielnym kotle dekolonizacji, nic nie rozumiejąc, ale mając ten luksus, że to nie oni sami ani ich kraje ponoszą konsekwencje popełnianych głupot.

Półtora wieku temu, w Berlinie, na konferencji zwołanej przez nudzącego się w odstawce Bismarcka, różni dżentelmeni narysowali na mapie Afryki granice – pod linijkę, w najmniejszym stopniu nie licząc się z faktem, że na dzielonym obszarze mieszkają różne ludy, niekochające się ani trochę bardziej niż narody europejskie. Niecały wiek później Zachodowi, wtedy już demokratycznemu, utrzymywanie administracji w odległych zasobniach surowcowych przestało się opłacać, więc postanowił owym nakreślonym pod linijkę „państwom" nadać niepodległość – wszędzie doprowadziło to do nieszczęść, ale do największych właśnie na ogromnym i bardzo zróżnicowanym obszarze Konga, gdzie jeszcze pół wieku wcześniej król Belgów doprowadził do wymordowania kilku milionów tubylców, do cna niszcząc wszelkie wyższe więzi społeczne. A skoro biali łaskawie przekazali władzę nad nieistniejącym w istocie „państwem" pierwszym, którzy się nawinęli, to potem uznali się za zobowiązanych dopilnować, by to „państwo" zachowało integralność, której w istocie nigdy nie zaznało: rzekome państwo było bowiem tylko obszarem zamieszkanym przez ludzi, których nie łączyło nic, poza wzajemną wrogością i wspólnym okupantem, który właśnie odszedł.

Wielką wartością książki Kowalczuka jest odkłamanie wielu mitów, naprodukowanych wokół wieloletniej – trwającej właściwie do dziś – rzezi w Kongu przez propagandę sowiecką i chętnie ją powielające media zachodnie. Prawda, która z tej historii wyziera, jest prosta: podbój Afryki był podłością, opuszczenie jej – podłością jeszcze większą. Dlatego biały człowiek nie chce o tym pamiętać. I dlatego warto mu od czasu do czasu o tym przypominać. ©℗

eprasa.pl 94eb3b15bc



Piotr Semka

/ Felieton

Viva

San Francesco!

Czy wiedzą państwo, jak na imię miał słynny por. Columbo? W niemal wszystkich odcinkach utalentowany policjant z Los Angeles przedstawia się jedynie swoim włoskim nazwiskiem. Ale w jednym, jedynym odcinku wyciąga swoją legitymację policyjną, gdzie jak byk stoi: Frank Columbo. Amerykańskie zdrobnienie Frank pochodzi oczywiście od Franciszka. Każdy, kto zna włoską kulturę, wie, że ten święty cieszy się wśród Włochów (zarówno w Italii, jak i na emigracji) ogromną sympatią.

To właśnie we włoskiej Umbrii, w przepięknie położonym Asyżu, Franciszek przyszedł na świat w 1181 r. (a być może rok później). Ten syn bogatego chłopa ćwierć wieku później przeżył nawrócenie i rozdał biednym wszystko, co miał. Aby udowodnić swoją pokorę, oddał się pomocy chorym na trąd. Powoli przyciągał do siebie ludzi, którzy poruszeni jego przykładem stworzyli małą, uduchowioną wspólnotę. Tak powstał zakon franciszkanów.

Imieniny św. Franciszka, czyli 4 października, były we Włoszech do 1977 r. dniem wolnym od pracy, ale na fali laicyzacji zniesiono to święto. Jednak niedawno Maurizio Lupi, lider prawicowej partii Noi Moderati, zgłosił w porozumieniu z konserwatywną premier Giorgią Meloni projekt przywrócenia tego święta (pod nazwą Dzień Pokoju). No i zdarzył się cud. Włoski parlament, tak bardzo zazwyczaj podzielony wzdłuż linii lewica – prawica, przegłosował wprowadzenie nowego święta. Oczywiście każda z partii poparła ten projekt z innego powodu.

Prawica uważa kult św. Franciszka za ważny element tożsamości narodowej. Lewica natomiast jest w stanie zaakceptować Franciszka jako patrona pokoju na świecie, zrównoważonego rozwoju, a także Kościoła ubogiego i nieposiadającego ambicji do sprawowania ziemskiej władzy. Ten święty chciał oczywiście, by cały świat zachwycił się Jezusem Chrystusem, tyle tylko, że nigdy nie wykorzystałby do tego środków politycznych czy militarnych.

> Premier zacytowała filozofa Vincenza Giobertiego, który napisał, że **Franciszek to „najbardziej ukochany, najbardziej poetycki i najbardziej włoski święty”**

We Włoszech rozpoczyna się właśnie sezon wyborczy. Walka toczyć się będzie w najbliższych tygodniach o tak ważne regiony jak Toskania, Apulia, Kampania czy Wenecja Euganejska. Liberalny dziennik „La Stampa” nie byłby więc sobą, gdyby się nie wyzłośliwił: „W trakcie obecnej lokalnej kampanii wyborczej każdy pretekst jest dobry, aby rozpowszechniać święte obrazki wraz z ulotkami kandydatów”.

Coś jest chyba na rzeczy, bo ostatni Dzień Pokoju Giorgia Meloni demonstracyjnie obchodziła w klasztorze w Asyżu razem z braćmi franciszkanami. Definiując postać XIII-wiecznego świętego, premier zacytowała filozofa Vincenza Giobertiego, który napisał, że Franciszek to „najbardziej ukochany, najbardziej poetycki i najbardziej włoski święty”. Dodała też, że czas znów postawić na piedestale „zakorzenienie wiary w sercach Włochów, które emanuje silną, autentyczną, emocjonalną pobożnością”.

Cała sprawa pokazuje ważną rzecz. Dzięki premier Giorgii Meloni włoska prawica po raz pierwszy może pochwalić się liderem, który łączy w sobie osobisty wdzięk z politycznym sprytem i ze sprawnością. Poprzedni kandydaci do roli „zbawców” prawicy nie wykazywali się taką kombinacją zalet. Gianfranco Fini, w latach 90. lider Sojuszu Narodowego, był zimnym i kostycznym technokratą. Silvio Berlusconi miał z kolei rys dorobkiewicza i biznesmena działającego na granicy prawa, na dodatek obciążały go słynne imprezy bunga-bunga. A poprzednik premier Meloni – Matteo Salvini – jest z kolei dość mało wyrafinowanym politycznym macherem. To, że Giorgia Meloni natychmiast podchwyciła ideę przywrócenia dnia św. Franciszka, pokazuje, że doskonale rozumie psychikę Włochów, w której tkwi tęsknota za katolickim i chrześcijańskim dziedzictwem.

Oczywiście papież Franciszek bardzo ciepło przyjął inicjatywę włoskiej premier. Nowemu pontifexowi tradycja franciszkańska również jest bardzo bliska. Wszyscy są więc zadowoleni z nowego święta, co pokazuje, jak sprawnie zarządza społecznymi emocjami dzielna włoska premier. ©℗

eprasa.pl 94eb3b15bc



Malarska rekonstrukcja wyglądu Tenochtitlánu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL MUSEUM OF ANTHROPOLOGY, MEXICO CITY, GARY TODD

XVI w. / Cortés w Tenochtitlánie

Rok trzech tlatoanich



Piotr Włoczyk

Aztekowie wcale nie uważali Cortésa za boga, a ich władca nie był sparaliżowany strachem przed najeźdźcami, lecz na różne sposoby starał się ratować swoje imperium – przekonuje Camilla Townsend w swojej najnowszej książce

Przechadzając się po centrum miasta Meksyku, niemal na każdym kroku możemy natknąć się na pozostałości Tenochtitlánu – metropolii zbudowanej przez lud Mexica (do historii przeszedł jako Aztekowie) na wyspie na środku jeziora Texcoco. Poza słonymi bagnami dziś nie ma już śladu po jeziorze, ale pozostałości pałaców i świątyń możemy zobaczyć pod ziemią – na niektórych stacjach metra (niczym na ekspozycji w muzeum; schowane za szybami fragmenty murów i kolumn), a także na powierzchni. Głównym skarbem archeologicznym są ruiny Templo Mayor (Huēy Teōcalli), najważniejszej świątyni azteckiego imperium, gdzie w trakcie głównych świąt składano w ofierze setki (być może nawet tysiące) jeńców. Tuż obok tego przerażającego miejsca kultu Hiszpanie zbudowali majestatyczną katedrę, będącą do dziś jednym z symboli miasta Meksyku.

To, że dziś ten 23-milionowy moloch jest tak narażony na trzęsienia ziemi, w znacznej mierze wynika z faktu, że miasto powstało na mało stabilnym gruncie, który odsłaniało wysychające jezioro. Texcoco przez setki lat zapewniało Tenochtitlánowi bezpieczeństwo – do miasta wiodły tylko trzy groble. Przepiękne, bogate centrum imperium Azteków (miasto liczyło minimum 200 tys. mieszkańców!) wydawało się twierdzą nie do zdobycia.

Camilla Towsend, amerykańska historyk, znawczyni prekolumbijskich dziejów obu Ameryk, przekonuje w swojej najnowszej książce „Piąte Słońce. Nowa historia Azteków", że powszechnie znana opowieść o podboju imperium Azteków przez Hernána Cortésa w wielu miejscach odbiega od realiów. Townsend – znawczyni kultury Mexica (czytaj: Meszika), która biegle mówi w „azteckim" języku nahuatl – sięgnęła do źródeł, które nie przebiły się do naszej świadomości. Jak to możliwe? Otóż Aztekowie skorzystali z alfabetu łacińskiego, by w swoim języku spisać, niemal „na gorąco", własną historię. Townsend uwzględniła tę perspektywę w swojej opowieści o rozkwicie i upadku imperium Moctezumy.

Jaka zdrada?

Do dziś w Meksyku możemy usłyszeć, że symbolem zdrajcy jest Malinche. Ta indiańska dziewczyna, pochodząca z arystokratycznego rodu żyjącego na Jukatanie, została porwana przez najeźdźców z ludu Mexica, a następnie trafiła w ręce Cortésa, gdy w 1519 r. po raz pierwszy postawił on stopę na terenie dzisiejszego Meksyku. Dzięki niej hiszpański konkwistador był w stanie porozumiewać się z kolejnymi ludami, które zamieszkiwały ziemie pomiędzy Jukatanem a Tenochtitlánem. Jeden z ludzi Cortésa nauczył się wprawdzie majańskiego dialektu, lecz poza Jukatanem jego możliwości tłumaczenia się wyczerpywały. Tu nieocenione przysługi oddała Hiszpanom właśnie Malinche. Znała ona zarówno majański, jak i nahuatl, którym posługiwali się Mexica. Dzięki współpracy dwóch tłu-

eprasa.pl 94eb3b15bc

maczy Cortés był w stanie dogadywać się z kolejnymi plemionami.

„Mexica byli wrogami jej ludu. To oni oderwali ją od rodziny, to ich kupcy sprzedali ją w Xicallanco, a teraz ta stosunkowo mała grupa przybyszów chciała wydać im wojnę – pisze Townsend. – Nikomu w jej świecie nie przyszłoby do głowy, że winna była zachować lojalność wobec ludu Moctezumy".

Ta iluzja indiańskiej jedności pokazuje w gruncie rzeczy sedno problemu: obszar dzisiejszego Meksyku zamieszkany był na początku XVI w. przez niezliczone ludy, które mało co łączyło. Cortés stanął naprzeciw imperium, które było w istocie kolosem na glinianych nogach. Dominujący Mexica eksploatowali ekonomicznie podbite ludy, a także domagali się od nich jeńców, których mogliby złożyć w ofierze swoim bogom. Malinche nie mogła być zdrajczynią, skoro Mexica, przeciw którym wyruszył Cortés, wyrządzili tyle krzywd jej ludowi.

Townsend tłumaczy również, że w żadnym razie Mexica nie widzieli w Cortésie boga Quetzalcoatla, przed którym można się tylko ukorzyć (inna sprawa, że akurat to bóstwo nie było najważniejsze dla mieszkańców Tenochtitlánu). Co innego lud zamieszkujący miasto Cholula, który faktycznie uważał Quetzalcoatla za swojego głównego boga i najpewniej widział w Cortésie jego wcielenie. Jednym z dowodów na to, że powszechne wyobrażenia w tej kwestii są błędne, ma być fakt, że sam Cortés w swoich listach słanych do króla Hiszpanii nic nie mówi o takim traktowaniu go przez Mexica. I – jak tłumaczy Townsend – ten lud najzwyczajniej w świecie nie wierzył, że bóg może stać się człowiekiem.

Skąd więc wzięła się opowieść o postrzeganiu przez Mexica Cortésa w boskich kategoriach? Taką wizję propagowali hiszpańscy kronikarze, ale okazuje się, że swoje zrobili tu sami Indianie. „W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych szesnastego wieku niektórzy Indianie sami zaczęli twierdzić, że jest ona prawdziwa. Zapoczątkowali to uczniowie akurat tych zakonników, którzy ją rozpowszechniali – pisze Townsend. – Ci młodzi rdzenni pisarze pochodzili z rodzin należących do indiańskiej elity, tych samych, które czterdzieści czy pięćdziesiąt lat wcześniej, po przybyciu Hiszpanów, wszystko straciły. Pragnęli znaleźć wyjaśnienie, dlaczego do tego doszło. Jak ich niegdyś wszechpotężni dziadkowie mogli upaść tak nisko".

Kostki domina

W niejednym opracowaniu na temat źródeł sukcesu Cortésa możemy też przeczytać o swoistym paraliżu, który miał ogarnąć Moctezumę w obliczu najazdu ludzi na koniach. Władca azteckiego imperium miał się wycofać na dłuższy czas, popaść w odrętwienie niczym Stalin na początku operacji „Barbarossa". Z jednej strony mamy więc rzutkiego konkwistadora, który aż kipi energią, niczego się nie boi i po trupach dąży do celu, a naprzeciw niego widzimy skulonego ze strachu indiańskiego wodza, który kompletnie się rozsypał psychicznie.

Okazuje się jednak, że Moctezuma cały czas śledził trasę przemarszu sił Cortésa, odkąd wylądował on w dzisiejszym Veracruz. Szpiedzy Mexica przekazywali do Tenochtitlánu informacje na temat liczebności jego wojsk, zawiązywania kolejnych sojuszy z ludami podbitymi przez imperium lub opierającymi się jego ekspansji. Moctezuma wiedział, że biali ludzi noszący stroje, od których odbijają się strzały, wygrywają wszystkie bitwy. Rozumiał, że jego imperium trzeszczy w szwach i przegranie bitwy z brodatymi ludźmi na koniach może się skończyć upadkiem resztek jego autorytetu. A to uruchomiłoby mechanizm kostek domina – kolejne miasta-państwa (zwane altepetlami) odpadałyby od władztwa Mexica. Dlatego starał się za wszelką cenę odwieść Cortésa od marszu w stronę Tenochtitlánu, oferując mu za to cenny okup. Na to jednak było już za późno,



Hernán Cortés

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEO NACIONAL DE HISTORIA, CASTILLO DE CHAPULTEPEC

ponieważ konkwistador przekonany był – całkiem zresztą słusznie – że w Tenochtitlánie czekają na niego nieprzebrane bogactwa. Tlaotani (tak nazywano władcę w języku nahuatl) szykował się do zbrojnego oporu, więc – jak każdy trzeźwo myślący przywódca – powołał w końcu „gabinet wojenny".

To, co Hiszpanie zobaczyli w sercu imperium Moctezumy, przerosło ich najśmielsze marzenia. Bernal Díaz del Castillo, który brał udział w tej wyprawie, wspominał potem w swojej „Prawdziwej historii podboju Nowej Hiszpanii": „Kiedy ujrzeliśmy tyle miast i wiosek pobudowanych na wodzie, inne wielkie miejscowości na lądzie stałym oraz na powierzchni wód ową prostą groblę wiodącą do Meksyku, wpadliśmy w zdumienie [...]. Tyle tam było wysokich wież i świątyń i budowli wznoszących się wprost z wody, a wszystkie murowane z kamienia, że niektórzy żołnierze pytali, czy to, co widzimy, nie jest snem".



Relikty Templo Mayor, najważniejszej budowli Azteków, Mexico City FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 94eb3b15bc







Quetzalcoatl, Moctezuma II i kalendarz Azteków FOT. COMMONS WIKIMEDIA

8 listopada 1519 r. ok. 500 Hiszpanów i tysiąc Tlaxcalan, którzy przyłączyli się do Cortésa, podeszło pod Tenochtitlán. Naprzeciw wyszedł im Moctezuma wraz ze swoim wspaniałym orszakiem. Jak uważa Townsend, tlaotani chciał pokazać, że oto spotykają się dwie równorzędne potęgi. Inna sprawa, że władca imperium wiedział, iż Hiszpanie dokonali rzezi w nieodległej Cholula, mieście-państwie uznającym jego władzę, i na własne oczy chciał zobaczyć wojsko, które teraz zagraża jego stolicy.

Pobyt Hiszpanów w Tenochtitlán, bunt jego mieszkańców, rzeź uciekających Hiszpanów, a następnie powrót białych i upadek stolicy szczegółowo opisał w 2019 r. na łamach „HDR" Maciej Rosalak, więc w telegraficznym skrócie przypomnimy tylko najważniejsze wydarzenia. Cortés postanowił pójść za ciosem i skoro już został wpuszczony do stolicy, to – po wstępnym okresie wzajemnych uprzejmości – po prostu kazał pojmać Moctezumę. Jednak wiosną 1520 r. dotarły do niego niepokojące wieści: do Veracruz dobiło 13 statków z 800 Hiszpanami. Była to ekspedycja karna wysłana przez gubernatora Kuby Diego Velázqueza. Uważał on wyprawę Cortésa za samowolę, skoro pierwotny plan zakładał jedynie eksplorację okolic Jukatanu, a nie pokonanie imperium i przejęcie jego skarbów (ta ostatnia kwestia szczególnie niepokoiła gubernatora, który nie ufał Cortésowi).

1520: trzej władcy

Najsłynniejszy konkwistador świata pokazał wtedy determinację i brawurę. Podzielił swoje siły – część zostawił w Tenochtitlánie pod dowództwem Pedra de Alvarado, a resztę powiódł za sobą ku wybrzeżu. Zaskoczył żołnierzy wysłanych przez gubernatora Kuby, pojmał ich dowódcę, ale najważniejsze, że udało mu się przekonać niemal całą ekspedycję karną, że w tym momencie najlepszym wyjściem będzie przyłączenie się do niego i dokończenie roboty – obalenie imperium Moctezumy. I tak się stało. Równolegle w Tenochtitlánie doszło do przerażających scen. Hiszpańska załoga pod wodzą de Alverado, wobec coraz bardziej oczywistych symptomów nadciągającego buntu, postanowiła zasiać terror, mordując kilkuset arystokratów Mexica. Wbrew intencjom Hiszpanów reakcją nie było jednak powszechne przerażenie, lecz rebelia. Tenochtitlán zapłonął. Po ok. dwóch miesiącach do stolicy powrócił Cortés w towarzystwie świeżych sił. I to wtedy konkwistador przymusił Moctezumę do wygłoszenia apelu do swoich poddanych. Mówił m.in., że czas już „złożyć strzały i wojenne tarcze", bo wojownicy Mexica nie są w stanie nawiązać równej walki z białymi. W trakcie przemówienia władca nawiązał też do tragicznego losu dzieci – przyszłości jego ludu.



CAMILLA TOWNSEND
„NOWA HISTORIA AZTEKÓW"
REBIS

„Później wyrwano te słowa z kontekstu i starano się dowieść, że Moctezuma był tchórzem, który dbał tylko o własną skórę – pisze Camilla Townsend. – Ale ze wszystkich starych historii i modlitw Nahua [grupa ludów posługujących się językiem nahuatl – przyp. red.] jasno wynika, że głównym obowiązkiem władcy było utrzymanie poddanych, włącznie z najmłodszymi dziećmi, przy życiu, by altepetl przetrwał [...]. Władca, który stracił głowę albo przez arogancję i upór wciągnął swój lud do wojny nie do wygrania, był uważany za najpodlejszego z podłych, ponieważ brakowało mu mądrości i zdolności przewidywania charakteryzujących prawdziwego wodza".

Jednak słowa wodza kompletnie nie trafiły do młodych wojowników. Oni rwali się do walki przeciw najeźdźcom zza morza. Ich przywódcą stał się Cuitláhuac, młodszy przyrodni brat Moctezumy. Widząc, do jakiego wybuchu zmierza sytuacja w mieście, Cortés postanowił uciekać, zabierając ze sobą tyle łupów, ile byli w stanie unieść jego żołnierze. Wtedy też zginął – w niejasnych okolicznościach – Moctezuma. Ucieczka z Tenochtitlánu (z 30 czerwca na 1 lipca 1520 r.) przeszła do historii pod nazwą „La Noche Trista", czyli „Smutna noc". Zaalarmowani wojownicy Cuitláhuaca ruszyli do ataku, zabijając dwie trzecie Hiszpanów (ok. 600 z nich zginęło tamtej nocy) oraz większość ich sprzymierzeńców z ludu Tlaxcala.

Cortés musiał wycofać się na wschód, w kierunku wybrzeża. Ku swojej radości zobaczył, że przybyły tam duże posiłki: „Gdy na 28 kwietnia zwołałem wszystkich moich ludzi na paradę i policzyłem, że mamy 86 jeźdźców, 118 kuszników i arkebuzerów, około 700 piechurów z mieczami i puklerzami, 3 duże żelazne armaty, 15 mniejszych brązowych i 10 cetnarów prochu [...], wiedzieliśmy [...], że Bóg pomógł nam bardziej, niż na to liczyliśmy".

Po drodze do Tenochtitlánu Cortés zebrał jeszcze większe siły indiańskich sojuszników. Los stolicy był przesądzony, tym bardziej że w tym czasie wybuchła tam epidemia ospy, przywleczonej przez Hiszpanów. Choroba zabiła ok. połowy jej mieszkańców, w tym również świeżo upieczonego władcę – Cuitláhuaca. Nowym tlatoanim, trzecim już w tym roku, został Cuauhtémoc.

W maju 1521 r. Cortés nadciągnął ze swoją armią nad jezioro Texcoco. Hiszpanie zbudowali dodatkowo 13 statków, z których mogli ostrzeliwać obrońców. Los miasta był przesądzony, ponieważ odcięto je od wody pitnej dostarczanej akweduktem (jezioro było słone). Po 93 dniach oblężenia było po wszystkim – azteckie imperium ostatecznie legło w gruzach pod ciosami człowieka, który dwa lata wcześniej rozpoczął „misję eksploracyjną".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam do Republiki od wtorku do czwartku o godzinie 17:35, a w piątki o 18:20" – Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK ZAPRASZA



OD WTORKU
DO CZWARTKU
17:35
W PIĄTEK
18:20

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA



Fragment ekspozycji w Memorial Museum Passchendaele

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MEMORIAL MUSEUM PASSCHENDAELE 917, ZONNEBEKE, SNIPERSNOOP

Bitwa w błocie



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Zmagania o Passchendaele we Flandrii były częścią gigantycznej operacji nazwanej trzecią bitwą pod Ypres. Nie było tu miejsca na wyrafinowaną strategię

Stosunek Polaków do pierwszej wojny światowej wydaje się pozbawiony większych emocji. Owszem, niektórzy kojarzą zapewne epopeję Legionów, może gen. Hallera i powrót Piłsudskiego z niemieckiej niewoli, ale generalnie wydarzenia z lat 1914–1918 w naszej pamięci stoją dużo niżej od tych, które miały miejsce 20 lat później. To zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę ogrom strat ludzkich i materialnych oraz chwalebny wkład polskich żołnierzy w zwycięstwo nad Hitlerem.

Natomiast w Europie Zachodniej pamięć o kataklizmie sprzed ponad 110 lat wciąż jest żywa i celebrowana, gdyż straty ludzkie okazały się dużo większe niż podczas drugiej wojny światowej.

Symbolami bezsensownej śmierci milionów istnień ludzkich na froncie zachodnim stały się Verdun, Somma, a także mniej znane belgijskie Passchendaele, upamiętnione w jednym z najlepszych muzeów wojennych w Europie.

Zmagania o Passchendaele we Flandrii były częścią gigantycznej operacji nazwanej trzecią bitwą pod Ypres. Nie było tu miejsca na wyrafinowaną strategię. Działania we Flandrii obliczono na wyczerpanie przeciwnika. Broniących się Niemców zamierzano zalać lawiną ognia i stali, a następnie dobić kilkoma następującymi po sobie atakami. Próbę przełamania frontu i dotarcia do dwóch strategicznych portów, Ostendy i Zeebrugge, przeprowadzili Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, Kanadyjczycy oraz żołnierze ANZAC (Australian and New Zealand Army Corps).

Kilka kilometrów

Nic nie poszło zgodnie z planem. Najpierw kilkadziesiąt milionów pocisków artyleryjskich obróciło wniwecz system irygacyjny belgijskiej części Flandrii, potem zaś spadły deszcze o niespotykanej od lat intensywności, zamieniając teren walk w morze lepkiego błota. Wizytujący pole bitwy gen. Launcelot Kiggell (szef sztabu brytyjskiego głównodowodzącego, sir Douglasa Haiga) poczynił ponoć takie oto spostrzeżenie: „Dobry Boże, czy my rzeczywiście posyłaliśmy ludzi, żeby walczyli w czymś takim?”. Niemcy spodziewali się alianckiego natarcia, dlatego stworzyli głęboko urzutowany system obronny, zgromadzili ciężką artylerię i przygotowali oddziały do kontrataków. Kosztem kilkuset tysięcy zabitych, rannych i zaginionych armia imperium brytyjskiego zdołała włamać się w linie wroga na kilka zaledwie kilometrów, zajmując obszar o powierzchni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Samo Passchendaele zdobyli Kanadyjczycy 6 listopada 1917 r.

Dzisiaj o krwawych bojach stoczonych we Flandrii świadczą niezliczone pomniki i cmentarze, w tym położony

eprasa.pl 94eb3b15bc

niedaleko Passchendaele Tyne Cot Cemetery – największa na świecie nekropolia żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej. Turystyczną mapę regionu uzupełniają zrekonstruowane umocnienia oraz Memorial Museum Passchendaele 1917 w Zonnebeke. Otwarto je w 2004 r. w dawnym pałacu położonym na terenie parku miejskiego.



Broń strzelecka, w tym karabiny maszynowe rozmaitych wzorów i systemów FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Karabiny i rum

Stosunkowo niewielka kubatura budynku sprawia, że zwiedzający spodziewają się niewielkiej ekspozycji, czegoś w rodzaju skromnej izby pamięci, a nie muzeum poświęconego gigantycznej batalii. Nic bardziej mylnego – powierzchnia wystawiennicza jest wystarczająco duża, aby szczegółowo zilustrować nie tylko przebieg walk pod Passchendaele, lecz także całość zmagań we Flandrii w latach 1914–1918. Liczba obiektów jest imponująca – duże wrażenie robią kompletnie umundurowane i wyposażone manekiny przedstawiające żołnierzy różnych armii. Narracja jest przemyślana, a panujący półmrok i wąskie, wyłożone drewnem korytarze – nawiązujące do ciasnoty okopów – potęgują wrażenie. Uzupełnieniem klasycznej ekspozycji są ekrany z archiwalnymi filmami oraz towarzyszące zwiedzającym odgłosy pola bitwy. Poprzez kolejne dioramy, zbudowane w skali 1:1, ukazane są zmiany w umundurowaniu i uzbrojeniu, które zachodziły pod wpływem doświadczeń z pierwszej linii frontu. Jedno z pomieszczeń poświęcono wojnie gazowej – zgromadzono tu liczne maski przeciwgazowe, specjalną amunicję oraz syreny i kołatki alarmowe. Zainstalowano też stanowisko, przy którym można poczuć… zapach gazów bojowych!

W gablotach zgromadzono rzeczy osobiste żołnierzy, naczynia, medykamenty oraz zdjęcia i dokumenty, w tym brytyjskie pokwitowanie za zarekwirowane lub zniszczone przez żołnierzy w jednym z belgijskich domostw mienie (m.in. 35 butelek porto i bordeaux). Ciekawie prezentuje się zestaw rozmaitych naczyń po alkoholu, który dostarczano żołnierzom na froncie. W armii brytyjskiej każdy batalion dysponował własnymi zapasami rumu, na całą zaś dywizję przypadało 300 galonów (ponad 1,1 tys. litrów). Wydawano go po walce, a zwłaszcza podczas zimnej aury (np. podczas rannej zmiany wart). Butle znaczone były symbolem SRD (Service Rum Department). Z kolei Niemcy i Francuzi dostarczali swoim wojakom wino i brandy. Muzeum posiada reprezentatywny zbiór ówczesnej broni strzeleckiej, w tym liczne karabiny maszynowe, które po artylerii zebrały najkrwawsze żniwo wśród żołnierzy Wielkiej Wojny.

W podziemiach budynku zaczyna się prawdziwe eldorado dla miłośników militariów. Pieczołowicie odtworzono tu wszystko, co związane było z życiem żołnierzy pod ziemią. Latryny, schrony mieszkalne, kwatery dowództwa, warsztaty, lazaret, kuchnia, magazyny – wszystko w naturalnej skali. Zwraca uwagę kolekcja pomp, które służyły do osuszania notorycznie zalewanych flandryjskich transzei. W kolejnych pomieszczeniach rzuca się w oczy niemiecka ciężka haubica polowa 150 mm. Sprzęt artyleryjski uzupełniają liczne miotacze min oraz imponująca kolekcja pocisków. Na podestach wyeksponowano rozmaite przedmioty podniesione z pobojowiska, przede wszystkim elementy zasieków, potykacze, płyty okopowe.

Ścieżka wzdłuż okopów

Opuszczając podziemną część muzeum, od razu wchodzi się do zrekonstruowanych okopów. Tu ścieżka dydaktyczna liczy przynajmniej kilkadziesiąt metrów. Przygotowano ją w ten sposób, aby pokazać, jak w ciągu wojny zmieniał się system transzei oraz materiały używane do ich budowy. Zaprezentowane zostały metody niemieckie i brytyjskie, a wszelkie ważne informacje objaśniono za pomocą estetycznych tablic. Poprzez zwykłe worki z piaskiem, szalunek z faszyny i desek dochodzimy na końcu do okopów i schronów wykonanych z gotowych elementów, w tym blachy falistej.

Oczywiście ta ekspozycja nie może oddać piekielnej rzeczywistości, w której znaleźli się żołnierze Wspólnoty Brytyjskiej i Niemcy. Tak opisywał ją Kanadyjczyk A.V. Conn: „Błoto: spaliśmy w nim, jedliśmy w nim. Wszędzie było błoto, morze śmierdzącego błocka. Tonęły w nim ciała poległych żołnierzy […]. Pierwszy raz znalazłem się w tym okropnym miejscu nocą. Gdyż właśnie nocą ludzie wyczołgiwali się ze swoich dziur w Passchendaele jak szczury”. Niektóre pozycje odtworzono na podstawie konkretnych obiektów odsłoniętych w trakcie badań archeologicznych. Archeologia militarna święci bowiem w Europie Zachodniej triumfy już od kilkudziesięciu lat, a okres Wielkiej Wojny coraz częściej staje się przedmiotem zainteresowania naukowców. Wyniki ich prac zaprezentowano w dalszej części ekspozycji. W gablotach zgromadzono odznaczenia i odznaki pułkowe, amunicję, kule szrapnelowe, klamry, nieśmiertelniki, destrukty karabinów i bagnetów. Każdy z tych przedmiotów wydobyto w zgodzie ze sztuką archeologiczną, dzięki czemu zachowano ich niepowtarzalny kontekst.

Muzeum w Passchendaele imponuje rozmachem i pomysłowością ekspozycji. To bez wątpienia obowiązkowy punkt dla miłośników historii wojskowości. Jest też smutnym symbolem głupoty dowódców i daremnej ofiary setek tysięcy żołnierzy rzuconych do walki w terenie, który absolutnie nie nadawał się do prowadzenia jakichkolwiek działań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc



Elettrotreno FS ETR 200 FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SANDRO BALDI

Nie tylko TGV / Prawdziwe ekspresy

Błyskawice na szynach



Tymoteusz Pawłowski

Szybkie pociągi stały się codziennością już w XIX w., choć dopiero w kolejnym stuleciu udało się przełamać barierę 300 km/h

Pierwsza na świecie międzymiastowa linia kolejowa została otwarta z gwizdem i hukiem 15 września 1830 r., gdy pociąg pasażerski ciągnięty przez lokomotywę parową wyruszył z Liverpoolu do Manchesteru. 56 km dzielące oba miasta miał przejechać w godzinę i czterdzieści sześć minut, czyli dwa razy szybciej niż dyliżans.

Stopniowo tory pokrywały całą Europę, a wkrótce i Amerykę Północną, gdzie w 1869 r. zbudowano transkontynentalną linię kolejową. Dzięki niej podróż z Nowego Jorku do San Francisco – nieco ponad 4100 km – zajmowała tylko 10 dni! W Europie podobna wyprawa – z Lizbony do Petersburga – była możliwa już kilka lat wcześniej, ale trwała o wiele dłużej. Pociągi jeździły nawet szybciej, jednak trasy pomiędzy miastami obsługiwały odrębne przedsiębiorstwa, których tory kolejowe nie miały pomiędzy sobą połączenia. W Warszawie, przyjeżdżając z Petersburga, trzeba było przejechać tramwajem całe miasto, aby wsiąść do pociągu do Wiednia. Podobnie było w innych miastach, choćby w Londynie.

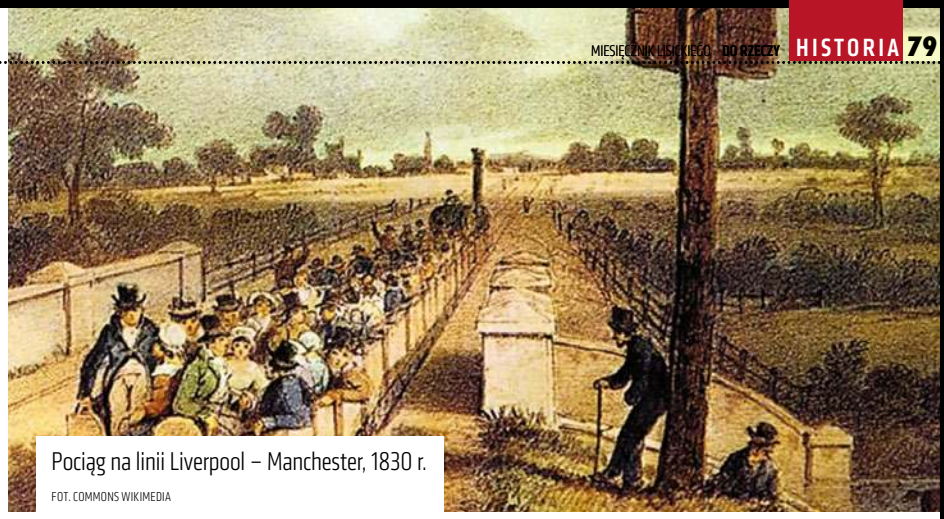
Trasy z Londynu do Edynburga obsługiwało kilka przedsiębiorstw kolejowych, a każde z nich miało własne tabor, dworce i tory. W 1885 r. rozpoczął się pomiędzy dwoma z nich wyścig, aby podróż ze stolicy Anglii do stolicy Szkocji – ponad 600 km – zajmowała jak najmniej czasu. W ciągu trzech lat udało się ją skrócić z 10 do 9 godzin, głównie dzięki ograniczeniu postojów na stacjach, bo lokomotywy w XIX w. budowano tak, żeby były oszczędne, a nie szybkie. Teraz zamówiono szybsze – rozwijające prędkość 90 km/h, zamiast 80 km/h – co pozwoliło w 1895 r. na skrócenie czasu podróży o kolejne… pół godziny.

Następnie ograniczono liczbę stacji pośrednich najpierw do pięciu, a później do dwóch (było to niezbędne minimum do uzupełnienia wody oraz wymiany maszynistów i palaczy). Dodatkowo opanowano zostawianie i odbieranie przesyłek pocztowych bez zatrzymania się na stacjach, a później wodę zaczęto uzupełniać w czasie jazdy, z kanałów zbudowanych pomiędzy szynami. Wreszcie w ogóle zrezygnowano z zatrzymywania się na stacjach: załoga lokomotywy zmieniała się w czasie jazdy, a pasażerowie chcący wysiąść po drodze korzystali ze specjalnych wagonów odłączanych (w ruchu) od pociągu. Lokomotywy były coraz mocniejsze i wyposażone w osłony aerodynamiczne. W 1938 r. pociąg „Flying Scotsman", chociaż na pewnych odcinkach rozpędzał się do 160 km/h, docierał z Londynu do Edynburga w 7 godzin 20 minut, a napędzająca go lokomotywa „Mallard" osiągnęła niepodbity do dziś rekord prędkości parowozów: 202,77 km/h (do prędkości tej rozpędzała się na dystansie blisko 150 km!).

Wiek elektryczności

W latach 80. XIX w., gdy Brytyjczycy zaczynali ścigać się parowozami, pojawiły się pierwsze lokomotywy elektryczne. Taki napęd dawał olbrzymie możliwości chociażby dlatego, że pociąg pasażerski nie potrzebował już… lokomotywy (silnik elektryczny można było zamontować do każdej osi wagonów). Taki elektryczny zespół trakcyjny był lekki i mógł osiągać olbrzymie prędkości. Miał też jednak wady, z których największą była konieczność elektryfikacji szlaków kolejowych. Było to olbrzymie wyzwanie, nawet dla najbogatszych. Na przełomie wieków XIX i XX grupa amerykańskich przedsiębiorców rozpoczęła budowę elektrycznej kolei z Nowego Jorku do Chicago, po której

eprasa.pl 94eb3b15bc



Pociąg na linii Liverpool – Manchester, 1830 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

pociągi miały poruszać się z prędkością 160 km/h. Inwestycji nie ukończono, okazała się ona bowiem zbyt droga dla biznesu – nawet amerykańskiego.

Pierwszą zelektryfikowaną linię kolejową zbudowały włoskie koleje państwowe w 1902 r. Miała ona nieco ponad 100 km długości i biegła z Mediolanu aż pod szwajcarską granicę. Nic więc dziwnego, że to we Włoszech zaczęły jeździć najszybsze pociągi elektryczne świata: w 1938 r. trzywagonowy zespół trakcyjny zwany ETR 200 – Elettro Treno Rapido 200, czyli Elektryczny Pociąg Szybki 200 (km/h) – osiągał taką właśnie prędkość w ruchu liniowym, a na trasie pomiędzy Mediolanem i Florencją nie zwalniał poniżej 165 km/h. Napędzany dieslem niemiecki „Fliegender Hamburger" teoretycznie również przekraczał 200 km/h, ale dystans 286 km pomiędzy Hamburgiem i Berlinem pokonywał jednak w 2 godziny i 18 minut. Szybkie były również pociągi amerykańskie, szczególnie parowy „20th Century Limited" z Nowego Jorku do Chicago oraz dieslowski „Super Chief" z Chicago do San Diego (transkontynentalna podróż trwała ponad 53 godziny).

Szybkie pociągi pasażerskie były utrapieniem dla zarządzających ruchem na liniach kolejowych. Aby rozpędzony ekspres mógł osiągnąć wysoką prędkość, trzeba było usunąć mu z drogi wolniejsze od niego lokalne pociągi pasażerskie oraz towarowe. Co więcej, okazało się, że rozpędzenie lokomotywy elektrycznej do dużych prędkości – w 1955 r. Francuzi osiągnęli 331 km/h – wymaga olbrzymich ilości energii i nie da się tego zrobić na zwykłych torach, korzystając z dotychczasowej infrastruktury. Kolej dużych prędkości mogła jeździć tylko po wydzielonych trasach, a takich nie było.

Wiek atomu

W Japonii w ogóle nie było linii kolejowych w europejskim rozumieniu tego słowa. Ze względu na górzysty teren Japończycy rozwijali tylko wąskotorowe linie kolejowe, o rozstawie szyn 1067 mm zamiast „poważnych" 1435 mm. Próba zbudowania szybkich pociągów na wąskich torach zakończyła się – pomimo współpracy z Francuzami – rozczarowaniem. Postanowiono zatem wybudować specjalną sieć o normalnej szerokości, zwaną Shinkansen, i otworzyć ją na igrzyska olimpijskie w 1964 r. Trasę o długości 515 km pomiędzy Tokio a Osaką pociąg pokonywał w 3 godziny 10 minut, osiągając chwilowo prędkość 210 km/h. Nie było to nic szczególnego, ale Japończycy uchodzą za pionierów kolei dużych prędkości, być może z powodu imponującego wyglądu pociągów: ich długie nosy konieczne są do rozpraszania fali uderzeniowej podczas jazdy przez liczne tunele kolejowe.

Tymczasem w Europie Włosi zdołali rozwiązać część problemów, które sprawiały szybkie pociągi jeżdżące na starych trasach kolejowych, budując w 1969 r. pociąg Pendolino, czyli „Wahadełko". Charakteryzowało się ono tym, że część pasażerska wagonów wychylała się, dzięki czemu malały siły działające na pasażerów podczas pokonywania zakrętów. Nowy pociąg nie musiał więc zwalniać zanadto na zakrętach i w ten sposób mógł utrzymywać stałą prędkość podróżną 250 km/h.

Francuzi postanowili zaś pójść drogą Japończyków i wybudować odrębne szlaki kolejowe specjalnie dla TGV, czyli Train à Grande Vitesse (dosłownie – Pociąg Dużych Prędkości). Linię Paryż – Lyon oddano do użytku w 1981 r., z prędkością rozkładową 260 km/h. Dzisiaj wynosi ona z reguły 320 km/h, a do Francuzów zwyczajowo należy kolejowy rekord prędkości, podwyższany za każdym razem, gdy jakiś konkurent zagrozi poprzedniemu: obecnie jest to 574,8 km/h.

Największą konkurencją dla Francuzów są Japończycy, Chińczycy i Hiszpanie. Wszystkie te narody zbudowały od podstaw nowe linie kolejowe: Japończycy mieli tylko wąskotorowe, Chińczycy prawie wcale nie mieli infrastruktury kolejowej, a Hiszpanie mieli jedynie linie szerokotorowe. W innych państwach pociągi dużych prędkości to przede wszystkim bliźni i dalsi krewni Pendolino. Tak jest np. w Rosji, Niemczech czy – poniekąd – w Polsce. Pendolino należące do PKP IC ładnie się nazywają, ale pozbawione są „wahadłowego" systemu, ponieważ gdy zamawiano je w 2010 r., nie było w Rzeczypospolitej torów, na których można by osiągać wysokie prędkości. Obecnie jest już z tym dużo lepiej, ponieważ przejazdy kolejowo-drogowe schowano pod ziemią, trasom nadano nowe profile, zmodernizowano zasilanie elektryczne i unowocześniono system sterowania. Być może zatem spóźniona Polska wskoczy w końcu do swojego własnego pociągu dużych prędkości.



Pociąg „Flying Scotsman"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEN BROOKSBANK

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 94eb3b15bc

Historyczny „kaznodzieja” / Obsesje autora „Sąsiadów”

Świat według Grossa



Żydowska policja w getcie w Warszawie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LUDWIG KNOBLOCH

Z dużym opóźnieniem wpadł mi w ręce wywiad rzeka z Janem Tomaszem Grossem przeprowadzony przez Aleksandrę Pawlicką. Tytuł tej ciekawej książki to „...bardzo dawno temu, mniej więcej w zeszły piątek...” (Wydawnictwo W.A.B.).

Pierwsze wrażenie po przeczytaniu? Gross występuje w książce w charakterze kaznodziei. To, co mówi, przypomina traktat moralny, kazanie nawiedzonego kapłana. Gross występuje z pozycji moralnej wyższości, niemiłosiernie chłoszcząc polskich chrześcijan, którzy – według niego – podczas Holokaustu nie stanęli na wysokości zadania.

Zarzuty są jasne i znane:

1) Polacy nie zrobili wystarczająco dużo, aby uratować swoich żydowskich współobywateli.

2) Olbrzymia część społeczeństwa polskiego była nastawiona antysemicko, co skutkowało falą szmalcownictwa, donosicielstwa i skrytobójstwa.

3) Sprawiedliwi wśród Narodów Świata stanowili nieliczny margines. W dodatku musieli ukrywać (również po wojnie) swoje bohaterskie czyny przed innymi Polakami.

4) Współczesna polska polityka historyczna zakłamuje rzeczywistość, twierdząc, że w trakcie okupacji ratowanie Żydów było normą, a Sprawiedliwych były setki tysięcy, jeżeli nie miliony.



Piotr Zychowicz

Jan Tomasz Gross stosuje inne kryteria wobec Żydów i Polaków. Ci pierwsi są zawsze święci, ci drudzy – zawsze podejrzani

No cóż, bez wątpienia można się zgodzić z zarzutem numer cztery. Rzeczywiście polska polityka historyczna – szczególnie za rządów PiS – przedstawiała relacje polsko-żydowskie pod okupacją niemiecką w sposób absurdalny. Było to brązownictwo przekraczające wszelkie granice przyzwoitości.

Wie o tym doskonale każdy badacz, który zapoznał się choćby z ułamkiem dokumentów źródłowych dotyczących tej problematyki. Obraz, który się z nich

eprasa.pl 94eb3b15bc

wyłania, jest jasny. Nie, ratowanie Żydów nie było narodowym sportem Polaków podczas okupacji niemieckiej.

Nie oznacza to jednak, że prawdziwa jest druga skrajność, którą lansuje Jan Tomasz Gross. Tropienie, donoszenie i mordowanie Żydów również nie były narodowym sportem pokolenia naszych dziadków.

Odcienie szarości

Jak więc było w rzeczywistości? Różnie. Jedni Polacy Żydów ratowali, inni na Żydów donosili. Ale zdecydowania większość w ogóle nie zajmowała się tym problemem. Skupiona była zwyczajnie na przeżyciu pięciu ciężkich lat okupacji.

Konkluzja moim zdaniem jest więc prosta. Polacy nie byli wcale lepszym narodem od innych. Ale nie byli też gorsi. Tak jak w każdej innej dużej zbiorowości ludzkiej występowała wśród nich cała gama postaw. Było bohaterstwo i była podłość. Był altruizm i było współczucie. Ale były również okrucieństwo i wykorzystywanie okazji do łatwego wzbogacenia się kosztem bliźniego.

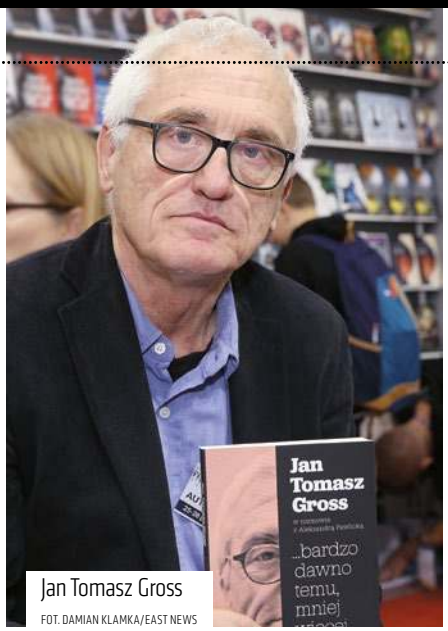
Okupacyjna rzeczywistość była więc pełna odcieni szarości. Nie była ani śnieżnobiała – jak chcą nasi hurrapatrioci – ani czarna jak smoła, jak twierdzi Jan Tomasz Gross.

Mogę przytoczyć rodzinną historię, która jest tego doskonałym przykładem. Mój dziadek, Stefan Kozłowski, w trakcie okupacji wynajął pokój żydowskiej parze. Działo się to w mieszkaniu przy ul. Hożej w Warszawie.

Byli to ludzie o tzw. dobrym wyglądzie, wyposażeni w aryjskie papiery. Normalnie poruszali się po mieście. Chodzili do pracy i kawiarni. Niestety, wścibscy sąsiedzi zorientowali się, że są to osoby wyznania mojżeszowego.

W efekcie do gestapo trafił donos. Żydzi zostali aresztowani, a dziadek wylądował na Pawiaku. Życie uratowało mu to, że Niemiec prowadzący sprawę był solidnym… łapówkarzem. Babcia wręczyła mu swoją biżuterię, a on w zamian zwolnił dziadka z więzienia.

Jak więc widać na tym drobnym przykładzie, byli Polacy tacy i siacy. A to oznacza, że o relacjach polsko-żydowskich należy pisać w sposób ostrożny



Jan Tomasz Gross
FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

i zniuansowany. Tymczasem Gross woli tłuc nas po głowach obuchem siekiery z wielkim napisem „Antysemityzm".

W ten sposób docieramy do mojego drugiego negatywnego wrażenia po przeczytaniu wywiadu rzeki. Grossowi, jak Masztalskiemu, wszystko kolarzy się z jednym. Na niespełna 300 stronach książki słowo „antysemityzm" pojawia się chyba z 500 razy. Sprawia to, że lektura książki jest momentami nużąca.

Warto też wspomnieć, że Jan Tomasz Gross stosuje zupełnie inną metodologię wobec Polaków i Żydów. O ile w przypadku Żydów wszystkie uogólnienia i stereotypy uważa za krzywdzące, o tyle w przypadku Polaków są one dopuszczalne.

Przykład? Proszę bardzo:

Stwierdzenie, że Żydzi w latach 1939–1941 kolaborowali z Sowietami, prof. Gross uważa za skandaliczną antysemicką potwarz. Koronnym argumentem na jej nieprawdziwość ma być – według niego – fakt, że część Żydów padła ofiarą represji ze strony bolszewików.

Jednocześnie stwierdzenie, że Polacy w latach 1939–1945 współpracowali z Niemcami w dziele eksterminacji Żydów, profesor uważa już za w pełni uprawnione. W tym przypadku fakt, że część Polaków padła ofiarą niemieckich represji, nie jest już żadną okolicznością łagodzącą.

Polscy „bad guys"

Podobnie jest w przypadku podejścia do źródeł historycznych. Jeżeli w żydowskiej relacji znajdzie się informacja o haniebnym zachowaniu jakiegoś Polaka, to jest to prawda objawiona. Jeżeli w polskiej relacji znajdzie się informacja o współpracy jakiegoś Żyda z Sowietami, to – tak, domyślają się państwo – jest to antysemityzm. I tak w koło Macieju.

Podobne przykłady można mnożyć. Żydzi w czarno-białym moralitecie prof. Grossa są zawsze obsadzeni w roli „good guys", a Polacy w roli „bad guys". Wszystko jest tu takie proste! A przecież… wszyscy jesteśmy homo sapiens. Kierujemy się tymi samymi instynktami i namiętnościami, jesteśmy tak samo skłonni do czynienia dobra i zła.

Byli Polacy, którzy z pobudek altruistycznych narażali swoje życie dla żydowskich sąsiadów. I byli Żydzi – np. funkcjonariusze policji porządkowej w gettach – którzy wobec własnych rodaków zachowywali się w sposób haniebny.

Nie, to nie jest antysemityzm. To prawdziwe życie, które wymyka się prostym ramom, które próbuje na nie nakładać nasz kaznodzieja z Princeton.

Te polemiczne uwagi nie oznaczają, że wywiad rzeka jest niewarty przeczytania. Wprost przeciwnie. Mogę się nie zgadzać z Grossem w wielu sprawach, ale muszę przyznać, że ma dar snucia zajmujących opowieści.

Szczególnie ciekawe są wzruszające fragmenty książki poświęcone rodzicom autora. Jego dzieciństwu i kręgowi znajomych. Grossowie znali wielu wybitnych ludzi, bywali w ciekawych domach i przyjmowali ciekawych gości. W efekcie w książce znalazło się wiele interesujących anegdot.

Gross opowiada o roku 1968 i swoim pobycie w komunistycznym więzieniu. I o pierwszych, trudnych latach na emigracji. Byłem zaskoczony, że zdecydował się również otwarcie mówić o swojej sferze prywatnej, m.in. uczuciowej.

Konkluzja po przeczytaniu całości jest jednak smutna. Gross mógł zrobić dobrą robotę dla odbrązowienia historii Polski. Niestety, jego nieliczenie się z polską wrażliwością, krzywdzące uogólnienia i wystawianie kategorycznych, moralnych osądów przekreśliły tę szansę. Zamiast tego przyczynił się do nakręcenia kolejnej odsłony zaciekłej wojny polsko-polskiej. Tym razem o Żydów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

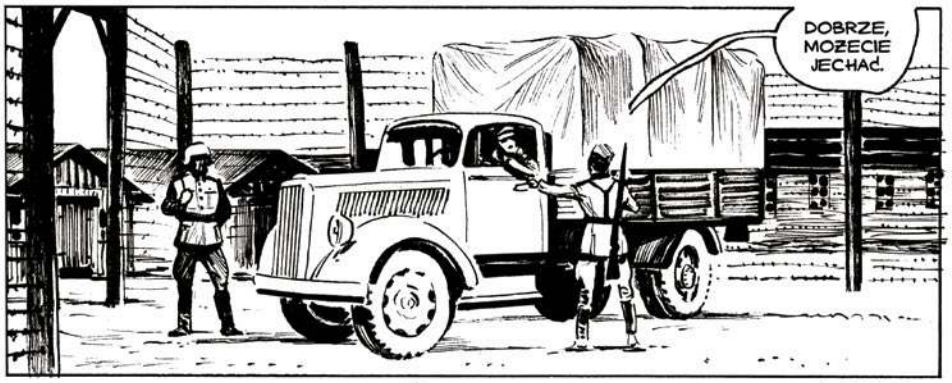
eprasa.pl 94eb3b15bc

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

REALIZACJĘ POD BYDGOSZCZĄ PRIORYTETOWEJ INWESTYCJI DLA NIEMIECKIEGO PRZEMYSŁU ZBROJENIOWEGO ROZPOCZĘTO JUŻ POD KONIEC 1939 ROKU. ZAKŁADY MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH ALFRED NOBEL (DYNAMIT-AKTIEN GESELLSCHAFT – CZYLI DAG FABRIK) MIAŁY STANOWIĆ WAŻNE ŹRÓDŁO ZAOPATRZENIA DLA FRONTU WSCHODNIEGO. POZA POLAKAMI, DO PRACY W BYDGOSZCZY SPROWADZONO W 1940 ROKU JEŃCÓW – BRYTYJCZYKÓW, KTÓRZY DOSTALI SIĘ DO NIEWOLI NA TERENIE FRANCJI, W TYM KILKUNASTU PILOTÓW ROYAL AIR FORCE. TRAFILI ONI DO OBOZU NA TERENIE OBECNEGO BYDGOSKIEGO OSIEDLA GLINKI.



NIE OGRANICZALI SIĘ JEDNAK TYLKO DO DOSTARCZANIA POMOCY, ALE Z CZASEM ORGANIZOWALI TAKŻE UCIECZKI Z TERENU OBOZU.



POCZĄTKOWO ZBIEGŁYCH JEŃCÓW POLSCY KIEROWCY UKRYWALI W SWOICH MIESZKANIACH, DO CZASU PRZERZUCENIA ICH DO GDYNI. NA TERENIE GDYNI BYŁO KILKA MIESZKAŃ, W KTÓRYCH OCZEKIWALI ONI NA ZORGANIZOWANIE TRANSPORTU DROGĄ MORSKĄ. KANAŁ PRZERZUTOWY NAZYWANY ,,KANAŁEM WĘGLOWYM'' PROWADZIŁ DO SZWECJI, DALEJ DO PÓŁNOCNEJ NORWEGII, SKĄD ANGLIKÓW PRZEPRAWIANO KUTRAMI RYBACKIMI DO SZKOCJI.



JEDNAK WE WRZEŚNIU 1944 ROKU USTAŁA CAŁKOWICIE ŻEGLUGA POMIĘDZY GDYNIĄ, A SZWEDZKIMI PORTAMI. W BYDGOSZCZY UTKNĘŁO WÓWCZAS DWÓCH KOLEJNYCH ZBIEGŁYCH JEŃCÓW: PPOR. R. M. WOODS, PS. ,,RONNI'' ORAZ PPOR. RICHARD STREVENS, PS. ,,KRUCYFIKS''. POZOSTAWALI W UKRYCIU DO KOŃCA WOJNY I DOPIERO POD KONIEC MAJA 1945 ROKU ZORGANIZOWANO ICH PRZERZUT.



W KWIETNIU 2012 ROKU NA TERENIE EXPLOSEUM DZIAŁAJĄCEGO W BUDYNKACH DAWNEGO DAG FABRIK ODSŁONIĘTO PAMIĄTKOWĄ TABLICĘ POŚWIĘCONĄ POLAKOM, KTÓRZY POMOGLI W UCIECZCE BRYTYJSKIM LOTNIKOM.



eprasa.pl 94eb3b15bc

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

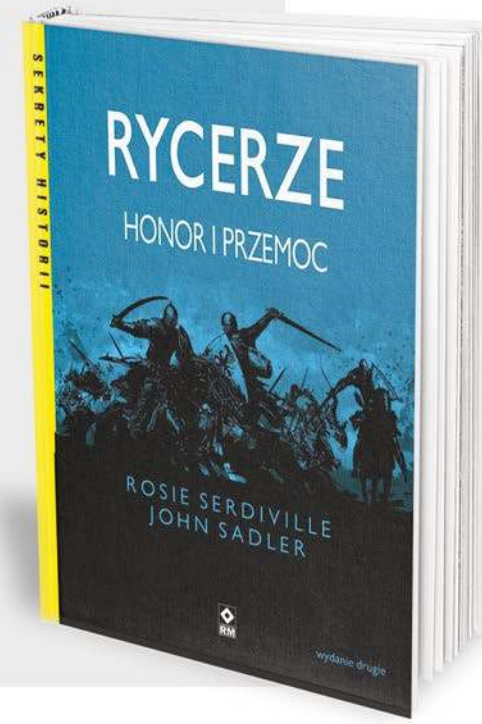
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROSIE SERDIVILLE I JOHN SADLER: „RYCERZE. HONOR I PRZEMOC"

Rycerze. Honor i przemoc

Ta książka opisuje rozkwit i schyłek epoki średniowiecznych rycerzy, przedstawia ich kosztowny ekwipunek i uzbrojenie, a także zabiera czytelnika na turnieje i przybliża etos rycerski.

Rycerzy, czyli wojowników konnych, zaczęto łączyć z pojęciem rycerskości, gdy zostało ono spopularyzowane przez średniowieczną literaturę. Oczekiwano od nich, że będą walczyć odważnie i honorowo oraz pozostaną lojalni wobec swego pana - w razie konieczności - aż do śmierci. W późniejszych czasach rycerskość utożsamiano z udziałem w turniejach i polowaniach oraz takimi zaletami charakteru jak sprawiedliwość, miłosierdzie i wiara. W czasach wypraw krzyżowych sformułowano kodeksy rycerskie, a niektóre zakony krzyżowców, między innymi templariusze, przeszły do legendy. Wraz z rozwojem sztuki wojennej w XV wieku ten typ wojska stał się zbędny, ale określenie „rycerz" przetrwało jako honorowy tytuł nadawany za usługi oddane monarsze lub krajowi. Stulecia później postać rycerza stała się też ikoną kultury popularnej.



172 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 94eb3b15bc

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki

REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz

PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 94eb3b15bc